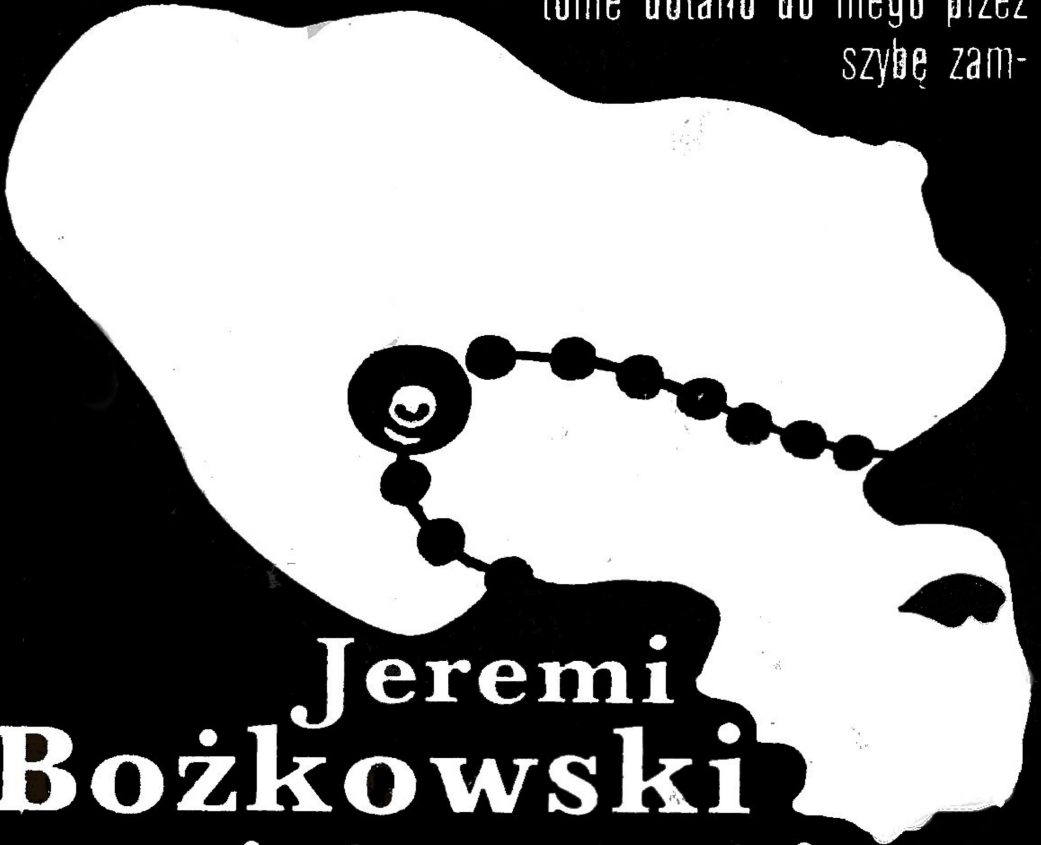




Było już szaro. Michał szedł galeryjką trzymając pistolet w ręce. Naprzeciw okna baby przystanął. Natychmiast zgasło tam światło i poruszyła się firanka. Wiedział, że jest obserwowany. Powoli podniósł pistolet i wycelował prosto w okno przestawczyni. Dzikie wycie na potwornie wysokim tonie dotarło do niego przez szybę zam-



**Jeremi
Bożkowski**
piękna kobieta
w obłoku spalin

CZYTELNIK

lesiojot

Jeremi Bożkowski

**PIĘKNA
KOBIECZA W
OBŁOKU SPALIN**



- Być może, mam wiele wad, ale jednej nie mam na pewno - Malwina Kalecka usiadła na zydelku wysuwając przed siebie smukłe, zgrabne nogi w sposób uwydatniający ich szlachetną linię - nie jestem nudna. Tego nikt mi zarzucić nie może. Przeciwnie, wiem, że moje życie dostarcza przyjacielom i znajomym nieustającej ekscytacji i rozrywki w najlepszym gatunku...

Michał Bajorek zakrztusił się dymem z papierosa i pośpiesznie wybiegł do łazienki. Żona posłała za nim mordercze spojrzenie.

- A zwłaszcza moje życie erotyczne - kontynuowała Malwina nie zwróciwszy na incydent uwagi - które nie jest może tak bogate, jak by być mogło, ale za to pełne niespodzianek. Oczywiście, dla innych, bo ja sobie je kształtuję Według własnej filozofii. Jest to może filozofia dość skomplikowana, niezupełnie dostępna dla przeciętnego umysłu, więc nic dziwnego, że moje posunięcia wywołują w ludziach gwałtowną chęć sprawdzenia, co się za nimi kryje. Ot, choćby mój obecny romans z Rafałem. Ciągłe ktoś popada w kompletne osłupienie, a tymczasem nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Raf to po prostu mężczyzna, jakiego mi potrzeba. Mężczyzna w pełnym znaczeniu tego słowa. Takie prawdziwe, krwiste, niedźwiedzie mięso. Pełen temperamentu, ale i czułości, mocny i subtelny jednocześnie. A co za poczucie humoru! Łapie bezbłędnie mój każdy najcieńszy, najbardziej finezyjny, najbardziej wyrafinowany dowcip! A wcale na to nie wygląda. Każdy, kto nas widzi razem, dostaje oczopląsu ze zdumienia, Wczoraj, na przykład, był u niego lekarz, bo Rafa zmogły korzonki. Leżał, a ja akurat parzyłam mu herbatę, podałam, posłodziłam, a ten lekarz patrzył z takim niebotycznym

zdumieniem to na mnie, to na niego. To na mnie, tona niego!

- Dlaczego? - Magda Bajorkowa wsadziła do ust garść winogron i popluwała pestkami. - Czy to takie dziwne, że jakiemuś choremu facetowi jakaś zdrowa baba podaje herbatę?

- Ach nie! - Malwina uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Ale trzeba nas razem z Rafałem widzieć, żeby ocenić, jak wyglądamy. To Jest coś takiego... takie połączenie... - przez chwilę szukała stosownego porównania - jak Piękna i Bestia. O! Rozumiesz?

- Mniej więcej. - Magda rozejrzała się po stole zasłanym odpadkami jedzenia. - Poczekaj, przyniosę coś do pogryzania. -I wyszła do kuchni.

- Jak wiesz, ja nigdy nie miałam skłonności do mężczyzn o banalnej urodzie - mówiła Malwina w głąb mieszkania Bajorków. Drzwi były pootwierane i można było sądzić, że Magda słyszy, o czym świadczyły jej pomrukiwania dochodzące z kuchni. - Zawsze goniłam od siebie precz tych śliczniusiów, którymi kobiety się zachwycają, ale to, co sobie teraz wynalazłam, zdumiewa czasem nawet innie samą. Rafał jest po prostu brzydki, zwyczajnie brzydki! Taki niedźwiedziowaty w linii, kanciasty, zamaszysty. Bardzo męski, to prawda, z pozoru nawet brutalny, ale kiedy chce być czarujący, kobiety padają przed nim plackiem. Tylko ja jakoś nie padam. I to go irytuje, fascynuje. Chciałby mnie potraktować tak, jak wszystkie inne, a nie potrafi.

Magda skończyła ogryzać kaczą nogę i wróciła do pokoju z talerzem ciasteczek.

- Ja go onieśmielałam. Ty nie uwierzysz, ale ten mocny, pewny siebie chłop przy mnie jest jak dziecko. On zdaje Sobie sprawę z mojej intelektualnej wyższości, to mu imponuje, to go zaciekawia, a jednocześnie staje się źródłem kompleksów.

- Kto ma kompleksy? Ten warsztatowiec? - zainteresowała się uprzejmie Magda, pełna poczucia winy z powodu przedłużonej nieprzyzwoicie wizyty w kuchni. Na szczęście Malwina była gościem, któryświelnie bawi się sam, i prawdopodobnie nie zwróciła uwagi "na nieobecność

gospodyni.

Wyobraź sobie! - odparła żywo. - Ale trudno mu się dziwić. To jest mężczyzna, który przywykł wszystko zdobywać przebojem. Teraz jest u szczytu, ale startował od zera. Tak jak ja. Może to nas również zbliżyło?

- Tak jak ty? - Głos Magdy przypominał zgrzytanie nie naoliwionych trybików.

- No, może niezupełnie. Jemu było jeszcze trudniej, bo on startował z rodziny robotniczej, niezamożnej, niewykształconej. Ja tej bariery nie miałam, ale za to przez Janicza utraciłam swoje środowisko i musiałam je na nowo zdobywać. Rafał musiał je kształtować całkiem z niczego. Swój standard żemożności także zawdzięcza wyłącznie sobie. I przywykł, że pieniądze otwierają mu każde drzwi. Z początku mnie też próbował imponować bogactwem, ale bardzo szybko się przekonał, że w moich oczach może się tym tylko ośmieszyć. No, cóż, te prymitywne kobietki, z którymi miał dotychczas do czynienia...

Zaczekaj moment - przerwała Magda - chyba woda wykipiała. Nie czujesz gazu? -I wybiegła zamykając drzwi pokoju. Szarpnęła za klamkę od łazienki.

- Otwórz, do jasnej cholery! - powiedziała dramatycznym szeptem. Szczęknęła zasuwka,

Michał miał koc rozesłany na sedesie, siedział wygodnie oparty, z nogami na wannie, palił i czytał przedwczorajszą gazetę. Spojrzał na żonę z nadzieją.

- Poszła?

- Nie i. nie ma zamiaru. Jest na etapie swojej intelektualnej wyższości i kompleksów, w jakie wpędziła tego właściciela warsztatu, który miał taki trudny start życiowy jak ona.

- O mać! powiedział z podziwem Bajorek.-Znaczy, to bohater.

- Bohater czy nie bohater, ale teraz ty idź słuchać, a ja sobie tu posiedzę. Spływaj z tej klapy.

Mowy nie ma! - Bajorek chwycił za krawędź wanny. - Twoja przyjaciółka, to ty jej słuchaj! No, idź. Nie wypada zostawiać tak długo gościa samego!

- Misiek, bądź człowiekiem, daj mi odetchnąć! Ja dostanę zawału. Wyjdź do niej na chwilę, a potem ubierz się i idź do diabła, czy z psem na spacer, ale przecież nie można się na tyle czasu zamykać w kiblu, na miłość boską! - Szarpnęła go za ramię, ale Michał nie puszczał wanny, nie tracił spokoju i widać było, że się ostoï.

- Nie będę nigdzie wychodził. Deszcz pada. No, idź, tak długo nie można tu siedzieć, szczególnie we dwoje!

Magda wyszła trzasnąwszy drzwiami.

- Michał robił pranie i gazu napuścił - wyjaśniła.

- Wiadomo, chłop przy zajęciach domowych to zawsze niebezpieczeństwo. - Malwina siedziała przed lustrem i w skupieniu oglądała swój profil. Był doskonały. - Ja bym chyba w tej chwili nie zniosła przy sobie na stałe żadnego mężczyzny. Nawet zastanawiam się nad Rafałem. Chociaż z nim rozumiemy się w pół słowa. Mimo to nie wiem, jak zareagować, kiedy już zostaną definitywnie przyparta do muru.

- Przypiera cię? - z rezygnacją spytała Magda. W łazience cichutko grało radio.

- Jeszcze nie, ale już przebąkuje, tak ogródkami, o małżeństwie, o dziecku, a ja wiem, do czego to prowadzi. Robi uwagi, że mam zad jak klacz zarodowa, to znaczy, że zaraz będzie chciał mieć ze mną bliźniaki. A to, że on sobie ceni najbardziej wolność i swobodę i że nie zamierza się żenić, bo takiej kobiety jeszcze nie spotkał, to znaczy, że zaraz mi się oświadczy.

- Rozumiem - powiedziała Magda. - Poczekaj chwilkę! Muszę sprawdzić, czy on do tego swego prania nie wziął mojego hiszpańskiego proszku.

Michał w łazience słuchał radia i rozwiązywał stare krzyżówki. Wydawał się zadowolony z życia.

- No, nareszcie sobie poszła! - powiedziała jak najbardziej naturalnym tonem Baj orkowa i zaczęła grzebać w koszu z brudami.

- Nic nie było słyhać - powiedział nieufnie Bajorek.

- Przecież to nie huzar, który wychodząc dzwoni ostrogami

i strzela drzwiami, ale delikatna kobieta. Wyfrunęła na spotkanie z amorem.

Może to przekonało Bajorka, a może miał już serdecznie dość ciasnego pomieszczenia i starych krzyżówek. Wyszedł i stanął oko w oko z kobietą, która miała może wiele wad, ale nikt, jak sądziła, nie mógł jej zarzucić, że jest osobą nudną. Kiedy po półgodzinnym odpoczynku Magda wyszła z łazienki, jej mąż siedział cichutko w rogu kanapy, miał twarz nieobecną i łagodną. Nie spał, ale wydawał się doskonale oderwany od rzeczywistości.

- Imponuje mu moja praca, moja duchowa i materialna niezależność - mówiła Malwina - mój sposób bycia. Początkowo usiłował mnie zaskoczyć, zgorzycić. On ma dosyć jędrny język. U kogoś innego brzmiałby on może nawet wulgarnie, ale u niego to się staje jakimś podkreśleniem indywidualności. On sobie wyobrażał, że ja jestem taka panusia, co się zaraz oburzy, jak on powie „dupa”. A ja nie! Dupa, to dupa. Proszę bardzo!

Magda usiadła naprzeciw męża i spojrzała na niego czule. Z bliska Bajorek miał mord w oczach. Malwina kontynuowała: - A pewnego dnia, kiedy wracaliśmy z „Europejskiego” po paru kieliszkach, on mówi nagle: „Chodź, włazimy na to drzewo przy uniwerku”. A ja bez żadnego zaskoczenia mówię: „Nie mogę włązić na drzewo, bo mi się chce siusiu”. Popatrzył na mnie z uznaniem i mówi: „O, to jest argument”.

- Powinnaś powiedzieć, że ci się chce szczać, jeśli chciałaś utrafić w jego styl, a tam siusiu - burknął Michał.

Malwina Kalecka popatrzyła na niego lodowato.

-Nie zapominaj się. W tym cała rzecz, że nie do każdego ten styl pasuje. A przynajmniej Ja nie u wszystkich to lubię.

-No to ja pójdę z psem na spacer - podniósł się Michał.

-Ja toż zaraz biegnę - powiedziała Kalecka łagodnym, tonem. Jak się szybko ubierzesz, to pójdziemy razem. Obrził się na mnie? - spytała półgłosem, kiedy Michał w korytarzu ubierał psa. - Mam nadzieję, że mu przejdzie. Zaraz go ugłaszczę. Czy o ciebie on też jest taki zazdrosny? A swoją drogą, to ciekawe, że twój mąż nie może spokojnie słuchać o

mężczyznach, z którymi mnie coś łączy... Ale pociesz się, że nie tylko on. Tak reagują wszyscy mężowie moich przyjaciółek.

* * *

Wysoki brunet w białym kożuchu przeciął na ukos ulicę Prusa i zniknął wśród krzewów parku Nowowiejskiego. Sylwetka bruneta wydała się Malwinie znajoma. Istotnie, był to urodziwy Benedykt, mężczyzna na pewno interesujący, acz nieco zbyt defensywny. Malwina nie przepadała za marzycielami, ale Benedykt nadawał się, jak nikt inny, na platonicznego adoratora, a taki właśnie był Malwinie potrzebny. Energicznym ruchem sięgnęła po słuchawkę.

- Misieczku - powiedziała pieszczotliwie - mam do ciebie prośbę. Zadzwoń do Benedykta - jesteś z nim przecież zaprzyjaźniony - więc zadzwoń i spytaj go, czy by nie chciał wziąć udziału w mojej audycji. Chodzi o robienie tła. Wiesz, bab mam dosyć, ale chodzi o postawnego chłopca, którego będzie widać w tłumie.

- Za ile? - spytał ponuro Michał.

- Nie wiem, kochanie - odparła ze zniecierpliwieniem. Dawno stwierdziła, że Michał zawsze mnożył trudności, kiedy chodziło o to, żeby pomóc jej w kontaktach z innymi mężczyznami. Taki pies ogrodnika! Przecież tyle lat znajomości powinno mu wystarczyć. Powinien już dawno wiedzieć, że nie ma żadnych szans być dla Malwiny kimkolwiek innym niż przyjacielem. Może nawet wiedział, ale nie chciał się z tym pogodzić. To było takie naturalne, ale takie czasem irytujące.

- No to sama zadzwoń. Przecież masz ich telefon...

- Zrobisz to lepiej.

- Jak ty sobie to wyobrażasz?! - jawnie dał wyraz swej niechęci do pośredniczenia. - Mam dzwonić do człowieka, powiedzieć, że mu się proponuje statystowanie w nie wiadomo czym, nie wiadomo kto będzie za to płacił, ile i kiedy. Zastanów się, Malwina.

- No, dobrze, już dobrze, dowiem się o te pieniądze. Nudziarz jesteś. - Odłożyła słuchawkę, świadoma, że zagrała

niezręcznie. Powinna Michałowi również zaproponować wizytę w telewizji i powiedzieć, żeby przyproceedził z sobą Bena. Potem okazałoby się pewno, że Michał przyjsć nie może, ale jego miłość własna zostałaby ocalona. Natomiast w tej chwili Malwina uznała, że nie może już liczyć na jego pośrednictwo. Wyczuł jej zainteresowanie osobą Benedykta i teraz będzie ze wszystkich sił przeszkadzał. Ale przeszkody dla Malwiny nie istniały. Mogły być tylko dopingiem do bardziej przemyślanego działania. Istotnie, telefon domowy państwa Płockich miała i mogła z niego skorzystać. Nie po to jednakże, żeby uczynić następne niezręczne posunięcie. Zona Benedykta, Dorota Płocka, była plastyczką, a Malwinie potrzebny był zdolny wnętrzarz. Znowu sięgnęła po słuchawkę.

- Halo... - Była to Dorota albo jej dorosła córka. Jak można trzymać w domu dziewiętnastolatkę, mając męża takiego jak Benedykt! Oczywiście Dorocie trudno byłoby ukryć swoje bez mała pięćdziesiąt lat, ale jeszcze mogłaby próbować to zrobić. Dorosła córka to chodząca metryka.

- Mówi Malwina Kalecka. Pani Dorota? Świetnie, że panią zastałam. Mam kłopot z wnętrzarzem. Do tej audycji, którą teraz robię. Ach, to pani nic nie wie? Zaraz pani wszystko opowiem. To jest sprawa przygotowania Własnymi siłami mieszkania na sylwestrowy bal. Wie pani, ludziom się wydaje, że to musi kosztować majątek i nie potrafią wyjść poza gałązkę choinki, parę bombek, ostatecznie bibułkowe serpentyny i to wszystko. A ja mam mnóstwo pomysłów! Niektóre są rewelacyjne! Wzbudziły sensację w całej telewizji. Nie ma pani pojęcia, z jakim szacunkiem teraz patrzą na mnie ci starzy fachowcy od tzw. programów użytkowych, którzy przez tyle lat klepali te swoje audycyjki na jedno kopyto, według tego samego wzoru, a tu nagle przyszła nowa osoba i od razu z taką inicjatywą, że im oko zbiełało. Dosłownie! A ja się tak czuję, jakbym pracowała w tym od lat. Jakbym już zęby zjadła na tym temacie. Jestem gotowa zrobić całą serię o mieszkaniach. O urządzeniu wnętrza jako całości, o kompozycji kolorystycznej mebli, ścian,

przedmiotów dekoracyjnych, o urzędzeniu kącika do pracy twórczej. Tu mogłabym pokazać swój pokój i rozwiązanie tej kwestii. Naprawdę, bez fałszywej skromności, mogę powiedzieć, że rewelacyjne! Jest to taki kącik nie pozbawiony kokieterii, widać, że należy do kobiety, a jednocześnie jest w nim wyraźny rys intelektualny. Widać, że jest to miejsce, w którym się tworzy, z którego emanuje jakaś intelektualna pasja. No, jednym słowem, ktokolwiek z fachowców to zobaczy, staje zadziwiony, pyta, kto mi to projektował, a ja...

- To po co pani wnętrzarz - przerwała w końcu Dorota.

- Przecież pani świetnie sobie radzi sama.

- Nie przesadzajmy, bynajmniej nie jestem skłonna zbyt wysoko oceniać swoje możliwości, po prostu brak mi wiadomości praktycznych.

- Aha - powiedziała niemrawo Dorota - to ja pomyślę...

Malwina była pewna, że Dora nie będzie myślała długo..

Współpraca z telewizją musi być dla przeciętnych ludzi nader kusząca. Dora się nie oprze. Nie odmówi sobie tego. Ani ona, ani Benedykt. Dla przeciętnych ludzi, sądziła Malwina, studio telewizyjne musiało stanowić magnes, skoro stanowiło go dla niej samej, osoby bądź co bądź nieprzeciętnej. A więc kiedy Dora połknie haczyk, zaprosi się ich oboje, a potem... Wyciągnęła się na kanapce, położyła nogi na poduszce i w skupieniu oglądała swoje stopy. Były doskonałe, aczkolwiek na trzecim palcu u prawej nogi zarysowało się maleńkie zgrubienie naskórka, coś jakby załążek nagiotka. To było niedopuszczalne. Wstała po nożyczki. Płocka nie dzwoniła. Czyżby mogła się tak długo zastanawiać? Mimo woli Malwina spojrzała w okno i zobaczyła, że Benedykt właśnie wracał ze spaceru. Obok niego biegł pies. Ben w rozpiętym kożuszk, bez czapki miał wygląd ogromnie młodzieńczy i ujmujący. Podniósł oczy i spojrzął w okno na pierwszym piętrze. Malwina Kalecka uczyniła następne nieprzemyślane posunięcie, ale była przecież kobietą impulsywną. Otworzyła okno i zawołała. Pies w podskokach wbiegł na górę. Po chwili jego pan stał w drzwiach, z nieśmiałym uśmiechem ukrytym w gęstej brodzie.

- Ta Kalecka. Ty ją lepiej znasz. Ja w tej chwili nie mam żadnej terminowej roboty, ale nie wiem, czy warto się za to brać. Ona za dużo cudowności opowiada, żeby to mogło być prawdziwe. Stała audycja, stałe zapotrzebowanie...

- Widzisz... - Magda wyplątała się z kłębowiska kabli i siadła z telefonem na tapczanie - ja nie wiem, może tym razem to będzie naprawdę, ale o tej audycji już słyszymy mniej więcej od roku i ciągle to pozostaje w sferze marzeń. To zresztą nie żadna audycja, tylko mała, pięciominutowa, chałtura, którą jej ktoś podrzucił. To na marginesie, żebyś sobie nie wyobrażała, że z tego będą jakieś wielkie pieniądze. Jak nie masz nic do roboty, to możesz się pobawić.

Może raczej... - Dorota Płocka spojrzała na zegarek. Znowu przyjdą złachani, brudni, opryskani błotem. Po co on z tym psem tyle chodzi? Przecież to już niemłody zwierzak i wcale nie potrzebuje wielogodzinnych spacerów . Może raczej odpowiedz mi na takie pytanie: czybyś w/ięła tę pracę, gdybyś była w mojej sytuacji i gdyby ją zaproponowano tobie?

Moja droga - Magda wepchnęła do ust kawał śliwkowego placka i zamilkła - jeśli o mnie chodzi - podjęła po chwili - to nie ma sprawy i nie ma pytania. Ja bardzo lubię Malwinę, towarzysko, prywatnie, ale w żadnym wypadku nie podjęłabym się z nią współpracować. Takich propozycji - cji miałam co najmniej kilkanaście i o żadnej nie pomyślałam serio. Ale ja pracuję dla pieniędzy.

- A ja to nie? - zadała retoryczne pytanie Dorota Płocka i pomyślała o Klarze. Klara też potrzebowała pieniędzy, ale przede wszystkim potrzebowała kontaktu z ludźmi. Po wypadku samochodowym zbyt długo przebywała sama. Praca w telewizji będzie dla niej w sam raz! Tak, trzeba koniecznie zadzwonić do Klary. - Nie wykluczasz możliwości, że jednak coś z tego będzie? - upewniała się Dorota. - Ona nie zmyśla, ta Kalecka?

- Nie - Magda sięgnęła po następny kawałek - ona

naprawę ma zamiar to coś zrobić. Jest okropnie przejęta i z tego przejęcia może się jej udać. Szczególnie jeśli trafi na fachowca, znaczy tego wnętrzarza, który ma w małym palcu wszystkie problemy rynkowe, wie, co, gdzie, komu i za ile, czyli robi za nią.

- No to dziękuję ci bardzo. Sądziłam, że sprawa właśnie tak wygląda - powiedziała Dorota i skończywszy rozmowę nakręciła numer Klary Wolskiej.

Pies rozwalał się na dywanie, Benedykt tonął w wolterowskim fotelu, popijał kawę i przegryzał wiedeńskim sernikiem. Sernik był dziełem milej gospodyni, która siedząc naprzeciwko raczyła go opowieścią ó swojej rewelacyjnej podróży z Kudowy samochodem marki BMW, należącym, niestety, do obecnie już byłego męża, który...

- Nigdy nie był dobrym kierowcą. Oczywiście, był objeżdżony, obyty, ale nie miał tej iskry bożej, jaką ja mam. Nigdy nie był kierowcą błyskotliwym. Ja natomiast nie mam żadnych trudności. Mam taki zdecydowany, władczy stosunek do samochodu. Co nie znaczy, że jeżdżę powyżej swoich możliwości. To mi się nigdy nie zdarza! Mam bezbłędne wyczucie sytuacji i własnych dyspozycji w danym dniu i danym momencie. Wtedy właśnie wyjechałam z Kudowy taka ociężała, po dobrym obiedzie, taka senna i nagle - błysk! Sekunda i już wyprzedzam wszystkie samochody na szosie. Wie pan, jaki zrobiłam czas z Kudowy do Wrocławia? Niecałą godzinę! Wierzyć się nie chce, prawda?

- Rzeczywiście! - mruknął Benedykt uprzejmie i podziękował Bogu, że były mąż Malwiny zabrał odchodząc samochód. Miał nadzieję, że teraz, kiedy nastąpiła przerwa w monologu, dowie się wreszcie, czemu zawdzięcza zaproszenie, kawę, sernik i miłe towarzystwo, ale się nie dowiedział. Malwina snuła dalej opowieść o sobie. Temat najwyraźniej ją fascynował i nie zanosilo się na to, żeby była skłonna go zmienić.

- Bo wszystko zależy od predyspozycji psychicznych. Ja, kiedy siadam za kierownicą, wiem, że to jest to, do czego na pewno mam talent. Zresztą, muszę się panu przyznać, że

jestem typem człowieka renesansu. Przeciętni ludzie mają na ogół talent w jakimś jednym określonym kierunku, a ja, czego dotknę, choćby jednym palcem, natychmiast osiągam doskonałość. A przynajmniej perfekcję. Jestem z natury swojej perfekcjonistką.

Benedykt spojrział dyskretnie na zegarek i stwierdził, że dawno już powinien być w domu, jeśli nie chce zaniepokoić Doroty Nadal nie miał pojęcia, jaki interes ma do niego Malwina perfokcjonistka, i jedyne, co zdołał wymyślić, to fakt, że w grę wchodzi jego cnota. Przyjrzał się gospodyni i stwierdził, że była ona na pewno jeszcze niedawno szalową dziewczyną, a i teraz jest wcale przystojną kobietą. Poza tym częstuje takim sernikiem, że czy się chce, czy nie chce, należy się wobec niej zachować jak mężczyzna. Tylko czy koniecznie zaraz? Benedykt jeszcze raz spojrział na zegarek i stwierdził, że jest na to o wiele za późno. Może przynajmniej - pomyślał rozpaczliwie - należałoby zaakcentować jakoś swoją gotowość i tym sposobem wyjść z honorem. Ale wyjść trzeba jak najszybciej! I zaczął się niespokojnie wiercić na fotelu.

- Ach, przecież pan się na pewno spieszy! A ja pana tak długo zatrzymuję. No, ale gdyby panu było u mnie źle, toby mnie pan już dawno opuścił.

- Ależ nie... - zaprotestował Benedykt.

- No, już dobrze, dobrze! Zaraz pana zwolnię, tylko najpierw mała niespodzianka! Mam dla pana propozycję!

O, Boże! Już! - pomyślał przerażony Benedykt.

- Wystąpi pan w telewizji! W mojej własnej audycji! Bo ja ostatnio robię cykl audycji o mieszkaniach, ale to jest planowane o wiele szerzej. To znaczy ta audycja jest pierwszą z tego cyklu i musi być rewelacyjna! Mam koncepcję opracowaną do najdrobniejszych szczegółów. A jednocześnie mam szerokie spojrzenie na problemy estetyki dnia codziennego. Ludzie tak brzydko mieszkają, wie pan! A przecież bez trudu można im pomóc, czasem brakuje tylko pomysłu, sugestii. O, na przykład ten zimowy bukiet - wskazała ogromny gliniany dzban - czyż on nie starcza, żeby ozdobić tę gładką, jasną płaszczyznę? Ludzie by tu zaraz

napchali Bóg wie czego, bo nikt nie może znieść gładkiej ściany. Zaraz zawieszają półki, półeczki, stawiają meble, a przecież pusta ściana i bukiet w glinianym garnku to najpiękniejsze, co może być, prawda? Pokażę to w mojej audycji.

- Rzeczywiście - mruknął znów Benedykt, uprzejmie zrezygnowawszy z wyjaśnienia, że ludzie, którzy nie doceniają uroku pustych ścian, mają na ogół powierzchnie mniejsze niż 65 metrów na jedną osobę, którym to metrażem dysponowała Malwina Kalecka.

- A co to będzie za rola? Ta, którą ja mam grać w pani audycji?

- Pierwszoplanowa, oczywiście! Będzie pan prowadził mazura na tle mieszkania udekorowanego na sylwestra.

- Nie umiem tańczyć mazura.

- Ja pana nauczę... - powiedziała z obiecującym uśmiechem gospodyni.

* * *

- Mogę spróbować - zgodziła się w końcu Wolska i Dorota odetchnęła z ulgą. Najważniejsze było, żeby Klarę znowu wciągnąć w krąg ludzi, nie pozwolić na rozpamiętywanie. Reszta przyjdzie z czasem. Bez pośpiechu. Kiedy o tym pomyślała, zadzwonił dzwonek.

- Porozumiem się z tą Kalecką i powiem, że się zgadzasz, dobrze? - Wolą sprawę zapiąć na ostatni guzik. - A teraz leć, bo moi dzwonią! Pa!

Otworzyła spodziewając się Burego z wywieszonym ozorem i z kilogramami błota na brzuchu. Ale pies był wypoczęty, a błocko miał już dokładnie wyschnięte. Benedykt uśmiechał się przeprasząco.

- Poganiał się trochę. Bury spotkał taką ładną sukę. Nie mogłem mu odmówić. Byliśmy aż pod Skarpą.

- Wytrzymaj mu łapy i siadaj do obiadu.

Pogłaskała psa po łbie. Niepostrzeżenie przesunęła dłonią po bokach i brzuchu. Nie myliła się - pies był suchy.

Klara Wolska wysłuchiwała argumentów Doroty i pozwo- li

sobie wmówić, że gmach TV jest miejscem wszechstronnego relaksu, okazją do poznania fascynujących ludzi, lekarstwem na samotność, depresję, ból w krzyżu, gripę, podagrę i wszelkie choroby ducha i ciała. Słuchała pobłażliwie, z rozbawieniem, aż w końcu zrozumiała, że ma ochotę uwierzyć. Raz w życiu mogła zrobić dekorację do telewizyjnego Kącika Praktycznej Pani. Raz w życiu to przecież tylko zabawa, nic więcej. Pojechała na spotkanie z Kalecką.

- Pani Wolska, prawda? - Malwina poderwała się na widok Klary z żywością osiemnastolatki. - Pamiętam, pamiętam, spotkałyśmy się kiedyś u Bajorków. Może zejdziemy na kawę? Bo, widzi pani - paplała po drodze - ja mam mnóstwo pomysłów. I wszyscy mi znoszą nowe. Nawet dyro! A mój szef zachowuje się jak czuła niania! Pilnuje, czy jadłam śniadanie, czy się nie przepracowuję. Obiecuje mi najlepszych kamerzystów. Zresztą oni już wiedzą i dwóch takich fajnych chłopaków pali się do tej roboty jak licho. Tylko patrzą, jak się nawzajem ubiec. Jeden drugiego nabiera, żeby ode mnie rywala odciągnąć. A ja mam zabawę! Tylko patrzę, co z tego wyniknie! I wezmę trzeciego! Jest tu taki jeden - nieśmiały, dwóch groszy bym za niego nie dała, ale jak on stoi przy kamerze, to wszystkie dziewczyny jak seksbomby wychodzą. Tylko muszę go ośmielić.

- Na pewno robi to pani bez trudu - powiedziała z roztargnieniem Klara. Paplanie zaczęło ją nużyć, kawa była bez smaku, bezsensowne miotanie się tłumów ludzi po ciasnym bufecie stawało się nie do zniesienia. Mowy o konkretach nadal nie było. Klara zaczęła żałować, że tu przyszła.

- Och, w ogóle to najlepiej byłoby, gdybym sama stanęła za kamerą. I nie wątpię, że już przy następnej audycji to zrobię. Bo, wie pani, ja jestem typowym człowiekiem renesansu. Nawet nie znam wszystkich swoich uzdolnień. Ja sama bywam jeszcze ciągle dla siebie samej źródłem niespodzianek. To fascynuje...

- Pani Malwino - zawołał chłopak przechodzący z kopianym talerzem sałatki jarzynowej - jakiś ognisty Hiszpan

pani szuka! Ze szpadą i własnym bykiem, zresztą!

- Ach, 'zapomniałam! - Malwina porwała się od stolika, ale za późno. Z nieśmiałym uśmiechem, ukrytym w gęstej brodzie, przebijał się przez tłum Benedykt Płocki. Nagle uśmiech zamarł mu na wargach. Klara Wolska podniosła głowę znad wystygłej kawy. Już od dłuższego czasu trwała przy stoliku wyłączona, zajęta swoimi myślami, wtrącała machinalnie co chwila jakieś stosowne mruknięcie i czekała na moment, kiedy będzie można stąd wyjść. Paplanina Malwiny docierała do niej z daleka, ale przecież docierała. W pewnej chwili przestała docierać. Podniosła wzrok, rozejrzała się i zobaczyła przed sobą Benedykta Płockiego, który był tu postacią nie na miejscu, bez sensu, ale przecież był. Istniał i stał przed nią z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Właściwie dlaczego on był zaskoczony?

- O... - powiedziała Malwina - to państwo się znają?...

Państwo się znali doskonale. Od kilku lat. Romek, brat Klary, i Dora po drugim rozwodzie mieli się ku sobie. Ustalono nawet termin ślubu. I wtedy właśnie zjawił się Benedykt. Szkolny kolega Romka, dawno nie widziany, miło przez wszystkich przyjęty. Oprócz Klary. Ta z miejsca zauważyła, co się święci. Przestrzegając, usiłowała namówić Dorotę na przyspieszenie ślubu. Bez skutku. Ślub Dory odbył się w przepisowym terminie. Ale z Benedyktem.

Teraz Klara mogła triumfować, wołać „a nie mówiłam”, polecieć do Doroty i opowiedzieć jej, co widziała. A widziała głupią minę Bena, która sama mówi za siebie. Choć akurat właśnie w tym przypadku do głupich min nie było powodu. O żadnym romansie nikt tu nawet nie myślał.

Pani Malwina zdążyła już Benedyktowi, podczas nieobowiązującej kawki w jej salonie, opowiedzieć o swych perypetiach z tłumami narzucających się jej mężczyźn wszelkiej maści, nacji, wieku i urzędu, więc uznał, że wobec takiej obfitości zwolniony jest od świadczeń o charakterze erotycznym. Niemniej ukrył przed żoną swoje kontakty, ponieważ nie był pewien, czy Dorota zrozumie jego punkt

widzenia. W końcu przecież ta Kalecka była całkiem, całkiem. Skoro więc ukrył, to nie po to, żeby się natychmiast wydało. A Wolska spojrzała na niego tak, jakby wiedziała wszystko. Tylko że to „wszystko” znaczyło „nic”. Ale która baba w to uwierzy! One tylko to jedno mają na myśli! Gdyby były zdolne spojrzeć na świat szerzej, pod innym kątem, Ben nie musiałby ukrywać przed żoną swej wizyty w TV, nie musiałby opowiadać o koledze, z którym reperuje dziś samochód. Zaplątał się trochę w tej swojej złości na babskie ograniczenia, ale znalazł winnego i było mu już łatwiej. Niemniej spotkał tu tę cholerną Klarę i jest teraz zdany na jej łaskę i niełaskę. Na to, czy zechce zaraz zadzwonić do Doroty, czy raczej powstrzyma się przynajmniej na jakiś czas.

- Pani Klaro! Ani słowa Dorce! - wziął byka za rogi. - Ja mam tu wystąpić. Jeśli się ten występ uda, to zrobię jej niespodziankę, jeśli nie, to nie chcę, żeby się ze mnie śmiała. Dobrze? Potem jej kiedyś powiemy.

- A co pan tu będzie robił? Będzie pan stał w kąciku praktycznej pani? Tak żeby miała na podorędziu? - Klara zaczynała być złośliwa, a to znaczyło, że wraca do zdrowia. Może więc uda się z nią dojść do ładu?

* * *

Malwina Kalecka tanecznym krokiem przecięła jezdnię tuż przed maską nadjeżdżającego samochodu. Kierowca udawał, że jest strasznie zły, pukał się w czoło, wygrażał, ale Malwina doskonale wiedziała, że robił to tylko po to, żeby się za nią bezkarnie obejrzeć. Malwina czuła, że jej radość, a nie była to radość bez powodu, odbija się słońcem na twarzy, daje lekkość i wdzięk. Czuła, że płynie niemal w powietrzu nie tykając ziemi. Weszła na schody obskurnej kamienicy, obdarzyła promiennym uśmiechem staruszkę, który szarmanckim gestem przytrzymał jej drzwi, i absolutnie bez zadyszki, lekko wbiegła na trzecie piętro. Nacisnęła dzwonek.

- Otwarte! - usłyszała zza drzwi. - Siedzę w wannie! Jak obcy, to nie wchodzić, bo pies!

- Nie obcy, nie obcy. To ja!

- Wejdz! I zrob sobie herbaty. Swiezo parzona - przemawiala z lazienki Magda. - Ja zaraz wychodze.

- Siedz! Ja tylko na chwile. Ale musze wejsc do ciebie i powiedziec, bo mnie rozpiera. Mam! Rozumiesz? Mam przydzial na „malucha”!

Magda siedziala w wannie pelnej piany. Obok na stolku stala szklanka czarnego plynu i talerzyk z sernikiem.

- Fajnie! - Magda przetarla ręcnikami zalawione oczy, upila nieco smolistej cieczy. - Jutro uprzatniemy ci garaz.

- Nie, jeszcze nie musicie. Nie mam pojecia, kiedy go dostane. Co prawda przydzial jest na czwarty kwartal biezacego roku, ale...

- No to wlasnie ten rok sie konczy - zauwazyła przytomnie przyjaciolka - powinnaś dostac lada dzien.

- Nie wiem! Nie mam pojecia! Nic nie wiem! Jestem cala nieprzytomna. Po prostu jeszcze nie moge uwierzyc!

- Nie przesadzaj - doszlyśmy do wieku motoryzacyjnego, ciagle jacyś nasi znajomi dostaja przydzialy, kupuja samochody i nie jest to wcale taki cud.

- Dla mnie jest. Pamietaj, ze ja dwa lata temu startowalam od zera. Przeciez wiesz, w jakiej sytuacji on mnie zostawil. Nie mialam nic, nie umialam pracowac, potracilam wszelkie kontakty, znajomych. Nikt nie wierzył, ze dam sobie rade. A dzis? Proszę! Stac mnie na samochod, kupiony za wlasne zarobione pieniadze. Stac mnie na jego utrzymanie i na przyzwoite zycie. Och, jaka jestem dumna z siebie! Nie masz pojecia!

- Nie mam - odparla zgodnie Magda i nurknela z glową do wanny, a wannę miala przedwojennych rozmiarów. Kiedy się wynurzyla, Malwina odczytywala wlasnie tresc dokumentu, na mocy ktorego miala lada dzien stac się posiadaczka samochodu fiat 126 p.

- ... Polmozbytu. Podpis, pieczec, data. Czy ty rozumiesz, jakie to ma dla mnie znaczenie prestiżowe?

- Prestiżowe? Samochód jako taki? Dzisiaj? - odpowiedziala pytaniami Magda i polala glowę szamponem. -

Musiałby to być co najmniej ford consul, żeby był prestiżowy.

- Mylisz się, kochana moja! Mylisz się absolutnie! Ten przydział to jest ocena mojej pracy. Nie chcę sobie pochlebiać, ale są ludzie, którzy pracują po dziesięć lat i nigdy nie dostali jeszcze przydziału.

- Jasne, na przykład ja - przyznała zgodnie Magda nie wdając się w szersze omawianie pasjonującego tematu, jakim jest sposób zdobywania przydziałów oraz rozdział samochodów osobowych w Polsce.

W gruncie rzeczy byłoby miło, gdyby Bajorkowa zechciała trochę pozazdrościć. Samochód co prawda Bajorkowie mieli już trzeci, ale zawsze jeden na dwie osoby, a poza tym Magda prowadziła jak noga i nie potrafiła podejść do tego jak do sportu, czerpać z prowadzenia przyjemności. Magda przyciskała gaz do dechy i rznąła do przodu, natomiast Malwina czuła się Carusem kierownicy. Ileż w prowadzeniu wozu może być finezji i wdzięku, ile emocji!

- Czy ciebie jazda samochodem nic a nic nie podnieca? - spytała z niedowierzaniem przyjaciółkę. Magda popatrzyła na nią jak na wariatkę.

- A ciebie podnieca na przykład jazda autobusem?

- No, wiesz, co za porównanie! Przecież tu sama prowadzisz!

- No, właśnie! Jeszcze gorzej. Jedziesz basem, to sobie możesz książkę czytać albo w nosie dłubać, a tu nie dość że siedzisz nieruchomo i tyłek sobie na tych fotelach odgniatasz, to jeszcze musisz uważać.

- Ale to tak jakbyś czwórka narowistych koni powodowała!

- Wcale nie chciałabym nimi powodować. Jeśli są narowiste, to znaczy, że mają zupełnie inny pogląd na kierunek jazdy niż ja. To rzecz do przedyskutowania raczej.

- Ach, bo ja to mam zupełnie inny, taki władczy, stosunek do samochodu. Mam bezbłędne wyczucie sytuacji i własnych dyspozycji w danym momencie. Ja, kiedy siadam za kierownicą, wiem, że to jest to, do czego mam talent. Co umiem. Co lubię! Zresztą jestem typem człowieka renesansu i moje zdolności...

Klara Wolska nie miała ochoty spotykać się dziś z nikim, ale tej wizyty uniknąć nie mogła. Nieopatrznie wspomniała Benedyktowi, że właśnie wypłacono jej część odszkodowania po wypadku. Nieopatrznie, gdyż Płoccy należeli do tych uroczych, ale męczących ludzi, którzy ciągle zaciągają i oddają długi, nigdy nie mają pieniędzy, ale zawsze kupują wszystko, na co mają ochotę. Ben, mimo że swoją wizytę w TV kamuflował, o pieniądzach Klary jakoś sprytnie żonę powiadomił. Dorota zadzwoniła natychmiast. Nie miała wielkich wymagań - „dwa, trzy tysiące na życie”.

Przyjechała prawdopodobnie taksówką, co Klarę zirytowało ostatecznie. Do tego miała na sobie włóczkowy kapelusik, który Klara zdecydowanie wolałaby widzieć na młodej dziewczynie, lub nobliwej starszej pani, zaś do tego kapelusika gobelinek podbity królikami - szał ostatniego sezonu. Klara nie była w stanie pojąć, jak Dora, skądinąd zdolna plastyczka, może przejawiać taki brak gustu. To znaczy gustu zbieżnego z jej własnym, bo cóż to znaczy w tej chwili „dobry gust”? W bufecie telewizyjnym zobaczyła tego jednego dnia tyle bab nieznośnie poprzebieranych, przeważnie za własne wnuczki, że starczyłoby na lata. Nie, stanowczo Klara nie dojrzała jeszcze do przebywania w takim młynie, jak telewizja. Po wizycie tam miałyby ochotę zaszyć się na swoim poddaszu, nie oglądać żywej duszy przez kilka tygodni. Tylko co temu wszystkiemu winna biedna Dorota, którą przecież Wolska naprawdę lubiła! Jednakże gobelinka demonstracyjnie nie zauważyła.

- Czego się napijesz? Kawy? Herbaty? Masz chwilę czasu? No, to rozbieraj się. Na co czekasz?

- A ty masz czas? Trochę więcej niż trochę. Bo muszę z tobą pogadać. Jak kobieta z kobietą... Tylko powiedz szczerze. Jeśli masz jakąś pilną pracę, to...

- Dajże spokój! Przecież wiesz, że jak pada, to z tym krzyżem nie mogę nic robić. Najwyżej pić kawę i jeść solone orzeszki. Nie jesteś głodna?

- Daj spokój, czy ja jestem Bajorkowa! Zaparz kawę. Tylko dwie dziś wypiałam. Widzisz... - Obracała w palcach zapalniczkę, wydawała się nieco zakłopotana, ale jej twarz, interesująca twarz o szeroko rozstawionych oczach, nie straciła swego nieprzeniknionego wyrazu. Dorota Płocka na ogół nie uzewnętrzniała swoich uczuć. Miała cichy, łagodny głos, nieśmiałe spojrzenie, ale Klara знаła ją zbyt dawno i zbyt dobrze, żeby nie wiedzieć, że Dora jest wewnątrz twarda jak skała. Jeśli kogokolwiek mogłaby się Klara bać, bez żadnej wyraźnej przyczyny, bez racji i powodu, to tym kimś byłaby jej długoletnia przyjaciółka Dorota. - Widzisz... mam kłopoty z Benedyktem...

- Już? To szybko. Kiedy rozwód? Kto będzie następnym mężem?

- Nie żartuj. Nie po to przyszłam.

- A co on robi? Znowu zmienia pracę? - Płocki znany był z tego, że równie szybko wpadał w zapał, jak i ulegał zniechęceniu. A zniechęcony, pracować nie mógł. Musiał przerwać i znaleźć coś, co by go porywało. Klara doskonale wiedziała, że nie o to chodzi.

- Och, nieważne! Gorzej, że zaczyna zmyślać. A przy tym zachowuje się, jakby nie miał baby. To się wyczuwa. Nawet jeśli mężczyzna jest bardzo czuły... zbyt czuły może... Ale nie wydaje mi się... A przy tym typowe historyjki! Wiesz, kolega, któremu się popsuł samochód. Trzeba mu pomóc, trzeba z nim popracować. Bierze kombinezon, narzędzia, ale krawat wiąże przed lustrem piętnaście minut. Dla kolegi?

- Ojej, wielkie rzeczy! Może kolega ma przystojną żonę? Albo córkę? A on jest kokiet. Nie zauważyłaś? Może ty jeszcze takich rzeczy u niego nie zauważasz?

- Owszem, kolega ma ładną żonę, tylko że oboje wyjechali na urlop. Sprawdziłam. Są w Zakopanem...

Klara mieszała swoją kawę przypatrując się jej z uwagą. Teraz właściwie powinna powiedzieć. W końcu nie zobowiązywała się wobec Bena do trzymania języka za zębami. A gdyby nawet, to jego niespodzianka jest niczym wobec głupstw, jakich może narobić zazdrosna Dorota. Jeśli to, co

mówił Benedykt, jest prawdą, Dora może śmiało wiedzieć o niespodziance i udawać przed mężem całkowitą nieświadomość. Już ona to potrafi. Jeśli nie jest prawdą, to Dora powinna być ostrzeżona, zanim romans z Malwiną nabierze rozpędu. Z drugiej znów strony, jeśli istotnie tylko galowy występ w telewizji skłania Bena do robienia tajemnicy ze swoich spotkań z Kalecką, to nic groźnego się nie dzieje. Dora parę dni się pomęczy, ale za to jakież słodkie będzie miała zadośćuczynienie. Jeśli zaś sprawa jest poważna, to nie należy pakować palca między drzwi - zdecydowała Wolska i spytała:

- Nie potrafisz poczekać? Musisz natychmiast rozwiązać dylemat?

- Nie, nie muszę - odparła zgodnie Dora i Wolska znów przyjrzała się jej podejrzliwie. Co kryje się za tą cierpliwością i opanowaniem? Dlaczego ona taka zgodna?

- Powinnaś poczekać, poobserwować chyba... Nie wiem, co wy robicie w takich wypadkach, kiedy wam mężowie stają dęba - Klara była osobą samotną z wyboru i wydawała się z tego dumna - ale Benowi nie możesz zrobić sceny zazdrości, bo go tym raczej zrazisz niż... On nie jest taki. No, jednym słowem, nie wariuj! - Klara zdała sobie sprawę, że mówi głupstwa. To prawda, że Dora nie potrafiła utrzymać w całości żadnego ze swoich dotychczasowych małżeństw. Jeśli już zaczynały się rozpadać, to w końcu rozpadały się z hukiem, ale przecież to nie ona robiła sceny zazdrości. To oni krzyczeli, wywijali pięściami, używali karczemnych wyrażań. Dora mogła tylko patrzeć swoimi przezroczytymi oczami i... Właśnie! Co mogła jeszcze robić, żeby sprowokować taką furję, żeby zasłużyć na podobne traktowanie? Ta spokojna, dystygowana nieomal, Dorota! Jaka ona właściwie jest?

Dochodziła północ. Malwina Kalecka wyszła z kąpieli, namaściła ciało olejkami, położyła tłusty krem pod oczy i na szyję, zrobiła masaż stóp i siadła wreszcie z telefonem w ręku na wygodnym fotelu. Wiedziała, że na drugim końcu pogrążonego we śnie miasta czuwa inny nocny marek. Klara Wolska podczas ostatniej rozmowy wspomniała coś o

bezsensowności.

- To pani też? - zawołała Malwina. Spojrzały wtedy na siebie z wyraźną sympatią. - Wreszcie będę miała z kim gadać po nocy!

I rzeczywiście! Owe „nocne Polaków rozmowy” stały się niemal rytuałem. W ciągu tych kilku dni Malwina zdążyła się do nich przyzwyczaić. Co ciekawsze, świetnie po nich zasypiała.

- Dosłownie - powiedziała wczoraj Klarze - nos do poduszki i już mnie nie ma! Może pani także?

- Nie - odparła Klara - ja odwrotnie. Nie mogę zasnąć, myślę o tych wszystkich sprawach, o których mówiłyśmy, o tym, co mi pani opowiadała, i wybijam się ze snu.

- No tak, ja niestety me działam na ludzi usypiająco. Raczej przeciwnie. Na pewno mam mnóstwo wad, ale na' pewno nie mam jednej - nie jestem nudna.

Nakręciła numer. Długo nikt nie podnosił słuchawki. Zaniepokoiła się. Wczoraj Klara była w fatalnym nastroju. Nachodziły ją wręcz samobójcze myśli i Malwina musiała się porządnie napracować, żeby uzmysłwić Klarze, ile ona sama przeszła, w jak beznadziejnych znajdowała się sytuacjach, a jednak nigdy się nie załamała. Klarze zresztą też nie można było odmówić pewnego hartu ducha i optymizmu. Łatwo jednak zachować dowcip i poczucie humoru, jeśli się ma bodaj jedną życzliwą duszę, przed którą można się absolutnie otworzyć. I tego właśnie, zdaniem Malwiny, potrzeba było Klarze.

Nakręciła po raz drugi numer Wolskiej, rozumując słusznie, że o takiej porze człowiek sporo przebywa w łazience i nie należy wpadać w panikę. Istotnie, po kilku sygnałach odezwał się cichy, jakby pełen rezygnacji głos Wolskiej. Żeby ją rozerwać, nie dopuścić do złych myśli, Malwina od razu, bez wstępów, zaczęła beztroską pogawędkę.

- Odbieram w sobotę samochód! Co pani na to? Zamurowało? Wszystkich zamurowuje! Regularnie! Komu powiem, że parę tygodni temu zdecydowałam się kupić wóz, a w sobotę odbieram, to go albo szlag trafią, albo głupieje. No więc,

droga pani Klaro, będziemy sobie jeździć na nocne spacerzy, na wytworne kolacyjki do mnie. Ja zawsze odwiozę panią do domu. Nie będę taka, jak te leniwe Bajorki. A pierwsza rzecz, jaką zrobimy, kiedy pani mnie odwiedzi, to wypijemy uroczyście bruderszaft!

- Koniec z Bajorkami - roześmiała się Klara. - Oni nie są godni, żebym ja do nich przychodziła. Wie pani, co oni mi zrobili dzisiaj? Musiałam wpaść do nich po tę kurtkę, o której pani mówiłam. No więc przychodzę i mówię od razu, że to ciężkie, więc czy mnie nie odwieziecie, pytam. Wiem, że Magda wieczorem niezbyt pewnie się jeszcze czuje za kierownicą, ale ten jazgotnik...

- Tak - przerwała Malwina - ona nigdy nie będzie dobrym kierowcą. Nie jest może tak objeżdżona jak ja, ale objeżdżenie to nie wszystko. Trzeba mieć dryg. Ja mam, wie pani, taki władczy stosunek do samochodu. Ja...

Wolska sięgnęła po „Politykę” i zaczęła czytać „Bywalca”. Od czasu do czasu wtrącała stosowne mruknięcie, a kiedy Malwina doszła do znanej Klarze sytuacji, w której poprzedni ukochany, Malwiny, Leopold, jadący dużym fiatem, w żaden sposób nie mógł dogonić jej, jadącej trabantem, Klara przestała nawet pomrukiwać. Wiedziała, że opowieść tego nie wymaga. Jest niezbyt długa, ale za to pełna dygresji. Skończyła „Bywalca” i zaczęła „Coś z życia”, a potem przysunęła sobie projekt okładki, nad którym właśnie pracowała, i, trzymając słuchawkę ramieniem, zaczęła robić tytuł. Stwierdziła, że przy jednostajnym szmerku w telefonie świetnie jej się pracuje. Gdyby tylko nie trzeba było przytrzymywać tej słuchawki. Położyć? Nie, to bezwstydne! Dawno już powinna skonstruować stojak. Wiele razy o tym myślała, ale zawsze wtedy, kiedy z kimś rozmawiała. Nigdy w porę.

Odłożyła jednak słuchawkę na stół, bo potrzebna jej była druga ręka. Zaciemniała dolną płaszczyznę okładki coraz odważniej. Jasna zieleń przechodziła już w butelkowy odcień, kiedy w słuchawce coś trzasnęło i umilkło. Chwyciła ją pospiesznie.

- Przepraszam, pani Malwino, nie dosłyszałam, bo właśnie

zapalałam papierosa.

Doleciał ją cichy śmieszek.

- Waśnie mówiłam, że proszę chwilkę poczekać. To zabawne, jak my się rozumiemy, bo w tym samym momencie ja też sięgnęłam po papierosa.

* * *

Miała go wreszcie! Był koloru bordo, z czarną tapicerką, na którą Rafał skrzywił się paskudnie.

- Dla kobiety czarna tapicerką! - mruknął z odrazą. - Ale nie można wybrzydzać, jeśli chcesz szybko. Potem się pomyśli nad zmianą koloru.

Jakkolwiek nie było już między nimi tak, jak powinno, w tej sprawie Rafał zachował się bez zarzutu. Użył wszelkich swoich wpływów, żeby Malwina otrzymała ten samochód istotnie w ciągu dwóch tygodni, żeby otrzymała egzemplarz najlepszy z najlepszych i żeby nie miała przy tym wszystkim żadnych kłopotów. Był obecny przy odbiorze, eskortował ją aż pod garaż i na koniec uczynił wymowny gest w stronę wyglądającej oknem baby z parteru, która omal nie wypadła przez okno widząc Malwinę w nowym samochodzie. Baba cofnęła się natychmiast i zaciągnęła firankę. Gdyby Malwina była sama, nie, obyłyby się bez uwag o „śmierdzących samochodach” itd. Och, jak dobrze mieć u boku prawdziwego mężczyznę, przy którym żadne złośliwe babsko nie ośmieli się nawet ust otworzyć. Niestety, jak powiedziała kiedyś Bajorkowa, prawdziwi mężczyźni przy swoich określonych zaletach mają również typowe wady i tego się nie da rozdzielić. Tak było z Rafałem. Taki męski, odważny, ekspansywny, taki, dla którego, zdawałoby się, nie ma przeciwników, a w sprawach osobistych - wzruszało to zawsze Malwinę - był jak nieśmiały chłopiec. Ileż w tym dorosłym człowieku było infantyli-

mu! Pragnął jej przecież jak potępieniec. Była o tym przekonana. Głos mu się łamał w słuchawce, drżący z podniecenia mówił „przyjeżdż”, a potem znikał. Kiedy zjawiała się w drzwiach warsztatu, potrafił uciec drugimi, wskoczyć w samochód i gnać gdzie oczy poniosą. A potem był bardzo zawiedziony, że ona za

nim nie goni. Widocznie przywykł do kobiet, które natychmiast rzucały się w pościg, ale nie powinien się łudzić, że spowoduje do tego Malwinę. Zresztą zrozumiał już, z jakiego pokroju kobietą ma do czynienia, ale podświadomie zapewne czekał. Wiedział, że do Malwiny nie dadzą się zastosować żadne utarte schematy, jakimi operował dotychczas w stosunkach z kobietami. Wiedział, fascynowała go jej bogata osobowość, ale równocześnie miał nadzieję, że trafi na jakiś jej słaby punkt, że zdobędzie nad nią przewagę, której dotychczas nie miał nawet w łóżku. Może tylko za kierownicą samochodu. A w przypadku Malwiny tej przewagi nie należało lekceważyć. Mężczyzna, który potrafił jej zaimponować jako kierowca, mógł się już prawie czuć zwycięzcą. Ale tego on na razie jeszcze - uśmiechnęła się do siebie - nie wiedział. Może to i lepiej.

- Czy mówi ci coś imię Malwina? - Wolska poznała w słuchawce głos brata.

- Tak, bohaterka osiemnastowiecznej powieści...

- Oj, głupia jesteś - powiedział Romek Wolski. - Malwina Kalecka.

- No, owszem, znam taką. A bo co?

- Ano to, że ta pani szuka ciebie w nerwach cała.

- Na miłość boską, skąd ona ma twój telefon?

- Od Płockich. Dzwoniła do ciebie, podobno umawialiście się na telefon, ciebie nie było. Wsiadła w samochód, pojechała, drzwi zamknęte...

- I tak bym nie otworzyła.

- Ale ona tego nie wie, więc jak się okazało, że nie otwierasz, to pojechała do Bajorków, ale ich też nie było, w końcu, zdenerwowana, że popełniłaś samobójstwo, zadzwoniła do Płockich. Tam była mała Joasia, która podała jej mój numer. Ta Kalecka wiedziała, że ty masz brata?

- Tak, to mogła wiedzieć... Wiesz, Romciu, dobiłeś mnie tym... Zdaje się, gdzieś tu przesoliłam... Dobrze, zadzwonię do niej...

Odłożyła słuchawkę z mieszanymi uczuciami. Trochę ją wzruszyła troskliwość Malwiny. Ta cholerna rodzina nie

zainteresowałyby się, gdyby nawet nie odezwała się przez parę tygodni. Można umrzeć z głodu, a oni uważają, że wszystko jest w porządku, że skoro Klara nie dzwoni, to widocznie sobie nie życzy. Więc to, co zrobiła Malwina, było na pewno miłe. Tylko że również przerażające. Klara niczego na świecie nie broniła tak zazdrośnie, jak swego spokoju. Teraz rozumiała, że ten spokój może być w każdej chwili zakłócony. Malwina dysponująca samochodem stała się groźna. Gdyby miała wsiąść w tramwaj, przesiąść się potem w autobus i przejść kawałek pieszo, prawdopodobnie nigdy by tego nie zrobiła bez powodu. Bez wyraźnej przyczyny. Samochód rozwiązywał tę sprawę niesłychanie prosto. Oczywiście, że można nie otworzyć, ale to znaczyłoby, że należy od dziś w ogóle nie otwierać nikomu. Jak długo można?

Klara nie należała do ludzi, którzy przeżywają męki, kiedy muszą komuś czegoś odmówić, zrobić przykrość, urazić szczerością. Potrafiła wyładować prawdę w oczy, bez trudu pozbyć się niewygodnych znajomości. W tym przypadku jednak miała pewne obiekcje. W końcu Malwina troszczyła się o nią całkiem bezinteresownie... Niemniej należało znaleźć jakieś rozsądne wyjście z sytuacji. Mogła w tym pomóc tylko Magda, która znała Malwinę od wielu lat i najlepiej orientowała się w rozmiarach niebezpieczeństwa.

- Wyobraź sobie, jaką miałam niesamowitą przygodę z naszą wspólną znajomą. Siedzę przy telewizorze, a tu nagle dzwoni mój brat i odzywa się w te słowa: „Co ci mówi imię Malwina?” - Tu Klara opowiedziała całą historię włącznie z własnymi odczuciami, które były ani takie, ani siakie, a to znaczy i takie, i siakie. - Rozumiesz, niby nic, ale jeśli ktoś się o ciebie zatroszczy na tyle, żeby polecieć, sprawdzić, a potem dzwonić do rodziny, której nie zna, to trochę człowieka rusza. Rozumiesz, prawda?

- Nie - powiedziała ponuro Bajorkowa. - Gorzej. Ja tu czuję poważne kłopoty. Zestawiam fakty następujące: jej lubek mieszka niedaleko ciebie, ona ma samochód oraz ma zwyczaj przebywać niedaleko miejsca zamieszkania swoich

lubków. Leopold mieszkał na Starówce, taka jedna Alicja też mieszkała na Starówce, tylko po drugiej stronie ulicy. Przyjaźń z Alicją kwitła, dopóki można było z jej mieszkania zobaczyć Leopolda albo jego ohydną, paskudną, zaniedbaną żonę w drodze do śmietnika czy do sklepu po mleko. Przyjaźń skończyła się, kiedy Leopold został ostatecznie skreślony z listy kochasiów. Mam nadzieję, że się myślę, ale może być źle. Poza tym ona lubi być szlachetna.

- Ty mnie nie strasz - jęknęła Klara. - Co tu wymyślić? Przecież ja tego nie wytrzymam. Ona ma straszną sklerozę, Ciągłe opowiada te same anegdotki z własnego życia.

- Przyzwyczaisz się - odparła z pełnymi ustami Magda.

- Co ty znowu żresz? Nie przyzwyczaję się. Nie ma mowy. Gorzej, ona mnie chce wozić swoim samochodem.

- O, cholera - powiedziała Magda i zamilkły obie, nie na żarty przestraszone. Wypadki pozostawiają urazy. To normalne. Klara nie pozwalała sobie na histerię, ale bała się samochodów.

- Czekaj, tu Michał coś kabluje? Że-co? Aha, że możesz się nie bać. On z nią jechał do placu Bema. Mówi, że ten demon szybkości jeździ z przeciętną trzydzieści na godzinę. Tylko co? Aha, lubi stawać na szynach. To normalne, to jej przejdzie. Każdy początkujący to robi. Przecież tak naprawdę to ona prawie nie jeździła - Janicz nie dawał wozu. Staraj się po prostu odciągnąć jak najdalej ten moment startu. A cholera wie?... A może lepiej teraz, dopóki się nie rozzuchwaliła? Nie ma mocnych! Musisz coś nałgać.

- Może powiem, że lekarz mi zabronił... jeździć samochodem? Bzdura! Uraz! Przecież wie, że jeżdżę z wami. Łże mam strasznie za złe, jak mnie nie chcecie odwiedzić. A teraz nagle z nią nie jadę? Głupio! Ale przecież jak ktoś się uważa za geniusza, to nie może jeździć normalnie! No, nie może - wybuchnęła Klara. - O, Boże, co ja sobie narobiłam!

* * *

Benedykt Płocki odprowadził żonę do pracowni, a kiedy już był pewny, że zasiadła nad planszami i nie wróci przed północą,

pognał do domu i biegiem przebrał się w garnitur, zawiązał muchę, wdział lśniąca kamizelkę. Uważał to za nie najlepszy pomysł, ale pani Malwina mówiła, że musi być jak najwięcej błyszczących punktów, żeby można było zakomponować. Dziś miała być generalna próba jej audycji pt „Jak przygotować mieszkanie na sylwestra”.

Dorota Płocka rozsiadła się nad planszami, postawiła wodę na kawę, włączyła piecyk.

Kiedy mąż wyszedł, odczekała chwilę, po czym wyłączyła czajnik, zamknęła pracownię na klucz i nie spiesząc się, poszła w stronę domu. Zatrzymała się przy wątych krzaczkach bzu oddzielających willę malarza Fińskiego od ulicy. Niewidoczna nawet dla przechodniów, mogła dokładnie obserwować, co się dzieje w oknie na parterze. Przystojny brunet w rozpiętej marynarce wiązał nerwowymi ruchami srebrzystą muchę i co chwila spoglądał na zegarek. Po czym wybiegł w rozwianym kożuszk i skręcił w ulicę Orzeszkowej. Dorota Płocka wysunęła się spod

oszronionych krzaczków i wolnym krokiem, głęboko odychając, poszła przez park do pracowni. Zanim przystąpiła do pracy, wykonała dla odprężenia kilka przysiadów, skłonów w tył i w przód, po czym rozluźniona i spokojna, jakby w postępowaniu męża nie zauważyła nic dziwnego, siadła do swoich plansz, które miały być zrobione na jutro, I będą.

* * *

- Znalazłam - powiedziała Klara - znalazłam na nią sposób. Powiedziałam, że byłam u lekarza, u bardzo dobrego neurologa, który zapisał mi prostą kurację: regularne odżywianie, wczesne chodzenie spać i ruch na świeżym powietrzu. Oprócz tego jakieś leki, ale głównie kazał zwrócić uwagę na sen, więc o dziesiątej biorę proszek, a o dziesiątej już śpię. Pamiętaj, bo to ty mi tego lekarza naraiłaś.

- Choleła - burknęła przez jakieś kluski Magda Bajorek - nie znam żadnego neurologa. Jeszcze do tego, żeby był dobry! A nie może być psychiatra?

- Psychiatra-neurolog! Może. Znajdź w książce telefo-

nicznej jakiegoś, a szybko, bo ona mnie już pytała o jego adres. Ma być na Hubach, pamiętaj, bo ja nie byłam przygotowana na to pytanie i zaczęłam się jąkać, że taka mała uliczka na Hubach, że nie pamiętam dokładnego adresu, bo wyście mnie zawieźli. Bardzo się zdziwiła, że tacy jesteście uprzejmi. Myślę, że tu przesoliłam. Ona chyba w to nie uwierzyła, jak myślisz? We wszystko, ale nie w to!

- Że my?

- Że wy. Aha, wcale nie było tak strasznie. Już z nią jeździłam. Dwa razy. Pierwszy o 12.30 w nocy, a drugi raz chyba około drugiej. Zaprosiła mnie na kolację, kropnęła kielicha i potem musiała posiedzieć, żeby jej to wywietrzało. No a ja, sama rozumiesz, nie rwałam się po jedenastej do nocnych taksówek. Więc i zeszło. Wrocław wyludniony, spotkałyśmy chyba ze cztery samochody, nie Ucząc milicyjnej budy. Znowu popełniłam błąd - mówiłam o tym ruchu na świeżym powietrzu i powiedziałam, że jutro kupuję sobie łyżwy. A ona na to, że też i że będzie przyjeżdżała do mnie na lodowisko. Myślisz, że ona naprawdę może to zrobić?

* * *

Podczas drugiej wizyty w telewizji Benedykt się zasiedział. Pani Malwina tak interesująco mówiła o ludziach i sprawach TV, wyjaśniała problemy telewizyjnej kuchni, że Ben ani się spostrzegł, jak minęła godzina, a potem druga. Dopiero kiedy jakiś starszy pan po raz trzeci z marsową miną zajrzał do pokoju zwanego „gościnnym” i chrząknął znacząco, Ben zreflektował się i pożegnał.

Malwina weszła do siebie, gdzie siedział szef z przyjacielem. Obaj niczym gradowe chmury. Uśmiechnęła się. Ich złe humory były dla niej takie zabawne.

- Wszystko strasznie się przeciągnęło. Czy nie można by krócej? - spytał Kamil.

- Ten pan był u mnie wyłącznie służbowo - odparła Kalecka z uśmiechem, który sugerował, że nigdy żaden mężczyzna nie bywa u takiej kobiety wyłącznie służbowo. A jeśliby nawet służbowo wszedł, to wyjdzie całkiem prywatnie. Taki jest

świat i takie są magiczne właściwości istot w rodzaju obecnej tu Malwiny Kaleckiej, ozdoby tego pokoju i maskotki obu panów po pięćdziesiątce, którzy tak źle znoszą widok mężczyzn młodszych i przystojniejszych.

- Cieszy nas to niesłychanie, ale cieszyłoby jeszcze bardziej, gdybyśmy przedtem dostali od pani teksty, bez których nie będziemy mogli ruszyć dalej.

- Właściwie siedzimy tu dwie godziny nie wiadomo po co. A pani sobie flirtuje z urodziwym brunetem - dodał Jerzy na wpół żartem, ale Malwina wiedziała, że bierze go cholera. Pokiwała główką.

- A to pięknie! Scena zazdrości! A fe, panie Jurku! Pan powinien być wyższy ponad tak pospolite uczucia. Pan poeta, pan poeta...

- Ja? Skądże! Tylko...

- Nie? - Filuterne spojrzenie Malwiny mówiło, że doskonale wie, co należy sądzić o takich zaprzeczeniach. - Naprawdę? A ja się już tak cieszyłam, że pan jest choć troszkę o mnie zazdrosny!

- Tak! - powiedział z mocą Jerzy. - Tak, ma pani rację. Jestem zazdrosny, nie mogę patrzeć, jak taki szalowy brunet robi do pani słodkie oczy i w ogóle precz z brunetami. Niech żyją łysi!

- No, wreszcie! Przyznał się pan, a więc będzie panu wybaczone. - Podała mu pachnącą dłoń do ucałowania. - Oprócz przebaczenia dostanie pan nagrodę. Proszę, oto pana teksty do konkursu!

- A moje? - spytał Kamil.

- O, nad tym to się jeszcze zastanowię. Nie jestem pewna, czy pan zasłużył... - powiedziała Malwina z czarującym uśmiechem i wyszła z pokoju swoim pełnym gracji tanecznym krokiem, leciutko zaznaczając rytm ruchem bioder.

Kamil kopnął krzesło i skoczył do drzwi z zaciśniętymi pięściami.

- Zabiję babę! Zamorduję! Ukręcę łeb jak przepiórcę! Ona się zastanowi! Rozumiesz? Ona się zastanowi, czy ma spełnić swój zasmarkany obowiązek i dostarczyć mi te pięć listów

razem z dwoma zdaniem swego cennego komentarza, czy nie! Rany boskie, ja tu oszaleję! Z nią i z tobą!

- Dlaczego ze mną? - Jerzy kreślił zawzięcie maszynopis. - Zachowywałem się jak dyplomata, powiedziałem, że jestem zazdrosny, nasza heroina poczuła się usatysfakcjonowana i dała mi moje listy... Co prawda do każdego dorobiła po pół strony poetyckiego komentarza, ale przecież to zawsze można skreślić. Może powinienes paść jej do stóp i ucałować kraj szaty? Jak myślisz?

- Jurek - Kamil pochylił się nad przyjacielem, oparł zaciśnięte pięści o stół - czy nie sądzisz, że przekroczyliśmy barierę dźwięku? Albo ty jako główny nasz szef ru- gniesz tę babę i nauczysz ją rozumu, albo ja ci wypowiadam posłuszeństwo. Jest godzina 12.47. Za dziesięć minut musimy to dać na maszynę, bo inaczej wylecimy z planu. Czy ty sobie wyobrażasz, że ja w ciągu dziesięciu minut jestem w stanie złożyć gotowy konkurs?

- Mój drogi - Jerzy miał równie poważny wyraz twarzy - nie mam wyboru. Nie wiem, kto tę „seksolatkę” protegował, i nie wiem, o kogo ona się opiera. Sądząc po tym, co ma zamiast mózgu, to raczej protekcja musiała być wysoka. Jeśli tak, to jej nie wygryziemy. Więc musimy nasze współzycie uczynić znośnym. Rozumiesz? A co do . ciebie, to wierzę, że przez te dziesięć minut...

- Już tylko siedem...

- Siedem minut plus czas, kiedy ja będę dyktował swoje, zdołasz dokładnie powykreślać poetyckie wstawki naszej heroiny, wrzucisz na to miejsce obrazki i zdążysz mnie zluzować przy maszynach.

• - Po co ta fikcja? Powiedz mi, po cholerę zlecasz jej pisaninę, którą natychmiast skreślasz!

- Po to, żeby można jej było za to zapłacić. A ja nie skreślam, tylko redaguję. Potrzebujemy siły administracyjnej, a wiadomo, że wszyscy tutaj chcą być redaktorami. Za cenę tego, że woźni, maszynistki i petenci mówią do niej „pani redaktor”, masz zrobiony kawał biurowej roboty, na którą sam nie masz czasu ni chęci. Za cenę tego, że zlecam jej

twórczą pracę: napisanie komentarza do tych listów, mam te listy uporządkowane i posegregowane.

- Wiesz, jestem szczęśliwy - westchnął Kamil - że niedługo pójdę na emeryturę. To nie dla mnie ten nowoczesny styl pracy, te metody sięgania prawą ręką do lewego ucha...

- Wiecie - wbiegła do pokoju Malwina - mam w horoskopie na ten tydzień znajomość z interesującym mężczyzną!

- Pani Malwino, tekst do konkursu - powiedział lodowato Kamil.

- Przecież panu dałam! Ach, nie! To pana Jurka! Boże, jaka ja jestem roztargniona! Ale podobno roztargnienie dodaje kobiecie wdzięku. Czy to prawda?

- Prawda. Więc gdzie te listy?

- Tutaj! No przecież cały czas leżą! Ale pan nie patrzył na półkę, tylko wodził okiem za brunetem, który naprawdę odwiedził mnie wyłącznie służbowo, przysięgam. Absolutnie służbowo!

- Wierzę, wierzę - burknął Kamil niezbyt uprzejmie - błagam, niech pani już o nim nie wspomina, bo go wyzwę na pojedynek.

Metoda dała pożądane rezultaty. Malwina spojrzała na niego kpiąco i odwróciła się do swego biurka. Kamil wziął ołówek i wykreślił, nie czytając, cały komentarz. Potem przeczytał. Przywrócił kilka zdań. Były napisane poprawną polszczyzną, co wydało mu się dość cenne. W końcu nie spotyka się tutaj nawet na redaktorskich stołkach zbyt wielu osób, które umieją sformułować poprawnie kilka zdań w ojczystym języku. Jerzy miał rację. Pani redaktor Kalecka była cennym nabytkiem. Niezależnie od tego, kto ją protegował.

* * *

- Wyobraź sobie, że Klara kupiła łyżwy i jeździmy co dzień tam u niej. Bardzo się wzięła w karby - powiedziała Magda, chcąc nadać cechy prawdopodobieństwa opowieści o genialnym neurologu - cieszę się z tego. Oby jej na dłużej tego zapalu starczyło.

- Sądzę, że starczy - powiedziała spokojnie Malwina. - Nie chcę przeceniać swoich magicznych właściwości, ale od czasu kiedy ją powoziłam raz i drugi nocą po mieście, kiedyśmy sobie porozmawiali, Klara stała się innym człowiekiem. To był dla niej taki psychiczny relaks.

Magda Bajorek nie znalazła odpowiedzi. Rzadko zapominała języka w gębie, ale tego było nawet dla niej za dużo. * * *

Próba generalna wypadła doskonale, sylwestrowi „goście” okazali się sympatyczni i z humorem traktowali swój „występ” przed kamerą. Była to równocześnie dla wielu pań próba generalna prawdziwych sylwestrowych kreacji, jako że niespełna trzy tygodnie dzieliły uroczysty dzień nagrywania od autentycznego wieczoru balów i zabaw. Malwina zamierzała wystąpić w obłokach tiulu, który robił z niej nierealne, niezemskie zjawisko. Na prawdziwy bal taki materiał nie wchodzi w grę, jest zbyt tandetny, ale w świetle reflektorów, w blasku srebrzystych kul, odbijających światła, efekt może być piorunujący. Klara nie chciała wystąpić i Malwina nie nalegała. Benedykt przyjdzie z całą pewnością - bawi go to całkiem wyraźnie - Kamil też. Jerzy, niestety, nie może. Szkoda, taki elegancki, nieco w stylu retro, starszy pan przydałby się bardzo. Dziewczyn będzie aż pięć, wszystkie się napraszały i nie można było odmówić. Stół nie za bogato, ale efektownie zastawiony, wszystkiego po odrobinie, szampan, poza tym żadnych alkoholi, kieliszki wyżej, za nimi również źródło światła, najwyżej choinkowa żaróweczka, no, może dwie... Właściwie można zaczynać.

Goście przyszedli tak punktualnie, jak nigdy nikt na żaden prawdziwy bal nie przychodzi. Natomiast ekipa spóźniła się skandalicznie. Malwina, zdenerwowana do ostateczności, dzwoniła co chwila do telewizji, żeby się dowiedzieć, że nadal są „w terenie”, że nie dzwonili, że pewno jadą i że wszystko jest w porządku. Kamil bezwstydnie podzerał sałatkę i tłumaczył, że jedzenie nie może leżeć nietknięte, bo wygląda sztucznie. Ale rozgrzebane wygląda jeszcze gorzej, bo nieapetycznie.

Wpadli nagle, z hukiem, szumem i pośpiechem. Jeden miał

cofniętą brodę, wielki czerwony nos i wypisaną na tej parszywej gębie absolutną pewnością siebie. Malwina poznała go, to był Welacz, stary kamerzysta, tępy, ale zasłużony. Już wiedziała, że to nie będzie to, co sobie wymarzyła. Całością kierował młody człowiek o łagodnym wyglądzie i rzęsach jak firanki. Wydawał się wrażliwy i jego należało przekonać, że Welaczowi nie można pozwalać na wszystko, co mu się podoba.

- Wie pan - pociągnęła go na bok - ja mam taką koncepcję... Tu stoję ja, obok ten brunet z brodą i nagle wbiegamy wszyscy krokiem mazura. Następnie...

Młody człowiek wysłuchał grzecznie, zatrzepotał rzęsami i powiedział:

- Bardzo interesująca koncepcja. A teraz proszę, żeby wszyscy wyszli... -I zrobił to wszystko odwrotnie. Malwina uśmiechnęła się pobłaźliwie. Oczywiście, mężczyzna! Reżyser! Jeśli widzi, że kobieta potrafi mu przedstawić koncepcję jasną, czystą, oryginalną, doskonałą w formie i w treści, zrobi wszystko, żeby przeforsować własną. Sto razy gorszą. Gdyby miała czas na porozumienie się z tym chłopcem, a właściwie, gdyby mogła sobie wybrać kamerzystę i przejąć dyskretnie funkcje reżysera, wtedy na pewno potrafiłaby zrobić rewelację. Niestety, kierowniczką całego Kącika Praktycznej Pani była baba i tylko temu przypisać należy, że Malwina otrzymała najgorszą ekipę, jaką można sobie wyobrazić.

* * *

- Nie włączaj teraz - powiedziała łagodnie Dorota - przecież tam dzisiaj nic nie ma. A ja muszę spokojnie porysować.

- Chcę posłuchać wiadomości sportowych - odparł Benedykt.

• - Przecież to jeszcze bardzo daleko.

- Kiedy ja zawsze przegapiam. Pamiętam, kiedy mam włączyć, coś mi przeszkodzi i jest o dziesięć minut za późno. Zważ, że to trwa tylko piętnaście minut. A zresztą teraz jest coś dla ciebie.

- Dla mnie?

- Kącik Praktycznej Pani. Ty nie jesteś praktyczna. To

przepraszam... -I czule przyciągnął ją do siebie. Na razie mówiono o wlewkach kuchennych, ale Benedykt nie dowiedział się, co to jest, ponieważ wyszedł postawić wodę na kawę. Zaraz po wlewkach miało być mieszkanie udekorowane na sylwestra i Benedykt miał autentyczną treść. Chciał być na miejscu i zobaczyć siebie na wizji. Bardzo był ciekaw, czy się pozna. Czy pozna go Dora? I co powie?

Najpierw ukazały się wielkie fryzowane róże zrobione przez Klarę z papieru toaletowego. Stosowny komentarz głosił, że są bibułkowe, można je zrobić w dowolnych kolorach i wielkościach. Potem drżące kule z fryzowanych pasków folii do pieczenia kurcząt. Komentarz przyznawał, że istotnie jest to folia do pieczenia. Następnie kamera prześliznęła się po stole, komentatorka powiedziała, że nie musi być wcale dużo do jedzenia, ale powinno być tak estetycznie podane jak tu. Nie każdego stać o tej porze na świeże kwiaty, więc mogą być sztuczne, tylko że nie wszystkie się nadają. Tu były jarmarczne maleńkie różyczki i wyglądały bardzo zabawnie na błękitnym obrusie, ale telewizor Płockich był czarno-biały. Na zakończenie pani przeczytała, że najważniejszą rzeczą jest kompozycja kolorystyczna, którą mogą zobaczyć wyłącznie posiadacze kolorowych telewizorów. Komentarz był pióra Malwiny

Kaleckiej, zaznaczyła pani i na jej głos weszła muzyka, na jej twarz migające pary. Wyglądały jak chińskie cienie.

- Patrz - trącił żonę - to te dekoracje Klary.

- Bardzo się nie wysiliła. - Dorota rzuciła okiem i wróciła do roboty. Na ekranie zamigotało, zaśniło bardzo ładnie. Benedykt wiedział, że tam jest, więc domyślił się, że wysoka sylwetka z ciemniejszą plamą poniżej twarzy to prawdopodobnie on sam. Ale nawet nie próbował tego mówić Dorocie. Być może niesłusznie, bowiem Dorota nagle podniosła oczy i spytała:

- Co robiłeś przedwczoraj, kiedy wróciłeś ode mnie z pracowni?

Moment, w którym mógł wszystko opowiedzieć, minął. Teraz opowiadanie o tym, jak chodził na próby, jak się uczył

poruszać przed kamerą, wyglądałoby na bardzo niezdarną obronę. Przecież wszystko razem, cała ta - pozał się Boże - „audycja” trwała pięć minut. I prawdopodobnie na tyle była zaplanowana. Boże, żeby się tak wygłupić! Przez idiotkę!

* * *

- Klarą się trzeba zajmować stale, a nie od przypadku do przypadku - stwierdziła autorytatywnie Malwina Ka-lecka. - Teraz ja ją biorę pod swoją opiekę i nie wypuszczę, aż zrobię z niej człowieka. Jej stan psychiczny już się bardzo poprawił, nie zauważyłaś?

- Nie - odparła Magda i wsunęła naleśniki do piecyka - ale ja ją ostatnio dość rzadko widuję.

- Ano właśnie - powiedziała Malwina z lekką pretensją, jakby obowiązkiem Magdy było widywanie Klary często i regularnie - a ona potrzebuje poczucia bezpieczeństwa, świadomości, że ma wokół siebie ludzi, na których może liczyć. Zawsze i w każdym momencie.

- To nie na mnie - odparła kategorycznie Bajorkowa.

- Obawiam się, że ona sobie też z tego zdaje sprawę.

Dlatego tak jakoś instynktownie przyłgnęła do mnie. Od czasu jak mam samochód widzimy się prawie codziennie. Ostatnio oglądałyśmy razem moją audycję, wypiliśmy bruderszaft i w ogóle jesteście papużki nieroz- łączki.

Biedna Klara - pomyślała Magda, a głośno powiedziała:

- To już rozumiem, dlaczego do nas nie dzwoni.

- Ona, wyobraź sobie, do mnie też nie dzwoni, ale ja nie mam do niej pretensji i dzwonię sama. Podejrzewam, że ona po prostu oszczędza, rozumiesz, ostatnio nie zarabia wiele i sądzę, że nawet ponadplanowe rozmowy telefoniczne mogą stanowić w jej budżecie pozycję, o której trzeba pamiętać. Ja to rozumiem, bo po odejściu Janicza, kiedy zostałam bez grosza...

- Nie ze mną te numery, Brunner - przerwała bez pardonu Magda. - Ty pamiętaj, że wiem, jak sprawy wyglądały, i mnie nie opowiadaj bajek o tym, że Janicz cię . zostawił bez grosza. Chciałabym być tak bez grosza na co dzień, jak ty w

momencie odejścia Janicza.

- Tak ci się wydaje, bo ja zadbałam od początku o pozory. Nie chciałam, żeby się ludzie nade mną litowali, ale mój start był bardzo trudny, pamiętaj, że Janicz mnie ubezwłasnowolnił w bardzo specyficzny sposób. Otoczył mnie zbytkiem, a jednocześnie odciął od środowiska, od znajomych, od wszelkich kontaktów intelektualnych. Jego okropnie drażniły wszelkie moje przewagi. To, że nie rozumiał pewnych dowcipów, kalamburów, że nie reagował na sztukę, tak jak ja. No, a poza tym ta zazdrość! Zazdrość była naczelną cechą jego natury. Przecież ja nie mogłam zrobić kroku bez niego. Zatraciłam całkowicie samodzielność. I nagle znalazłam się po rozstaniu z nim na głębokiej wodzie, sama, daleko od brzegu. Wszyscy sądzili, że utonę. On tylko czekał, kiedy przyjdę do Kanossy. Kiedy mnie zobaczy zaniedbaną, steraną. A tymczasem ja nie tylko że żyję na zupełnie niezłym poziomie, ale stać mnie

było na kupienie samochodu za własne, zarobione pieniądze.

- Dobra, dobra - przerwała Magda przerażona, że musi znów wysłuchać w całości monologu, który słyszała tak niedawno z okazji otrzymania przez Malwinę przydziału na „malucha” - ale co z Klarą? Dostała już forszę za te dekoracje do sylwestra?

- Nie, jeszcze nie, ale ja już kręcę głową, jak by jej zapewnić u nas jakąś stałą chałturę. Oczywiście jak ja już wystartuję na dobre z tym cyklicznym kąciakiem mieszkaniowym, to Klara ma u mnie pracę zapewnioną, ale to musi jeszcze trochę potrwać. Jak zwykle zrobiłam ten błąd, który popełniam najczęściej - odsłoniłam swoje umiejętności. Pokazałam, co potrafię, i natychmiast narobiłam sobie wrogów. Za dobrze! Rozumiesz? Zrobiłam tę audycję za dobrze i natychmiast wywołałam reakcję łańcuszkową. Jedni drugim dali znać, że zjawiała się niebezpieczna konkurencja, którą trzeba utracić natychmiast. Wobec tego nic więcej mi nie zaproponowano. Oglądałaś moją audycję?

- Nie.

- Nie masz czego żałować. Dostałam najgorszego ka-

merzystę, najgorszą montażystkę, fatalnego oświetlacza. Jednym słowem, zrobiono wszystko, żeby mi obrzydzić tę robotę. Ale mimo to zrobiłam rzecz, którą ludzie zauważali. Nawet moi szefowie mi gratulowali. Nie mówię już o Rafie, który się nadał, naburmuszył i znów popadł w kompleksy. W ogóle nie chciał oglądać mojej audycji, powiedział, że on się nie zna i że w ogóle - dosłownie tak się wyraził - ma w dupie domowe dekoracje na sylwestra, bo on zazwyczaj spędza tę noc w Zakopanem i już zamówił , dwa bilety na bal w hotelu „Kasprowy”. On ma taki trochę nowobogacki gust, ale ja go rozumiem, że on, biedak, ciągle i bez skutku stara mi się zaimponować. I ciągle natrafia na szklaną taflę. Rozumiesz? Te jego usiłowania są na nic. Ja nie jestem kobietą tego pokroju, jaką zdobywa się balem w hotelu „Kasprowy”, ja...

- Chyba się spaliły - powiedziała spokojnie Magda pociągając nosem.

- Nie, bardzo dobrze pachną. Niemniej taki skok do Zakopanego na jedną noc to jest to, czego mi trzeba. On do ostatniej chwili pracuje w warsztacie, a potem smoking i balowa suknia na tylnym siedzeniu, gwiazdy nad nami i pęd! Jeszcze nie spotkałam takiego kierowcy jak on! Ta brawura, ta fantazja! Mam wrażenie, że na początku chciał mnie olśnić i przestraszyć swoim stylem jazdy, ale jak ja go raz przewiozłam do Brzegu i z powrotem, to zrozumiał, że...

- Że nie ze mną te numery, Brunner! - jęknęła znowu Magda.

- O, tak! Żebyś wiedziała! Stulił uszy i tylko mnie upomina teraz, żebym jeździła ostrożniej, żebym nie szalała, że ja jeszcze niewiele umiem, że trzeba lat wprawy, ale on nie docenia jednego - talentu. A może jak każdy mężczyzna jest o swój prymat za kierownicą po prostu zazdrosny? Nawet taki mężczyzna jak on...

* * *

- Bo problemy trzeba sobie stwarzać. Nie lubisz zmywać? To właśnie zaprosz kilka osób, podaj kawę, herbatę, ciasteczka.

A potem pozmywaj. Powycieraj, starannie poustawiaj.

- Po co? - szepnęła ponuro Klara, przyciskając ramieniem słuchawkę., Na dźwięk głosu Malwiny od razu wzięła sobie robotę.

- Po to, żebyś miała cel w życiu!

- Zmywanie jako cel w życiu?

- A właśnie, właśnie! Nie można od razu zbawiać świata! Trzeba zadbać i o przyziemne sprawy. One zresztą mają znaczenie dla psychicznego relaksu. Człowiek ma zakodowaną genetycznie pewną liczbę bezwzględną odruchów warunkowych, które dają mu pełnię samozadowolenia. Trzeba więc...

- Powiedz lepiej, czy twój „maluch” daje ci pełnię samozadowolenia - przerwała kategorycznie Klara, którą pseudonaukowy żargon w ustach Malwiny wpędził w autentyczny popłoch. Zastosowała więc przynętę, co do której miała pewność, że podziała. I nie zawiodła się. Potok wymowy popłynął niepowstrzymanie. Klara otworzyła telewizor, gdzie dawano właśnie jej ulubione stare kino. Flip i Flap obrzucali się tortami. Malwina mówiła:

- Mam go już okrągły tydzień. Wczoraj minął. Nie mam najmniejszej trudności! Nic! Jeżdżę jak chuligan! Zajeżdżam drogę autobusom, ciężarówkom. Wszyscy patrzą, skąd tu nagle takie maleństwo przed nimi, a ja sobie smykam w następną dziurkę. Wiesz, zauważyłam, że mały fiacik jest na specjalnych prawach. Ludzie się do niego zupełnie inaczej odnoszą niż do zwykłych samochodów. To ich wzrusza! Takie malutkie, zręczniutki, kolorowe! Taka pchelka, a przyspieszenie ma jak rakietę! To tylko zależy od kierowcy. „Maluchem” można dać do wiwatu, szczególnie w mieście, nawet mercedesom, nie mówiąc już o pospolitych škodach czy trabantach. Ja na światłach bardzo często idę pierwsza do przodu z całej tyraliery samochodów. Dopiero potem, jak zobaczą, że to kobieta, to zaczynają gonić jeden przez drugiego. Bo mężczyźni nie mogą tego znieść, żeby dziewczyna, i to „maluchem”, ich brała. Takim szkrabem! Nie jakaś herod-baba, bo oni prędzej się pogodzą z tym, że ich

jakaś damska maskara wyprzedzi, ale dziewczyna mniej więcej normalna, a może nawet całkiem do rzeczy. Im młodsza i ładniejsza dziewczucha za kierownicą, tym ostrzej reagują. Sprawdziłam to na sobie. Natychmiast noga na gaz, oko nieprzytomne i demon szosy z takiego pana wyłazi. A ja mam tylko z tego zabawę. Podjeżdżam, wrzucam jedynkę i czekam...

- Przepraszam cię, ktoś dzwoni...

- O tej porze? - dała wyraz swemu niezadowoleniu Malwina. Pora była istotnie dość późna - dochodziła dziesiąta wieczorem.

- To brat. Miał mi przywieźć parzędzia do ogródka.

- Jak go spławisz, to zadzwoń. Opowiem ci przezabawną historię, jak mnie gonił taki dwudziestolatek fordem. Siedział mi cały czas na kółku. Koniecznie chciał zobaczyć dokładnie, kto za kierownicą. Ale jak tylko próbował wyprzedzić, to ja mu myk i zajeżdżam drogę! A on taki był wściekły, że w końcu uciekł w boczną uliczkę i...

- Malwina, przepraszam cię, Romek dzwoni...

- Pa, zadzwoń, jak wyjdzie!

- Niedoczekanie! - warknęła Klara rzucając słuchawkę. Do drzwi oczywiście nikt nie dzwonił. Ani też Klara nie miała ogródka.

* * *

- Idę do pracowni - powiedziała Dorota. -I chyba tam przenocuję. Nie sądzę, żebym zdołała tę robotę skończyć przed północą. Bądź grzeczny i pilnuj domu. Pa! - Ucałowała męża, wyszła, przez chwilę szła spieszenie w stronę ulicy Wieczorka, po czym zawróciła. Stała w znanych i sprawdzonych krzakach bzu. Widziała, jak Ben robi sobie herbatę, jak przynosi ją do pokoju, zagrzebuje się w łóżku z książką. Nie czekała na zgaszenie światła. Zrozumiała, że ta osobliwie wymagająca pod względem stroju aktualna sympatia jej męża ma dziś wieczór zajęty.

* * *

Magda trzymała przy uchu słuchawkę długo, ale bez-

skutecznie. Michał siedział na drabinie. Mieszał patykiem w kubie i polewał jego zawartość wodą z butelki.

- No, co jest? - krzyknął w stronę pokoju. - Dlaczego ona nadal gęstnieje?

- Czekaj! Nie wiem! Klary nie ma w domu!

- Przecież miała być i leżeć w łóżku. Rano mówiła, że jest chora.

- Widać wyzdrowiała. - Magda odłożyła słuchawkę. - Nigdy nie słyszałeś o przypadkach cudownych nagłych ozdowień?

- Z korzonków! Nie, nie słyszałem.

- Bo wtedy kiedy cuda się zdarzały, ludzie nie mieli korzonków. Mogło ich najwyżej połamać. Spróbuję jeszcze raz, ale to mało prawdopodobne. Przeczekałam piętnaście dzwonek. Nawet gdyby była w wannie, toby się zdążyła wytrzeć i przyjść.

- Na korzonki nikt nie idzie do wanny.

- Dlaczego - starannie wykręciła numer - przecież to rozgrzewa.

- A kto ci powiedział, że to się leczy rozgrzewaniem?

- Nikt, ale skoro Klara kładzie się do łóżka, to chyba...

- Ona kładzie się z lenistwa. Ma pretekst. Odłóż tę idiotyczną słuchawkę i chodź tutaj.

Magda nie zdążyła podejść, kiedy zadzwonił telefon. Odezwał się przyciszony, niepewny głos Klary:

- To ty dzwoniłaś?

- Ja. Skąd wiesz? Dlaczego od razu nie podnosisz?

- Bo się boję. - Klara nadal mówiła szeptem. - Słuchaj, musimy wymyślić jakiś szyfr albo co, żebym ja wiedziała, kiedy wy, a kiedy ona. Z Romkiem mamy taką umowę, że jak on dzwoni do mnie, to po jednym dzwonku odkłada słuchawkę i dzwoni powtórnie. Wtedy ten pierwszy dzwonek jest sygnałowy i ja już na drugi normalnie się zgłaszam. Taką samą umowę mam z Dorką. Możecie i wy dołączyć. Bo ostatnio ona dzwoni do mnie co dzień. Wieczorem. I czyta. Jestem u kresu sił! Ciągłe dzwoni!

- Kto? Jaka ona? Opanuj się i mów po bożemu, czyli po kolei.

- Malwina. Dzwoni i czyta mi przez telefon poezje.
- To jeszcze nie takie straszne. Mnie opowiada o tym, jak jeździ samochodem, i jakoś żyję.
- Mnie też opowiadała, ale to było nic! Teraz mi czyta poezje własne!
- Czyje własne?
- Jej! Przez nią napisane! I ja muszę chwalić!
- Nie chwal, to przestanie.
- No przecież nie mogę być zupełną świnią. Ja tak zdawkowo, wiesz, że to ładne, a to zręczne, a to znowu takie muzyczne albo takie malarskie.
- Idiotka! Co ty robisz najlepszego! Przecież jej to wystarczy, żeby cię uznała za wielbicielkę swego talentu! Życie chcesz sobie zatruć? Właściwie to już zatrułaś. Żyjesz pod terrorem. Do telefonu nie śmiesz podejść!
- A tobie jeszcze nie czytała?
- Nie, ale teraz już rozumiem jej głębokie uwagi na temat pracy twórczej, tworzenia, spalania się w tworzeniu itd. Teraz już wiem, na co mnie zapraszała pod pretekstem sernika. Tylko mnie, bez Michała. Ale jakoś Pan Bóg strzegł i nie miałam czasu.
- Myślisz, że cię zapraszała na poezję własnej roboty? Ale dlaczego bez Miśka? Im większe audytorium na takim wieczorze autorskim, tym chyba lepiej, nie?
- Może nie chciała rzucać pereł swojej duszy przed wieprza?
- No, co z tą farbą? - darł się Michał z łazienki. - Dlaczego gęstnieje?
- A, farba. Czeka, Klara, przecież ja do ciebie w tej sprawie dzwonię! My tam lejemy wodę, a ona robi się coraz gęściejsza.
- Bo trzeba ciepłą. To taka farba z humorami. Myślisz, że ona ma go za wieprza?
- Nie lej zimnej! - krzyknęła Magda. - Weź z czajnika! W każdym razie, chyba nie uważa, że on jest choćby w połowie tak subtelny, jak ten jej „niedźwiedzie mięso”.
- O, tak! „Niedźwiedzie mięso” wszystko rozumie. Najsubtelniejsze drgnienia jej duszy.

- Jemu też czyta?
- Oczywiście. On się dąsa, bo wie, że to głównie o nim, nie chce słuchać, ale jest polechtany, no i oczywiście zachwycony.
- A właściwie jakie to jest? Beznadziejne?
- Sama zobaczysz - odparła Klara i nie wiedziała, jak szybko jej proroctwo miało się sprawdzić. - Na pewno cię to nie ominie.

Kiedy Michał rozrobił wreszcie w sposób właściwy otrzymaną od Klary farbę, kiedy osiągnął stosowną konsystencję i zaczął nią starannie pokrywać miejsca po odpadającym tynku, weszła Malwina. Uśmiechnięta, pełna spokojnej pewności siebie osoby, którą wszędzie i wszyscy witają z radością.

- Jesteście zajęci? Jakieś domowe roboty?,- spytała zauważwszy Michała na drabinie. - To świetnie, zaraz wam pomogę!

- Nie! Nie! Nie trzeba! - zawołał przestraszony Bajorek. - Idźcie do pokoju, zróbcie herbaty. Ja sam świetnie sobie poradzę!

- To jeszcze lepiej - powiedziała Malwina z tajemniczą miną, zamykając drzwi - niech on tam sobie dłubie, a ja ci coś pokażę. Coś takiego, że zaniemówisz!

O, tak - pomyślała Magda' w popłochu - to byłoby najlepsze, gdybym mogła zaniemować, ale boję się, że nierealne...

- Czytaj! - Malwina hojnym gestem rzuciła przed Magdę plik kartek i sama zajęła się herbatą. Wyjścia nie było.

- Ja nie mam pojęcia o współczesnej poezji - broniła się słabo Bajorkowa. - Moja znajomość rzeczy kończy się na modernistach.

- Czytaj, czytaj!

Patrzenie

Słoma na wietrze Żłota jak włosy efeba

Szeleści

Nade mną niebo świata Spłonęło od twego

spojrzenia

- Hm, zdaje się, że to niezłe... - powiedziała wstrzemięźliwie Magda nie chcąc powtórzyć błędu popełnionego przez Klarę,

a nie mogąc wyzwolić się do końca z więzów wpajanego ongiś uparcie dobrego wychowania. Wprawdzie niewiele z niego już dziś Magdzie zostało, ale te resztki odżywały zawsze w najmniej stosownym momencie.

- Czytaj, czytaj, to jeszcze nic!

Niewolnik

Twoje oczy - jak wiele...

Twoje słowa - jak mało
Nie odejdiesz
daleko Na złotej nitce Słów

- Wiesz, ja się najlepiej wypowiadam w miniaturze. W takiej zwięzłej, pełnej treści formie. W miniaturze filozoficzno-poetyckiej. Chyba tak należałoby to nazwać, prawda?

- Uhm.

- O, widzę, że ci się trudno oderwać. To nie przeszkadzam. Czytaj.

Scena balkonowa Powiedziałeś dwa
słowa:

To pani!

Sfrunęłam na twój balkon zdumiony I
odfrunę.

- Tam w kącie stoi nalewka - powiedziała Magda widząc, że stos karteczek nie maleje, bo Malwina podrzuca nowe. - A tam kieliszki.

- Masz rację, to należy opić. Jesteś trzecią osobą, której to pokazuję. Tamte dwie też były zachwycone. Wanda czytała każdy wiersz po kilka razy.

- Ale ja w ogóle nie lubię poezji. Żadnej!

- Nie czujesz jej. No cóż, jest to niestety dość powszechna ułomność - brak wrażliwości na słowo. Na muzykę słów. Ale to nieważne. Nie myśl, że ja szukam aplauzu, potwierdzenia. Nie, mnie to naprawdę nie jest potrzebne. Oczywiście, że u źródeł każdego sukcesu leży potrzeba sprawdzenia się i ja też na początku taką potrzebę odczuwałam. Teraz sprawdziłam się i wiem, że to jest dobre. Ja mam niezwykle obiektywne spojrzenie na siebie samą, na własną twórczość. Jeśli wiem,

mam głębokie przekonanie, że coś jest dobre, to jest na pewno. Oczywiście nie jestem wolna od typowych rozterek właściwych naturom twórczym, ale przyznasz, że nie mam się czego wstydzić. Mogę odczuwać pewną rezerwę, pewne opory przed udostępnianiem tego obojętnemu światu, ale mogę zadebiutować w każdym liczącym się piśmie. Zamierzam to zrobić w „Kulturze”. Albo w „Literaturze”. A może w „Twórczości”?

- Tak, tak, w „Twórczości”.

Niż baryczny

Nadchodzi niż naszych uczuć

Czekamy

Toną nasze oczy

W tysiącach polodowcowych jezior

- A potem trzeba będzie zebrać te rozproszone po czasopiśmie drobniaki i wydać tomik. Ale nie sądzę, żebym to mogła szybciej zrobić niż za miesiąc. Może nawet dwa? Chociaż Wanda mówi, żebym składała już. To co mam. Potem się dorzuci w produkcji.

- W produkcji, powiadasz?... - Magda miała o owej produkcji niejakie pojęcie, ale zatokowana Malwina nawet na to nie zwracała uwagi.

- Ależ oczywiście! Tego się normalnie nie robi, tylko w wyjątkowych wypadkach, niemniej lepiej, żeby wszystko było od razu. Dlatego daję sobie taki odległy, za to realny termin. Nie należy się spieszyć, chociaż muszę ci powiedzieć, że u mnie to jakoś tak dziwnie. Chodzę, myślę, szukam właściwego środka wyrazu nieraz bardzo długo, aż nagle błysk! I jak z rękawa! Właściwie mogłabym takiego jednego wieczoru cały tomik zapełnić. Tylko że ja mam dużo autokrytycyzmu. Czasem aż za dużo...

Magda poczuła, jak czerwona mgła zsuwa jej się na oczy, przesłania Malwinę, jej większe, butelkę z nalewką...

Chwała Bogu - pomyślała Bajorkowa - że mnie zamra- cza, bo nie chwycę tego szkła, nie walnę jej w łeb... Boże, dlaczego ten Michał tu nie wejdzie! Co on tam tyle czasu robi? Przecież

powinien mieć sumienie! Cholerny Bajor!

Bajorek sumienia nie miał. Zza drzwi słyhać było jego wesole pogwizdywanie i miarowe chlastanie pędzlem o kubek na znak, że praca wre, ale Magda mogłaby dać głowę, że jej małżonek dawno skończył, a teraz siedzi na drabinie w mniej więcej wygodnej pozycji, popija kawkę i czyta. Jego umiejętność prowadzenia życia utajonego nie miała sobie równych. W każdej sytuacji potrafił zasnąć albo wyczarować filiżankę kawy i coś do czytania. Malwina mówiła dalej:

- ... i wtedy pomyślałam sobie, że powinnam tym racjonalnie pokierować. Zacznę od Władzia Filiżana. On mnie kiedyś bardzo adorował. Na pewno masz jego telefon. Daj, zapiszę sobie, bo gdzieś go wyrzuciłam. 'Nie sądziłam, że może mi być potrzebny. Mam nadzieję, że on nadal prowadzi ten dział debiutów w radio?

- Nie mam pojęcia. Całe wieki go nie widziałam. Zdaje się, że zmienił mieszkanie - broniła się Magda. Z Filiżana- mi łączyły Bajorków stosunki dosyć osobliwe. Co pewien czas robili sobie jakiś okropnie głupi kawał poświęcając na to wiele czasu, środków i starań, po czym mogli nie widzieć się miesiącami, żeby ni z tego, ni z owego znów zabrać się dó realizacji kplejnego idiotycznego pomysłu. Kontakty ich nie były na co dzień zbyt ożywione i Magda istotnie oglądała Filiżana na własne oczy bardzo dawno temu, ale, rzecz jasna, miała jego adres i telefon i wiedziała, że nie zmienił mieszkania i nie wyniósł się z radia. Miała również odrobinę poczucia przyzwoitości. Filiżan był poetą z prawdziwego zdarzenia. Znanym, popularnym, utalentowanym. Jak wszyscy ludzie popularni nie miał wiele czasu, natomiast jak wszyscy zajmujący się urzędowo debiutami miał aż nadto grafomanów. Zwalenie mu na łeb Malwiny mogło być poczytane za nowy kawał. Szczególnie że ostatnio górą był Filiżan. Niestety, byłby to kawał naprawdę głupi i niewybredny, a na to Magda nie chciała sobie pozwolić. Na dnie jej śmiesznej przyjaźni z Filiżanem leżał autentyczny szacunek. Na jego poezję Magda nie była niewrażliwa.

- Zadzwoń do radia. Tam cię muszą z nim skontaktować.
- Och, taka mądra to ja też jestem, ale wolałabym, żebyś mu mnie przypomniwała. To zawsze robi lepsze wrażenie.

- Po co? Skoro cię, jak powiadasz, adorował - z rozkoszą użyła Magda tego argumentu - to przecież nie mógł cię zapomnieć. Czy ty uważasz za możliwe, żeby jakiś twój adorator tak gładko wyrzucił cię z pamięci?

- Nie - rzekła skromnie Malwina - na ogół to się nie zdarzało. Wiesz, ilekroć któregoś z nich spotykam po latach, to ja ich sobie na ogół nie kojarzę, nie przypominam, czasem się zastanawiam, skąd ja tę twarz znam, a oni

nie masz pojęcia, co wyrabiają! Bledną, czerwienieją, dostają wypieków! To zabawne, jakie niezatarte wrażenie można wyrzeć nic o tym nie wiedząc. Wyobraź sobie, na pewnym przyjęciu - byłam tam z Janiczem - spotkałam młodego chłopaka, który...

Niebezpieczeństwo wiszące nad Filizanem zostało chwilowo zażegnane. Nie na długo...

- Obywatelka Magdalena Bajorek? Ja mówię z Milicji Obywatelskiej. Jest skarga na obywatelkę pisemna. Że obywatelka nasyla na spokojnych ludzi jakieś wariatki, co wiersze piszą, i ludzie nam potem się skarżą. Obywatelka będzie odpowiadać z artykułu!

- Filizan, nie wygłupiaj się! Czulaam, że tak będzie! Mimo wszystko! A ja jej nawet twego domowego telefonu nie dałam, choć mogłam. Bajorek świadkiem.

- Bajorek nie może świadczyć, bo jest wobec mnie niepełnoletni po pierwsze, stronniczy po drugie i jako twój mąż wypada twoim krewnym czy powinowatym, więc jako świadek się nie liczy. Dobrze mówię?

- Źle.

- Nie szkodzi. Czy rak, czy ryba - durak Kandyba, czy ryba, czy rak - Kandyba durak.

- Jak znajdujesz te dzieła?

- A więc jednak wiesz, o co idzie?

- O co mógłbyś do mnie z taką mordą dzwonić? Przy- szpilila

cię za skrzydelka?

- O co to, to nie! Ja mam wieloletnią wprawę z takimi paniusiami. Podobno ja ją znam. Jak ona wygląda? Taka mała, pękata, z dużym psem?

- Nie, spora, kształtna. Nie ma psa, tylko syjamskiego kota. Podobno ją nawet adorowałeś swego czasu.

- Co ty powiesz! To znaczy, że dobrze zagrałem - nie umówiłem się, aluzji nie pojmowałem, tylko poprosiłem z całą atencją o przysłanie wierszy do redakcji.

- Przysłała?

- Czternaście sztuk. Każdy na oddzielnej kartce. I obiecuje dalsze, jeśli te mnie zainteresują. Ja będę z ciebie pasy darł! Żywcem. I każdy pasek posypywał solą.

- O, Boże! Wiedziałam, że tak się skończy! Żebym chociaż była winną! Ale ty nie wierzysz?

- Nie.

- Nie?

- Nie.

- To ty mnie jeszcze popamiętasz! - rzekła mściwie Bajorkowa, bo już jej kiełkował w głowie nowy pomysł. Siadła do maszyny i napisała:

„Przesyłam Panu obiecaną wierszę. Jutro lub najdalej pojutrze otrzyma Pan następne, zgrupowane tematycznie tak, aby pozwoliły Panu zorientować się w moim emploi. Łączę serdeczności. Malwa Kalecka”.

- Misiulku - zagaiła słodziutko. - Musimy dołączyć do tego kilkanaście wierszyków à la Malwina i wyślemy Władziowi. A potem codziennie następne emploi!

- Jak długo? - spytał rzeczowo Bajorek, którego perspektywa systematycznej pracy nie przerażała, ale lubił wiedzieć co i jak.

- Do skutku, oczywiście - odparła małżonka. - Czy ty sądzisz, że on to długo wytrzyma? No, zaczynaj. Powiedz jakiś wyraz, albo parę wyrazów ze średnim sensem. Ja powiem następny wiersz, no i tak dalej.

- Ty wiesz, co ona robi? - ryczał w telefon Filizan. - Ona mi

przysłała co dzień porcję coraz koszmarniejszych wierszydeł, co dzień albo co drugi! Tylko raz były trzy dni przerwy. No i teraz powiedz mi, co ja mam z tym robić. Poradź, poradź! Bardzo proszę! Teraz wymyśl coś równie dowcipnego, jak to, żeby ją do mnie przysłać! Co mam z nią zrobić?

- Czy ja wiem... Możesz ją otruć, udusić... Nie wiem co jeszcze. Zarąbać siekierą.

- Zarąbać siekierą wołałbym ciebie. Słuchaj, czy ona się zniechęci, jeśli ja jej w ogóle nie będę odpowiadał?

- Nie sądzę. Uzna, że zaniemówiłeś z zachwytu.

- A jak jej odpiszę, możliwie delikatnie, że to knoty?

- Powie, że się w tobie odezwała zawodowa zazdrość.

- A jeszcze delikatniej?

- Jeśli tylko zechcesz odmowę osłodzić choćby sacharyną, to wystarczy, żeby cię zaliczyła do wielbicieli swojej twórczości.

- Więc nie ma ratunku?

- Hm... Jak by to powiedzieć... Siekiera może albo broń palna...

- Siekiera, powiadasz... A gdzie to się kupuje? W gospodarstwie domowym?

Michał Bajorek wkręcił papier w maszynę do pisania.

- Filiżan dojrzewa?

- Tak. Nie wiem, do czego, ale dojrzewa. Zaczynamy.

- Ty pierwsza.

- Nad kroplą wody

- Pochyleni

- Świetnie! Odbijamy nasze losy.

- O, cholera. Czekać, może...

- Czekać morze! Doskonale. Przydałoby się jeszcze coś na zakończenie. Jakies „wrócimy” albo „przyplłyniemy”.

- Posłuchaj:

Morski walc

Nad kroplą wody pochyleni

Odbijamy nasze losy Czekać morze

Płyniemy

- Może być. Teraz ty.
- Nóż do papieru
- Spada na twoją głowę moim słowem ostrym
- Szkoda...
- Że jestem jak żyleta!
- E, no coś ty!
- Chyba rzeczywiście nie w jej stylu... Szkoda, szkoda, szkoda. Szkoda tego słowa! A w następnej linijce „dla ciebie”...

Szkoda słów

Nóż do papieru
Spada na twoją
głowę Moim słowem ostrym
Szkoda tego słowa Dla ciebie...

- To by było na tyle. Resztę napiszesz sama. A ja bym zrobił ten domek dla ptaków, co?
- Ty zawsze się wykręcasz, a potem wszystko na mnie. Jak myślisz, ile trzeba?
- Nie rozpieszczaj Filiżana. Dorzuć jeszcze z siedem, osiem sztuk i starczy na dzisiaj.
- A mój szef wpadł w taki zachwyty, że wszystko gotów mi darować, żebym tylko tworzyła. Kamil go prosił, żeby mnie zwolnił dziś wcześniej, żebym sobie spokojnie popisała. No, mówię ci, pełny sukces! - Mówiła już czterdzieści pięć minut i ani słowem nie wspomniała o Filiżanie. Magda uznała, że dosyć.
- Rozmawiałaś z Władkiem? - spytała, kiedy Malwina przerwała, by zaczerpnąć oddechu.
- Z jakim Władkiem? Ach, z Filiżanem! - Malwina zrobiła lekceważącą minę. - Owszem, nawet bardzo się zapalił do spotkania, ale tak jakoś erotycznie to potraktował, że mi przeszło. On był w takim adoracyjnym nastroju, że przypuszczalnie wszystko by mu się podobało, a ja naprawdę nie sądzę, żebym musiała w ten sposób szukać potwierdzenia swojej wartości. Myślę, że moje wiersze wytrzymają próbę nawet bardzo krytycznego spojrzenia.

- No, ale na czym stało? Zadzwoiłaś, powiedziałaś, a potem odłożyłaś słuchawkę czy jak?

- Zaproponowałam, że mu wyślę kilka wierszy na adres redakcji, i do żadnych bliższych kontaktów nie dopuściłam. A potem mi się odechciało i nie wysyłałam.

- Nie wysyłałaś? - zdziwiła się Magda. - Nie chcesz się sprawdzić publicznie?

- Owszem, ale mam na to tysiąc innych sposobów. Zewsząd się o te moje wiersze dobijają. Pewien kompozytor chce podobno do nich pisać muzykę. Wanda Klocek wzięła je do „Poezji”, a Kuba Mondraczek, czyli właściwie jego żona, która ze mną pracuje, do „Odry”. Także widzisz sama - na brak możliwości sprawdzenia się nie narzekam. Byle mnie tylko pegaz nie opuścił! Swoją drogą, strasznie jestem ciekawa, jaki będzie odzew czytelników. Takie bycie osobą znaną musi jednak trochę męczyć. Albo takie wieczory autorskie. Chyba będę miała początkowo straszną tremę. Przynajmniej na tym pierwszym. Pierwszy wieczór, pierwszy tomik...

- Ale ile ty masz na razie tych wierszy? Starczy na tomik?

- Sądzę, że tak. Około pięćdziesięciu.

- To nie za dużo. - Bajorkowie byli lepsi. Wysłali sześćdziesiąt trzy. - Trzańnij drugie tyle, potem zrób wybór i wydawaj. Nie ma na co czekać.

- Tak - Kalecka z politowaniem pokiwała głową - takie rady mogą pochodzić tylko od kogoś, kto sam nigdy niczego nie stworzył. Ty nie rozumiesz tego, co nazywa się górnolotnie twórczą męką, ale wierz mi, że to jest męka naprawdę.

- Ano nie rozumiem - zgodziła się Magdą zupełnie szczerze. Miała co prawda poza sobą dwa tomy opowiadań i jeden poezji, popelniony w wieku lat dwudziestu i wydany, na szczęście, pod pseudonimem, ale twórczej męki nie doświadczyła. Pracowała nad oporną materią słów jak kamieniarz, ale może dlatego nikt nie musiał jej popierać, kiedy szło o druk czy wydanie. Zerwała z tego rodzaju działalnością dawno i zdecydowanie.

- No, właśnie, człowiek chciałby się jak najszybciej sprawdzić, ale poezja to nie jakieś tam opracowanko, które

robisz w godzinę i potem masz święty spokój.

- To chyba ty potrafisz, w ten sposób pracować - zezłościła się Magda - bo mnie zwykle parę dni zajmuje samo szperanie po bibliotekach.

- No, widzisz, a ja muszę mieć w głowie wszystko, co może być potrzebne, ale na szczęście ja jestem człowiekiem renesansu i ta łatwość, z jaką przychodzi mi poruszanie się po rozmaitych dziedzinach życia, oszałamia wielu ludzi. Ja to rozumiem. Ale cóż, mój typ umysłowości, który zresztą zdarza się coraz rzadziej...

Mówiła jeszcze około godziny. Po jej wyjściu Magda z mściwą miną siadła dół maszyny. Postanowiła napisać tak piramidalną brednię, że powinno ruszyć Filizana, wstrząsnąć nim do głębi i zmusić. Licho wie do czego, ale zmusić.

Monolit Brwi zgasłe
Czasza napełniona po brzegi Weź ją
weź mnie Weź kamień z mojego
grobu I rzuć
Do cudzego ogrodu

Przeczytała. Nie, to jeszcze było nic. Zaczęła następny.
Erotyk

Bomba zmysłów Zawisła kaskadą
Irracjonalnych treści Zad lśniący
białej klaczy Podryguje obleśnie.

Nikt jej nie przeszkadzał. Miśka nie było. Sterta wierszy rosła. Kiedy po godzinie oderwała się od maszyny, okazało się, że jest ich dwadzieścia cztery. Co jeden to gorszy. Z jadowitym uśmiechem wsadziła je wszystkie do koperty, napisała adres Filizana i wysłała ekspresem.

* * *

Stara kobieta miała lekki sen. Obudziło ją skrzypnięcie drzwi. Od garażu. Była pewna, że to od tego garażu. I nie myliła się. Za późno podbiegła do okna. Nie zobaczyła, który samochód wjeżdżał. Teraz stawały tam dwa. Na zmianę. Ale

jeszcze mogła zobaczyć, kto będzie wychodził. Stała cierpliwie, przebierając bosymi nogami po podłodze. Garaż był ciągle otwarty. Jasna plama światła odbijała się na betonie podwórza. Silnik pracował. Słysząc było jakieś głosy. Nie, jeden głos. Chyba damski. Plama światła zwięzła się. Ktoś przymknął drzwi. Silnik nie milkł. Starą kobietę ogarnęła bezsilna złość. Specjalnie to robią. Jest godzina 24¹⁵ i o tej porze ktoś wprowadza samochód do garażu, żeby jej przerwać sen. I specjalnie Włączyli silnik. Żeby ją zatruć.

Może zadzwonić do MO? „Normalne eksploataowanie garażu”! - jak mówi dzielnicowy. Normalne! To jest normalne? To przechodzi wszelkie pojęcie! To jest chuligaństwo! Bandytyzm! I na takich nie ma kary!!! Nie ma eksmisji! O, będzie to jutro rano wiedziała milicja! Na pewno będzie!

Dyżurny przyjął telefon.

- Tak jest, obywatelko. Obywatelka ma rację. Tak jest, ale my nic nie możemy. Tak jest, proszę bardzo, przełączam na pokój dzielnicowego.

Dzielnicowy Stanisław Surma uniósł ze zdumieniem głowę znad papierów, ponieważ siedział tuż obok dyżurnego i nie mógł pozostać przez niego nie zauważony. Szeregowy Paciak ze złośliwym uśmiechem wcisnął wtyczkę w gniazdko i odłożył słuchawkę.

- To ta z Prusa - wyjaśnił - w sprawie garażu. Niech podzwoni do pustego pokoju, no nie?

- Znowu! - jęknął Surma. - Nie dalej jak wczoraj tłumaczyłem jej, że nie mamy podstawy do interwencji, skoro eksploatacja tego garażu odbywa się zgodnie z przepisami. Niech ADM przewody wentylacyjne poprawi.

- Już poprawiali, w zeszłym roku. Ona mówi, że teraz jest podstawa do interwencji, bo jest zakłócenie spokoju. Wczoraj o dwunastej w nocy ktoś jeździł po garażu - to jej mowa, nie moja - i włącza! po.nocy silnik, specjalnie, żeby ją otruć, kiedy ona śpi, ale ona nie spała. No to by było tyle! - Odsapnął.

- Pewno znowu przyjdzie!

- Może nie, bo mróz jest. Chyba będzie tylko telefonować. Najgorzej, jak taka stara menda nie ma co robić!

- Przestańcie się wyrażać! - napomniął go Surma.

- A bo ja jak usłyszę ten jej skamlący głos, to mnie po prostu skręca! Ja jej nie zapomnę, jak jeszcze przy Waleckim ona skarżyła, a potem... A, diabli! - machnął ręką, bo zakończenia tej akcji wołał nie wspominać.

Było to akurat w momencie pierwszej podwyżki cen na benzynę i władze porządkowe zostały zmobilizowane do walki z czarnym rynkiem, jaki natychmiast tworzy się w takich wypadkach. Właśnie wtedy zgłosiła się do komendy starsza kobieta, która z bolesną miną, cichym, łagodnym głosem poskarżyła się, że jest u kresu sił. Mieszka na parterze, bardzo jest wrażliwa na zapach benzyny, u w garażu pod jej mieszkaniem, w garażu numer dwa, dzień w dzień, a czasem i w nocy, leją benzynę. Tak cuchnie, że nie można spać ani jeść, życie staje się niemożliwe. Ona zwracała uwagę, to obrzucili ją groźbami i wyzwiskami. Ona jest sama, stara, słaba i boi się tych ludzi. Może milicja coś na to poradzi, żeby tym ludziom odebrać ten garaż. Walecki porwał się jak gończy pies! Zarządził dyskretną obserwację, która właśnie dostała się Paciako- wi. Niestety, spekulanci się nie ujawnili. Do wskazanego garażu czasem wstawiał trabanta brodaty okularnik, wyglądający raczej na artystę niż na handlarza benzyną, ale wiadomo, że wygląd o niczym nie świadczy. Czasem wstawiał go na noc, a czasem porzucał przy krawężniku, nie mył prawie nigdy i nic przy tym wozie nie robił. Dozorca stwierdził, że garażyk jest malutki i jak się wjedzie samochodem krzywo, to wychodzić już trzeba jak wąż, wysliz- giem. Nie, kanistrów z benzyną dozorca nie zauważył, ale lokatorka spod dwudziestego czwartego jemu także skarżyła się na smród przenikający z dwójki do jej mieszkania. Co prawda bezpośrednio pod nią leży trójka, ale na tamten garaż kobieta się nie skarży. Tam zresztą trzyma wóz rządowy kierowca i on jest poza wszelkimi podejrzeniami. Paciak wiedział, kim jest ten z trójki, i pewnego dnia przyszedł z nim sobie pogadać. Facet zrobił wielkie oczy.

Owszem, do lata stała w dwójce beemka, potem było pusto,

a teraz trzyma trabanta inżynier, ale mowy nie ma, żeby on komu ubliżył, szczególnie starszą kobietę wyzywał, bo bardzo jest grzeczny. Owszem, ta stara czasem do nich ze swego okna wrzeszczy, szczególnie jak przychodzi po samochód inżyniera żona, ale oni na to w ogóle się nie odzywają. Czasem przychodzi jakaś babka, co też ma klucz, ale nie ma samochodu.

Opinie mieszkańców domu dalekie były od entuzjazmu.

Sąsiadka starej z parteru powiedziała, że kiedyś przyłapała inżyniera, jak z kolegą w nocy leli z kranu benzynę, na co Paciak aż podskoczył, po czym się uspokoił, bo ta legenda była już zbyt nieprawdopodobna. Inna sąsiadka wiedziała na pewno, że w tym garażu „odbywa się sodomia istna i goło latają”, co Paciaka nie zainteresowało, jako że tropił benzynę, a nie obyczaj. Najciekawszych wiadomości dostarczyła stara z parteru, która nie próżnowała. Dzięki niej Paciak przeżył nieco emocji.

Pewnego dnia po południu wydzwoniła go oznajmiając tajemniczym szeptem, że wóz stoi w garażu i żeby natychmiast przyszedł do jej mieszkania.

Zapach benzyny czuć było już na klatce schodowej. Kiedy Paciak wszedł do mieszkania nr 24, uderzył go smród nie do wytrzymania.

- Chyba z pół godziny coś tam robili. Zamknęli drzwi i coś robili - zeznawała podniecona kobieta - a smród był coraz większy. Bałam się tam zaglądać, bo jeszcze by mnie pobili. A jak poleciałam telefonować, to pewnie skończyli i poszli.

Istotnie, garaż był zamknięty na wielką kłódę i, ponad wszelką wątpliwość, nikogo wewnątrz nie było. Właściwie podstawy do interwencji były nędzne, ale Paciak pofatygował się na górę, pod wskazany przez starą numer, i długo pukał do drzwi. Lokatorzy wyszli. Albo nie chcieli otworzyć. Na to nie miał wpływu. Na razie. Ale postanowił ich złapać. Tak zaczęła się jego dobrowolna służba nocna. Bez względu na to, czy miał dyżur, czy nie, kręcił się w okolicy obserwował poczynania brodatego, ale nic nie mógł wykryć. Czasem wóz wjeżdżał do garażu, czasem nie. Smród długi czas się nie

powtarzał. Zaśmierdziało znieńcka Kiedy Paciak przyszedł, okazało się, że właściciele trabanta właśnie gdzieś nim wyjechali. Uprzednio zamknęli się w garażu i znów coś tam robili. Paciak wychodził z siebie. Warował nocami i kiedy tylko mógł, wspomagany gorąca przez zboląłą staruszkę. Węszył jak uparty pies za tym zjawiającym się nagle zapachem benzyny. Węszył, aż wykrył jego źródło ...

W mieszkaniu nr 24 przy oknie stało łóżko zakryte narzutą aż do ziemi. Paciak, zamykając i otwierając okno, zorientował się, że zapach jest intensywniejszy przy zamkniętym. Sądził, że może znajdzie pod łóżkiem jakiś zapomniany otwór wentylacyjny, mający połączenie z garażem. Zajrzał i zobaczył kałużę, której pochodzenie było absolutnie jednoznaczne. Musiała być tam rozlana celowo, ponieważ nie widział nigdzie żadnego miejsca, z którego by mogła wyciec plus minus ćwiartka benzyny, co wystarczy, żeby zatruć powietrze w całym M-2. Paciak podniósł się z kolan, opuścił narzutę i zobaczył przed sobą, równie wściekłą jak jego własna, twarz staruchy.

- Czego pan tam łązi? - wrzasnęła. - Tam nie ma nic do łążenia.

Nie ma! Ogarnęła go taka furia, że mógłby chwycić w ręce tę suchą starczą szyjkę, zdusić i...

- Po co pani to robiła? Wprowadzanie władzy w błąd! Ja wyciągnę konsekwencje! Pani popamięta! - ryknął. Ale nie wyciągnął. Było mu wstyd. Napisał w raporcie, że szkodliwej działalności w garażu nr 2 nie stwierdzono, i nigdy nikomu się nie przyznał, że przez miesiąc kołowała go złośliwa starucha rozlewając pod łóżkiem benzynę, a on zarywał noce czekając na nie istniejącego spekulanta. Tak, jeśli nawet Paciak był na tyle głupi, żeby dać się tak haniebnie nabrać, to przecież nie był na tyle głupi, żeby się do tego przyznawać. Swoją drogą, komu normalnemu może coś takiego przyjść do głowy? Komu?

Po tej wsypie był ze starą spokoj przez dłuższy czas. Aż dzielnicowy się zmienił, przyszedł Surma, który miał czule

serce, wszystko chciał wszystkim załatwić, chuliganami się opiekował i musiała ta baba to wyczuć, bo znów boleściwym głosem zaczęła wydzwaniać ze skargami. Z nikim nie chciała mówić, tylko z dzielnicowym. Na widok Paciaka uciekała na drugą stronę. Ale garażu nadal się czepiała. O co jej mogło chodzić?

* * *

Dojmujące zimno obudziło Janusza Walczaka. Otworzył oczy i stwierdził, że siedzi na ławce w jakimś parku. Szarzało. Łeb pękał. Wszystko było jasne. A właściwie odwrotnie. Jasne było tylko, że wczoraj przebrał miarę.

W półmroku zobaczył przed sobą cienie egzotycznych drzewek i zrozumiał, że siedzi w Ogrodzie Botanicznym. I lichy wie, jak się tam dostał. Park ten z całą pewnością bywa zamykany na noc, a jest grudzień i noc o tej porze roku zapada bardzo wcześnie. Tymczasem film urywał się Walczakowi dopiero koło dwudziestej trzeciej, kiedy postanowili z kolegą Mieciem wcześniej wrócić do domu. Niestety, nie znaleźli żadnej taksówki, natomiast znaleźli po drodze do następnego postoju bar „Pod Kółkiem”. Było to o jeden bar za dużo.

Jak na człowieka po tak ciężkich przeżyciach Janusz rozumował nader logicznie. Gorzej było z nogami. Zmobilizował się, wstał z jękiem i rzuciło go z powrotem. Nie, w takim stanie nie mógł pokazać się w domu. Żona... Spojrzał na zegarek i zdrętwiał. Wbrew pozorom należał do ludzi naprawdę obowiązkowych. O ósmej zaczynał pracę. A była siódma z minutami. O żadnym powrocie do domu, o umyciu się i przespaniu nie mogło być mowy. Na szczęście, do garażu na Prusa miał bardzo blisko.

Janusz Walczak był kierowcą. Codziennie przychodził o ósmej rano, przemywał szyby, robił kosmetykę samochodu, czasem nawet domyśl starannie coś, czego nie zauważył dnia poprzedniego, i wpół do dziewiątej jechał po swego redaktora. Jeśli dobrze pójdzie, może zdąży się w garażu ogolić i przemyć oczy. Dzięki częstym a niespodziewanym wyjazdom

w teren, miał tam zawsze podróżny neseserek - mydło, ręcznik i maszynkę do golenia. Błogosławiona przezorność! Skoczył na równe nogi, zarzuciło go, ale się nie poddał. Szybkim krokiem poszedł wzdłuż alejki. Jak przewidywał, brama była zamknięta.

Z trudem pokonał parkan, kiedy usłyszał czyjeś kroki i zza rogu wynurzył się funkcjonariusz z psem. Walczak się zawahał.

- Obywatelu! - usłyszał i już nie miał do wyboru strony, na którą może spuścić nogi. Zsunął się pokornie z parkanu i stanął czekając na funkcjonariusza, który zbliżał się powstrzymując zaciekawionego psa.

- Zapiłem, panie władzo, to fakt. - Janusz Walczak sięgnął po dowód, bo chciał jak najszybciej skończyć przewidywaną rozmowę i zacząć poranne ablucje w garażu. Czuł do siebie wstręt i chciał go zmyć zimną wodą z kranu. - Nie mam pojęcia, jak się znalazłem w Ogrodzie. Tu obok, na tej małej uliczce, garażuje mój samochód służbowy. Jestem kierowcą redaktora Nata - gadał mając nadzieję, że jak nie jedno, to drugie ułagodzi nieufnie patrzącego milicjanta, który obracał w rękę jego dowód jak dokument co najmniej fałszywy, jeśli nie gorzej.

- Go wy tu robicie po nocy? - władza zadał wreszcie pytanie, które musiał zadać od samego początku, tylko że usposobiony zbyt przyjaźnie Walczak ciągle mu w tym przeszkadzał.

- No, właśnie idę do garażu, żeby się umyć i ogarnąć. O ósmej zaczynam pracę.

Milicjant zajrzał w końcu do dowodu, w świetle latarki porównał fotografię z oryginałem, powiedział parę słów na temat dorosłych ludzi, którzy się zachowują jak młodociane rozrabiaki, i po krótkim wahaniu oddał dowód nie spisując. Walczak podziękował grzecznie i pobiegł co tchu na Prusa. Obejrzał się skracając za róg i stwierdził, że milicjant za nim patrzy. Nie miał jednakże nic do ukrywania. Przynajmniej przed milicjantem. Bo przed żoną... Krótko mówiąc, zrobiłby wiele, żeby się nie dowiedziała o jego nocnej eskapadzie. Dlatego też zamierzał prosić swego

redaktora o żelazne alibi na dzisiejszą noc. Redaktorowi nie zależy na dobrej opinii u pani Walczakowej, więc może powiedzieć, że to właśnie on, redaktor, zabra- dziażył się fatalnie, a jego osobisty kierowca czekał na niego przed knajpą Stowarzyszenia albo jeszcze dalej - w Oławie albo w Brzegu na przykład czy w innej miejscowości stosownie odległej. To jednakże musi być uzgodnione. Licho nie śpi, żona potrafi zadzwonić do kawiarki, kawiarka spyta sekretarkę, sekretarka gońca i tak niby nic można się sypanąć fatalnie. Redaktor, jak go w kościach nie łamało, był ludzki i bawiły go serdecznie te drobne oszustwa. Wiedział, że Walczakowa jest piekielnie zazdrosna, że w sumie jest to jednak dobre małżeństwo, a jego osobisty kierowca nie jest łobuzem. Nie pierwszy raz zmyślali razem jakieś ważne konferencje, jakieś późne powroty z imprez kulturalnych w województwie.

Rozmowa z milicjantem zajęła Walczakowi kilka cennych minut. Na domiar złego wchodząc na podwórko zauważył kręcącą się przy garażach starą kobietę, która miała podobno jakieś nieszczne przewody do mieszkania i zatruwała się spalinami. Normalnie wysłuchałby jej skarg myjąc wóz, ale dziś nie miał czasu ni ochoty. Zawrócił więc, wszedł do pobliskiej budki i zadzwonił do redaktora.

- Dzień dobry. Tu Walczak. Jestem już przy garażu, ale mam kłopoty. Być może spóźnię się minutę, dwie, niech pan redaktor się nie denerwuje, ja zaraz przyjadę.

- Coś z wozem? - zaniepokoił się Nat.

- Nie, nie, wóz w porządku. Ze mną nie tak wyszło... Ja bardzo przepraszam, ale znów będę potrzebował alibi. Na całą noc.

- Ho, ho! A przynajmniej dobrze się bawiliście?

- Wszystko opowiem, panie redaktorze. Na razie lecę wóz wypuścić. - Familiarne stosunki między szoferem a redaktorem naczelnym miały swoje głębokie uzasadnienie. Kierowca nieporównanie częściej dawał alibi swemu zwierzchnikowi niżeli on jemu.

Wrócił na podwórze. Kobieta nadal spacerowała pod

garażami.

- Czekam na milicję - zagaiła. - Widzi pan, co oni wyrabiają? Całą noc silnik chodzi. Calusieńką!

- Tak, tak, to przykre - burknął Walczak i zaczął mocować się ze swym opornym zamkiem. Silnik pod dwójką istotnie chodził. Walczak spojrział i zobaczył, że drzwi od garażu nr 2 są tylko przyciśnięte, ale wajcha ani kłódka nie założona,

- Tam nikogo nie ma? - spytał.

- Ja nie zaglądałam - powiedziała kobieta obrażonym tonem. - Żeby potem było na mnie, jak co zginie? Od tego jest milicja.

- Dzwoniła pani?

- Naturalnie.

- Powiedzieli, że przyjadą?

- Nic nie powiedzieli, jak to oni, ale ja nie popuszczę. Jak zaraz nie przyjadą, to znów będę telefonować. Ja nie daruję, ja tu przypilnuję, kto ten samochód zostawił, żeby mnie otruć! Ja się dowiem. Ja tu będę czekać, aż on czy ona przyjdzie. Albo ta trzecia! Ja im pokażę.

Zaczynały się pogrożki, więc Walczak zostawił starą z jej kłopotami na zewnątrz i zamknął się u siebie. Zapalił światło, włączył maszynkę do kontaktu i zaczął się golić, ale samochód, który rzekomo szedł całą noc, nie dawał mu spokoju. Co prawda ostatnio ten garaż zajmowała kobieta, ale czy nawet kobieta jest w stanie zapomnieć i zostawić w garażu wóz na chodzie?

Diabli wiedzą, może i jest.

Zaczął drugą połowę twarzy, kiedy przyszło mu na myśl, że ktoś, kto przez roztargnienie zostawia w garażu samochód z włączonym silnikiem, na ogół jednak zamyka drzwi na kłódkę. Tymczasem kłóda wisiała luźno, z boku. Niedobrze... Kierowca przestał się golić i ledwo, ledwo powstrzymał się, żeby nie pójść i nie zajrzeć do tego cholernego garażu. Przecież tam mógł ktoś coś wieczorem robić przy zamkniętych drzwiach i mógł się zatruć. Całą noc? O, cholera! Milicja przyjedzie - perswadował sobie - nie należy włazić do cudzego garażu, to prawda. Tak jak do mieszkania. Nawet

jeśli jest bez kłódki... Nie należy, to prawda, ale...

Rzucił w kął maszynkę i wyszedł na podwórze. Kobieta stała w oknie.

- A może tam się ktoś zatrul spalinami? - zawołał. - Niech pani tu zejdzie! Razem zajrzemy do tego garażu.

Kobieta przecząco pokręciła głową.

Zirytował się, bo przecież zaczepiła go, a jak doszło do działania, to uciekła. Podszedł energicznie do drzwi nr 2 i zawołał:

- Jest tam kto?

Odpowiedział mu równomierny dygot silnika. Pociągnął za klamkę zdecydowanie i odskoczył od drzwi jak oparzony.

W garażu było niebiesko od spalin. Chwycił go kaszel. Mimo tej chmury zobaczył to, co niestety było tam do zobaczenia. W otwartych drzwiczkach małego fiacika siedziała, a właściwie bezwładnie tkwiła jakaś postać. Z położenia ciała widać było, że jest nieprzytomna. Zresztą Walczakowi niepotrzebne były takie dowody. Stężenie spalin było dostateczne, żeby wiedział, co o tym sądzić. Otworzył szeroko drzwi i krzyknął do kobiety:

- Niech pani dzwoni po pogotowie! Ale już!

Wszedł do garażu, kiedy tylko mógł już tam wejść bez obawy, że padnie obok tego kogoś. Poznał. To była ta miła kobieta, która ostatnio zajmowała ten mały garażyk. Zamienił z nią kilka słów zaledwie na temat ciasnoty tego garażu, że dla małego fiata on jest akurat, bo tamci trabantem to ledwo wjeżdżali. Kobieta powiedziała, że trzeba umieć wjeżdżać, i tyle było tej znajomości. Ale poznał ją z całą pewnością. Nogi miała na zewnątrz, głowę opartą o otwarte drzwiczki. Siedziała skosem na miejscu dla kierowcy, z jedną ręką podgiętą, drugą opuszczoną. Dotknął tej opuszczonej ręki i zrozumiał, że dotyka trupa.

- Nie żyje? Umarła? - Zza jego ramienia wyglądała stara kobieta z niepomahowaną ciekawością.

- Jeszcze pani tutaj? - huknął. - Mówiłem, żeby pani zadzwoniła... A zresztą... To już niech pani zadzwoni razem do milicji... - Nie była to naturalna śmierć - wypadek albo

licho wie co. Może samobójstwo? Czytał o takich sytuacjach. Zawsze była przy tym milicja. - No, niech pani już idzie. Ja tu poczekam.

Dzielnicowy wyszedł wściekły ze swego pokoju.

- Miałeś rację z tą starą od garażu - powiedział do Paciaka. - Nigdy mi jej nie łącz. Ona jest fest stuknięta. Teraz opowiada o trupie w garażu i o tym, że ona dawno mówiła, że to są bandyci. Przecież ta kobieta powinna zostać odosobniona! Ale z drugiej znów strony - zamyślił się - przecież ona jest nieszkodliwa... No, w zasadzie jest nieszkodliwa! Tylko chora. Ma chorą wyobraźnię. Nie wiesz, Paciak, czy to się jakoś leczy? Ona chyba ma rodzinę? O, powinienem z nią pogadać. Na pewno ma jakieś dzieci, wnuki... Trzeba się dowiedzieć, porozmawiać, zmusić łobuzów, żeby się chorą matką zajęli! - Surma społecznik znalazł już wyjście z sytuacji i zaraz poweselał. Paciak znów przyjął telefon i znów powiedział:

- Łączę z dzielnicowym - po czym wsadził wtyczkę w puste gniazdko. Płaczliwy głos zamilkł.

* * *

Było już dobrze po dziewiątej, kiedy Janusz Walczak przypomniał sobie o swoim redaktorze, który miał na niego czekać i wcale się nie denerwować. Do tej pory na pewno już wyszedł z siebie, ale Walczak nie mógł opuścić posterunku. Ogarniała go złość, że się w to wplątał, choć zawsze tak dbał, żeby się w nic nie wplątywać. Niczego nie widzieć. I właśnie trupa w sąsiednim garażu musiał zobaczyć!

Lekarz pogotowia stwierdził, że nic tu już poradzić nie może poza wypisaniem świadectwa zgonu, który nastąpił z całą pewnością kilka godzin temu, więc alternatywy nie ma żadnej, natomiast na niego czekają jeszcze w różnych punktach miasta chorzy, którym ma szansę dopomóc. Wobec tego pozwoli sobie opuścić szanowne zgromadzenie, nie czekając przybycia milicji, która zawsze jest tam, gdzie jej nie potrzeba, natomiast jak człowieka biją albo zabijają, to ich nie ma. Wygłosiwszy jednym tchem to dość długie przemówienie lekarz wsiadł do karetki i odjechał. Tymczasem

zgromadzenie robiło się coraz większe. Co najmniej połowa lokatorów z podwórza, a głównie lokatorek, które nie spieszyły się do pracy, ściągnęła w okolice garażu. Wjazd w podwórze był szeroki, z ulicy wszystko doskonale widać, więc następne kobiety, wędrujące z siatkami po zakupy, przystawały widząc zbiegowisko. Potem, jakby walcząc z poczuciem obowiązku, powoli, z ociąganiem wchodziły, wypytywały, komentowały. Tłum rósł i napierał. Kto się już dowiedział, że w garażu jest trup, musiał go zobaczyć na własne oczy. Walczak przytknął połowę drzwi, ale druga musiała zostać uchylona. Opary błąkały się jeszcze w powietrzu.

Lokatorka spod dwudziestego czwartego usiłowała opowiedzieć swoją historię walki o garaż od początku do końca, ale ciągle jej przerywano. Nie mogła spuścić, więc zaczęła ograniczać. W końcu ograniczyła się tylko do dnia dzisiejszego, do momentu, jak wstała w nocy, jak tkwiła przy oknie i jak miała przeczucie, że coś się stanie. Wianuszek kobiet, sytych już widoku nieboszczki, otoczył kołem autorkę opowieści. A milicji jak nie było, tak nie było...

- Czy pani na pewno zawiadomiła MO? - spytał Walczak. - Powinni już być, do licha.

Nie miał wprawy w tego rodzaju sprawach. Wiedział, że do wypadku na szosie czy na ulicy, jeśli są ofiary w ludziach, gnają na złamanie karku. Tu właściwie też był wypadek. I też ofiara. Więc dlaczego tak się grzebią? Godzina minęła! Po co, po co, u diabła, zaglądał do garażu!

- Przepraszam! A tu co, do cholery? Przepraszam! - Przepychał się do swego garażu olbrzymi kierowca rządowego poloneza. - Co się tutaj dzieje, jak pragnę podskoczyć? - Jego garaż miał numer 3, więc dzielił pomieszczenie Walczaka od nieboszczki. - A co pan tu robi, panie Januszk?

- Trupa pilnuję! - warknął Walczak. - A te cholery nie przyjeżdżają. Ponad godzinę kibluję! Ale pójdę sobie chyba czy co! Ich nie obchodzi, to dlaczego mnie obchodzi? Niech ludzie tu wążą, niech wszystko rozkradną, zadekczą, niech robią, co chcą, niech...

- Z kim pan rozmawiał? - spytał autorytatywnie rządowy kierowca stając w drzwiach drugiego numeru. - Znaczy w MO z kim?

- To nie ja, to ta pani dzwoniła.

- Która?

- No ta! - Walczak wskazał roznamiętnioną staruszkę.

- Ona? - Rządowy kierowca popatrzył dziwnie. - Paniusiu! - krzyknął. Jego głos miał siłę dzwonu. - Dokąd pani dzwoniła? Pod jaki numer?

- No, jakże, przecież na dzielnicę. Z samym dzielnicowym rozmawiałam.

- Jasne! - warknął olbrzym. - Wszystko jasne. Czekaj pan, ja zadzwonię - zwrócił się do Walczaka. Otworzył garaż, wsiadł do swojego wozu, otworzył skrytkę. Po piętnastu minutach była na podwórzu milicja.

- Pan pierwszy znalazł zmarłą - zwrócił się do Walczaka młody porucznik. - O której to było?

- Koło ósmej. Nie, chyba koło wpół do ósmej.

- Dlaczego nas wcześniej nie zawiadomiliście? Na co czekaliście? Na zmartwychwstanie?

- Było nieporozumienie. Tu razem ze mną była pani, która...

- Ja wiedziałam - wołała lokatorka spod 24 - ja od razu wiedziałam, jak ten silnik chodził, że będzie nieszczęście, i jak tylko ten pan przyszedł, to ja od razu mówiłam! I na dzielnicę dzwoniłam! Zaraz dzwoniłam, jak tylko drzwi otworzyliśmy! Z samym dzielnicowym rozmawiałam, ale oni są za tymi mordercami. Za tymi z trzeciego piętra! Tam są jakieś konszachty. Tam...

- Chwileczkę - młody porucznik odsunął kobietę - proszę przepuścić ekipę! Poprosimy panią o złożenie szczegółowych zeznań we właściwym czasie.

- Ale ja widziałam mordercę! - wrzasnęła baba widząc, że prowadzenie wymyka się jej z rąk.

Porucznik był jeszcze mało doświadczonym pracownikiem, bo połknął haczyk natychmiast.

- Proszę - powiedział nerwowo - niech pani wszystko opowie.

Pies warczał. Pukanie stawało się natarczywe. To nie mógł być Michał. Nigdy nie wracał o takiej porze. Zresztą miał klucz. Oprzytomniała i niechętnie podniosła się z łóżka.

- Zamknij się! - Pies warczał nadal. - Kto tam?

- Milicja, proszę otworzyć - usłyszała zza drzwi, ale wydało się jej, że to głos Filiżana.

- Nie rób głupich kawałów. Przynajmniej nie o tej porze

- mruknęła niechętnie, ale na wszelki wypadek przytrzymała psa nogą i uchyliła drzwi. Stało za nimi dwóch nieznanomych - jeden w kożusku, jeden mundurowy. Ten w mundurze podsunął jej pod nos legitymację, ale Magda była jeszcze zbyt zaspana, żeby słowo pisane do niej docierało.

- Zaraz, zaraz, tylko psa zamknę. - Wtoczyła go, opierającego się' wszystkimi czterema łapami, do łazienki, narzuciła szlafrok i wpuściła gości do korytarza ziewając potwornie. Porucznik Karbolek, który też wstał dziś niewyspany, tylko że o cztery godziny wcześniej, pomyślał z zazdrością, że niektórym obywatelom Polski Ludowej powodzi się stanowczo za dobrze.

- Obywatelka Bajorek? My w sprawie garażu. Pani wynajmuje garaż...

- Nie - przerwała ostro i przytomnie, jakby wcale nie spała - nie wynajmuję i nie wynajmowałam od nikogo żadnego garażu. Jeśli panowie wybrali się o tej porze... - Tu spojrzała na zegarek i stwierdziwszy, że minęła dziesiąta, nieco spuściła z tonu. - Panowie mają czas na spełnianie zachcianek starej wariatki, ale ja nie mam czasu, żeby ciągle powtarzać to samo. W ADM-ie, w radzie osiedlowej, dozorczy, sąsiadom i cholera jeszcze wie komu! Wszelkich informacji w sprawie garażu udzieli jego właścicielka, Malwina Kalecka, Matejki 6, mieszkania 4. Wszystko? Czy jeszcze coś?

- Skąd pani wie, że chodzi nam o garaż pani Malwiny Kaleckiej? - spytał nie spieszony porucznik.

Tymczasem jego towarzysz rozglądał się uważnie po mieszkaniu. Było na co popatrzeć. Natomiast nie było się

gdzie poruszać. Pokój zagracony był do niemożliwych granic. Meble, bardzo stare i bardzo zniszczone, mogły świadczyć o minionej lepszej przeszłości albo o zamiłowaniu właścicieli do zbieractwa. Starocie od kilku lat były modne i nikogo, nie dziwiło sąsiedztwo nowoczesnej me-
blościanki i staroświeckiej komody. Tylko że u Bajorków te starocie upchane były bez ładu i bez najmniejszej dbałości o estetyczny efekt. Na pięknej biedermeierow-
skiej kanapie stał, a właściwie leżał przenośny telewizor, sterta czasopism i papieru do maszyny, psia smycz i telefon. W jednym kącie usłane było gniazdo z koca i poduszki. W tym gnieździe, sądząc po ściągniętej i zmiętoszonej narzucie, ktoś siadywał. Na stole stały dwie szklanki po herbacie, na komodzie trzecia pełna niedopalków. Oprócz szklanek, książek i szpargałów na owej komodzie stał również dzban z kilkoma kiściami białego bzu, na ścianie wisiała kolczasta, fantastycznie powyginana gałąź, obok szczytniały pejzażyk w popękanych, niegdyś złożonych ramkach. To wszystko świadczyłoby jednak o chęci przyozdobienia tego przybytku, który wymagał nie tyle zdobienia, ile sprzątnięcia.

Na szafie, która nosiła wyraźne ślady rzucania nożem lub podobnej jakiejś niszczycielskiej pracy, jaśniały różnymi kolorami plakaty teatralne, operowe, filmowe. Obok nich duży ścienny kalendarz z zapiskami, kolarska czapeczka z wyścigu pokoju, maleńka współczesna grafika przedstawiająca drogę w głąb lasu. Efekt tej głębi grafik uzyskał tak prostymi środkami, że przez chwilę zapominało się o całym świecie wchodząc w ten las bez początku i końca. Ale na Owym lesie oględziny zakończyć się nie mogły, jako że tuż nad nim widniał gwóźdź. I to już był szczyt wszystkiego! Szafa zamykana była na zakrzywione gwoździe! A na szafie stała porcelana! Autentyczna meis-
senowska porcelana. Milicjant nie miał wątpliwości, ponieważ niedawno zajmował się sprawami Desy i przestudiował chcąc nie chcąc kawał historii sztuki. Jeśli przeciwnikami mieliby się stać ludzie z tego mieszkania, sprawa będzie trudna.

- Panie - syknęła przez zaciśnięte zęby Magda Bajorek -

niech pan mnie na czczo nie wyprowadza z równowagi głupimi pytaniami! Wie pan, ja mam tu, w głowie, takie urządzenie. Ono się nazywa mózg. I ja tym myślę. A także wyciągam wnioski. Jak awantury o ten garaż trwają już od dwóch lat, jak baba ciągle chodzi do milicji w tej sprawie, to o jakim innym garażu może pan ze mną mówić? Kiedy miałyśmy ten wspólny samochód...

- Z kim pani miała wspólny samochód?

- Z Kalecką. Cholera! - Przyjrzała się im wzrokiem męczennicy. - Nic nie pomoże, będę musiała opowiedzieć jeszcze raz. No to już siadajcie-zaprosiła-trudno. Trochę żeście się z tą interwencją spóźnili. Kalecka ma od paru tygodni własnego fiata, ja wykupiłam i przemeldowałam swój wóz na siebie, garaż użytkuje ona. My mamy tylko drugi klucz, bo sporo tam leży naszych rzeczy. Czy pan mnie będzie długo wypytywał?

- Tyle, ile będzie trzeba.

- W to ja nie wątpię, ale jeśli będzie trzeba długo, to ja bym postawiła herbatę, bo zdechnę z głodu.

- Sądzę, że jeszcze trochę pani wytrzyma. - Porucznik Karbolek ceniony był przez zwierzchność za łagodny, ale nieustępliwy stosunek do przesłuchiowanych. \

- Pan sądzi... Czy pana kiedy ssało? - Magda popatrzyła na porucznika jak na człowieka i zrozumiała, że jej pytanie pada w próżnię. Nie, tego glancusia nie ssało nigdy. On się odżywia racjonalnie i roztropnie. Natomiast ten drugi, wąsaty i ponury, który przez cały czas milczy, ten mógł ją zrozumieć. Jego sucha żyłastość świadczyła, że mógł być typem człowieka, który pochłonie każdą ilość zarcia i natychmiast przerobi ją na energię. Po czym głodnym wzrokiem tocząc dookoła wysili mózg, żeby zdobyć następne.

- Pan jest żarłok czy tylko łakomy? - zwróciła się wprost do niego.

- Jedno i drugie, łaskawa pani - odparł błyskawicznie, jakby tylko czekał na to pytanie. - Ja po prostu jestem bezdenny. A najbardziej lubię befszyk tatarski i...

- A pasztet z koniny? A ciasto drożdżowe? Z rodzynkami.

Kawy zrobię.

- Dziękujemy za kawę - powiedział zimno porucznik nie reagując na rozpaczliwe znaki tego drugiego. - Zaraz będzie pani mogła zjeść śniadanie, a na razie zechce pani usiąść i odpowiadać na pytania.

- A dlaczego? - spytała Bajorkowa.

- Co dlaczego?

- Dlaczego mam odpowiadać panu na pytania? W jakim charakterze jestem przesłuchiwana? Czy jestem oskarżona? O co? Może to ja najpierw się od pana czegoś dowiem.

O zwykłym, przeciętnym Polaku mówi się: „Polak głodny jest zły”, ale Magda Bajorek na czczo przypominała czynny wulkan. Porucznik najwyraźniej już to zrozumiał.

- Na przesłuchanie zostanie pani wezwana w odpowiednim czasie do komendy. W jakim charakterze, to się jeszcze okaże. Na razie rozmawiamy nieobowiązująco, ale mam nadzieję, że jako bliska znajoma Malwiny Kaleckiej zechce nam pani udzielić pewnych informacji. Czy pani dobrze ją znała?

- Raczej tak... - Ciągle jeszcze była najeżona.

- To świetnie - powiedział mściwie porucznik - za chwilę wobec tego poprosimy panią o identyfikację zwłok, a potem już będzie pani mogła spokojnie jeść śniadanie...

- Zwłok... Malwiny?

- Prawdopodobnie - potwierdził spokojnie porucznik.

- Już się rozbija? Tak na śmierć? Zaraz... jak pan z tym garażem, to... W garażu? Przecież nie można się zabić wjeżdżając do garażu.

Porucznik nastawił uszu. To, co w tej chwili powie Magdalena Bajorek, osoba, której rola jest w tej całej sprawie dosyć dwuznaczna, może mieć duże znaczenie dla dalszego przebiegu śledztwa. Niestety, porucznik nie doceniał tej osoby.

- To ja muszę natychmiast coś zjeść - powiedziała

Magda jeszcze bardziej stanowczo niż przed chwilą. - Niech któryś z panów pójdzie ze mną do kuchni, żebym nie schowała zakrwawionej siekiery albo pistoletu, i niech patrzy,

co ja tam robię.

- Ja ... jak to ... - zająknął się porucznik, a jego towarzysz spojrział na podejrzaną z prawdziwym zainteresowaniem - to pani się dowiaduje o śmierci przyjaciółki i... pani teraz myśli o jedzeniu?

- A kiedy? Jak pan mnie straszy identyfikacją zewłoka, to czy ja wiem - może mnie potem zbrzydzi? Lepiej teraz zjeść, a poza tym przypuszczam, że jak ktoś ją kropnął, to nasza rozmowa będzie długa.

- Kropnął? Skąd pani wie? Ja tego nie powiedziałem.

- Stąd wiem, że pan tu jest. Jakby się rozbiła na szosie, toby pan do mnie nie przychodził po identyfikację i nie mówił o garażu. Pewnie musi być tam na dole. A w garażu nawet po pijanemu trudno się zabić, bo naprzeciw drzwi, oparte o ścianę, leżą nasze materace i amortyzują. Nawet gdyby wjechać z rozpędu. No więc? - zadała retoryczne pytanie. - Co ja mogę myśleć? Że jej ktoś musiał dopomóc.

- A samobójstwo? Nie wchodzi w grę?

- Jeśli to jest naprawdę Malwina, to nie. Panie, czego mnie pan męczy?!

- Porucznik pozwoli - powiedział w tonacji twierdzącej raczej niż pytającej wąsaty w zniszczonym kożusku i zrobił błyskawiczny w tył zwrot, nie czekając na odpowiedź. W korytarzyku było troje zamkniętych drzwi, ale on bez wahania pchnął właściwe - do kuchni.

- Gdybym była morderczynią, tobym musiała bardzo na pana uważać - powiedziała Magda do wąsatego, który już kroił chleb tęnym nożem.

- A gdyby pani nie była morderczynią, a ktoś chciał panią w to wrobić?

- Wtedy zwróciłabym się do pana o pomoc.

Wąsaty uśmiechnął się do pasztetu, ale nic nie powiedział. Tymczasem w pokoju porucznik Karbolek cierpiał męki sponiewieranej godności. Sierżant Fidybus, ten potworny sierżant, którego przydzielano mu z niezrozumiałym uporem, poniewierał ją bez przerwy. Porucznik mógł odpowiedzieć, że nie pozwoli, że baczność, że milczeć i wykonywać rozkazy,

mógł ryknąć jak prawdziwy zwierchnik, zawrócić ich z drogi do kuchni, ale znów, jak mnóstwo razy dotychczas, nie zrobił tego w porę. Potem mijał właściwy moment i nie można było już zrobić nic, nie ryzykując ośmieszenia. Tak było i tym razem. Właściwy moment minął i można było tylko czekać w pokoju bębniąc palcami po stole, zanim oni tam przygotują to idiotyczne śniadanie. Jest bardzo prawdopodobne, że będzie to śniadanie obfite i smaczne. Sierżant będzie żał bezwstydnie, nie bacząc, że może za chwilę zostanie zmuszony, żeby tę kobietę aresztować. Ale jemu to nie przeszkodzi w obżarstwie. Ani jej. Co za świat! Boże!

Weszli do pokoju z tacą tak pełną, że Karbolek poczuł jeszcze większą złość. Nie tylko że zachciało mu się jeść, ale do tego zapach kawy całkowicie rozłożył jego morale. Rzucił sierżantowi mordercze spojrzenie, chociaż wiedział doskonale, że rozpromieniony podwładny nie oderwie oczu od pieczonej cielęciny, dopóki nie zostawi po niej pustego talerza.

- Niech pan siada i je, póki ciepłe-powiedziała Magda. - No i niech pan pyta. Wszystko opowiem - dodała łagodniejąc z każdym kęsem. - Zdaje się, że ja dopiero teraz dojrzewam... To Malwina naprawdę nie żyje? A panów nie nasłała ta baba, tylko okoliczności.. Zaraz, zaraz, że Malwina nie żyje, to już zrozumiałam, ale...

- Po co chodziła pani dziś w nocy do garażu?

- To jeszcze nie była noc. Ciemno, ale mogła być najwyżej dziewiąta, wpół do dziesiątej. Chodziłam po taką starą portierę, która tam leżała. Teraz była mi potrzebna.

- Do czego?

- Na posłanie dla psa. Zimno się robi.

- Później już tam pani nie chodziła?

- Nie.

- A gdzie pani była od godziny... powiedzmy... 21.do 24.30? '

- W domu. Jak większość ludzi o tej porze.

- Mieszka pani sama?

- Nie, z mężem.

- Gdzie mąż?

- W delegacji.
- A więc dziś w nocy była pani sama?
- Tak.
- Nic pani nie słyszała?
- A co miałam słyszeć? - Miała obrzydliwy sposób odpowiadania pytaniem na pytanie. - Strzał? Na pewno nie. Pisałam albo spałam. Jak piszę na maszynie, to pół kamienicy może mi potwierdzić alibi.
- To nie jest żadne alibi - pomyślał porucznik - to można nagrać, można siebie kimś zastąpić. Pisanie na maszynie jest bezosobowe. Dlaczego ona czuje się jak podejrzana? Dlaczego tak dziwnie zareagowała na wiadomość o śmierci? Musiały być zaprzyjaźnione, jeśli miały wspólny wóz i wspólny klucz do garażu. Wspólny samochód jednak potrafi poróżnić nawet największych przyjaciół..
- Ogóreczka, panie poruczniku? - spytał sierżant.
- Dziękuję - odparł lodowato zwierzchnik - nie jestem głodny. I nie po to przyszliśmy tutaj, żebyście sobie ucztowali! - dodał ze spokojem, który kosztował go wiele nerwów.
- Może kawy?
- Dziękuję... Proszę! - załamał się porucznik. - Proszę, niech pani naleje połówkę. Tylko połówkę! I proszę mi opowiedzieć, co pani wie o Malwinie Kaleckiej. Była z nią pani zaprzyjaźniona?
- Może pan to tak nazwać... - odparła wstrzemięźliwie Bajorkowa.
- A jak pani by to nazwała?
- Nie wiem. Chyba tak samo.
- Były jakieś nieporozumienia, zadrażnienia?
- Żadnych. Malwina była bardzo fajna. Naprawdę bardzo ją lubiliśmy, tylko była taka... No, krótko mówiąc, była, jak wszyscy ludzie zachwyceni sobą, dość męcząca dla otoczenia. Nudna! I trzeba było co jakiś czas zrobić przerwę w tej przyjaźni. Ot, tak, bez żadnego powodu. Po prostu dla higieny psychicznej. Żeby nie dać się zwariować. Pań rozumie? No i właśnie teraz była taka przerwa.
- A ten wspólny samochód? Czy on was nie poróżnił?

- Skądże! Nie było najmniejszego powodu.
- Czy on był naprawdę wspólny? - wmieszał się sierżant.
- Naturalnie.
- Jak długo trwała ta sytuacja?
- Od maja zeszłego roku do grudnia bieżącego.
- Czy w nocy nie zauważyła pani, że gdzieś pracuje silnik samochodu?

- A niby gdzie on miał pracować?

- Na przykład na podwórzu. Albo w garażu. Nie schodziła pani w nocy, żeby zobaczyć, co się tam dzieje?

- Na podwórzu chyba nic nie pracowało, a z garażu bym nie usłyszała nawet przy otwartym oknie. On jest szczelny. Myśmy tam kiedyś urządzali sylwestrową zabawę. Płyty, śpiewy, perkusja - normala, jednym słowem. To jak drzwi były zamknięte, to goście dochodzący nie wiedzieli, gdzie wejść. Dopiero jak stanęli pod garażami, to było słyhać. Specjalnie robiliśmy to dla takiej jednej baby, która nam obrzydzała życie, ale pomysł spalił na panewce. Aha, jeśli by się pan chciał dowiedzieć czegoś na temat tego, co się stało w nocy, to ja panu niewiele powiem, ale na parterze, w drugiej klatce, drzwi na prawo, mieszka taka

stara baba. Ona całymi dniami, nocami chyba też, siedzi w oknie i patrzy, kto wjeżdża do tego garażu. Ja nie zmyślam, naprawdę! No więc jeśli ktokolwiek, to ona może panu coś powiedzieć. Co widziała, co słyszała. Niech pan z nią pogada.

- Na pewno to zrobię. Dziękuję - powiedział porucznik, zastanawiając się, dlaczego Magda Bajorek zrobiła takie posunięcie. Nie widział żadnego wytłumaczenia. Po co? Po co zwróciła uwagę na tę kobietę? Przecież wiedziała...

Porucznik Karbolek rozmawiał już z lokatorką z parteru. Istotnie, ta kobieta zeznała, że widziała kogoś, kto o godzinie dwunastej z minutami wybiegł z garażu nr 2. Tym kimś była właśnie Magda Bajorek. Wobec tego dlaczego?... A może był tam ktoś jeszcze? Nie, to wszystko niczego nie tłumaczy. Dlaczego Magda skierowała porucznika do osoby, która widziała jej ucieczkę spod garażu? Co to znaczy? Dlaczego?...

Natychmiast po wyjściu milicji Magda rzuciła się do telefonu. Zaplątała się w kable, potknęła, runęła na dywan i zrezygnowała z walki. Leżąc na brzuchu wykrciła numer przyjaciółki.

- Klara! Bomba! Ktoś kropnął Malwinę Kalecką! Trup na miejscu! W garażu!

- Dlaczego nie? Można - odparła głupio Wolska. - No i co dalej?

- Da... dalej?... - straciła kontenans Magda. - Ja nie wiem... Milicja była, zabrali mi drugie klucze od garażu, powiedzieli, że wezwą na przesłuchanie... Co tobie? Dlaczego nie reagujesz prawidłowo?! - wrzasnęła. - Kto cię zdążył zawiadomić?!

W słuchawce panowała przez chwilę cisza.

- To ty mówisz serio? - odezwała się w końcu Klara nieco zmienionym głosem.

- Oczywiście!

- Malwina Kalecka? Przestań! Mów po ludzku.

- No, przecież mówię. O, właśnie ją wynoszą! Ale zbiegowisko!

- Czekaj, wezmę sobie papierosa. - Słysząc było pstrykanie zapalniczki, potem zdumiony głos Klary: - Ktoś ją zabił? Nie, to nie do uwierzenia! Ja myślałam, że ty zaczynasz pisać powieść kryminalną. Ona by się przecież bardzo nadawała na heroinę sensacyjnego romansu. Wyobrażasz sobie? Zazdrosny kochanek, nóż w pierś wbity białą? Czym ją zamordowano? Sztyletem?

- Nie mam pojęcia! Te dwa patafiany z milicji nic nie chciały powiedzieć. Jeden to nawet kawę ze mną w kuchni parzył i kanapki smarował, ale nie zeznał nic ciekawego. Tyle wiem, że w garażu, że w nocy, chyba koło północy...

- To może duchy?... Nie, Magda, przestańmy. Wiesz, zachowujemy się jak świnie.

- Jesteśmy świnie, ale kiedy to jest autentyczna sensacja i nic na to nie poradzisz. Jesteśmy takie same, jak ta banda gapiów, która dopiero teraz się rozchodzi z naszego podwórka. Wiesz, jacy oni byli szczęśliwi, jak zobaczyli, że ja schodzę w asyście milicji z góry. Byli pewni, że jestem już

aresztowana.

- A ty nie jesteś jeszcze aresztowana? Właściwie dlaczego?

- Bo oni sobie na razie tylko życzyli, żebym rozpoznała obywatelkę nieboszczkę.

- Ale niedługo pewnie cię aresztują! Masz alibi?

- Nie wiem, spałam albo pisałam. Nie mam pojęcia. Jak Miśka nie ma w domu, to zegarki stoją. A radia w nocy nie włączam.

- Dobra, dobra, nie wykręcaj się! Spanie to nie jest alibi. Miałaś gacha w łóżku? .

- Niestety, tym razem nie!

- No, widzisz! Jesteś pierwsza podejrzana! Posadzą cię, a potem powieszą. Jest jeszcze u nas kara śmierci? Nie, powiesić to cię nie powieszą, bo przecież nie ma stryczka, który by takiego żarłoka utrzymał. Więc może cię zgilotynują? Mamy gilotynę? Ale dopóki cię nie skażą, to będziesz w samym centrum wydarzeń i będziesz miała wiadomości z pierwszej ręki.

- I potem chyba naprawdę kropnę powieść kryminalną!

- W więzieniu? Tak, tam na ogół pisać pozwalają. A kto będzie mordercą? Przecież nie może być autor.

- Oczywiście ty!

- Można - zgodziła się Klara - ale ja mam lepszy pomysł. Dora!

- Eee... Dlaczego?

- Dlaczego? To ja ci zaraz powiem. Pamiętasz, jak robiłam Kaleckiej ten pokój na sylwestra do audycji telewizyjnej?

- Pamiętam.

- Więc najpierw pojechałam do niej do telewizji na naradę i wiesz, kogo tam spotkałam? - Wolska delektowała się najwyraźniej swoimi wiadomościami. - Benedykta Płockiego!

- O la la!

- Wystarczy?

- Przydałoby się coś jeszcze.

- A będzie, będzie! Tego samego dnia odwiedziła mnie Dorota, która chciała porozmawiać jak kobieta z kobietą, co

oznacza zawsze kłopoty z kolejnym małżonkiem.

- Powiedziałaś jej o tym spotkaniu z Benem?

- Coś ty! Po co? Pomyślałam, że jak będzie trzeba, to ona się sama dowie. Dora jest lisek chytrusek - wyśledzi. A może się nic nie dzieje? Po diabła mam między nimi mieszać? Prawda?

- Prawda. Ciekawe, czy Benuś żyje. Bo może ona ich tak razem cuzamen do kupy? I w jednym grobie? Jak myślisz?

- W jednym grobie to nie. Ona by nie dopuściła, żeby się ich ciała, nawet astralne, zetknęły. A jego w garażu nie było?

- Nie. Zadzwoń do Płockich!

- To ty zadzwoń. Ty z nimi przestajesz, a ja tak tylko właściwie jak mam interes do Doroty.

- Nie, ja się boję!

- Czego?

- No bo my tu różne głupstwa, a jeśli naprawdę?...

- Nie strasz mnie!

- To ty mnie nie strasz! Oj, chyba jednak zadzwonię! Wyłącz się!

Nakręciła numer Płockich. Odezwał się ciepły głos Benedykta.

- A... to ty... - zaczęła głupio Magda zasugerowana rozmową z Wolską - żyjesz... To znaczy... Wiesz już, że Malwinę Kalecką zamordowali.

Jedyny Benedykt zachował się po ludzku.

- Kogo? Ka... Jezus, Maria! - wrzasnął i słuchawka wypadła mu z ręki. Magda, słysząc trzaski, pokręciła głową ze zdumieniem. Czy on nie przesadził w tej rozpaczy nad śmiercią niezbyt blisko znanej osoby? Zawołała jeszcze „halo”, ale usłyszała, jak słuchawka obija się o ścianę. Właściwie nie miała Benowi więcej nic do powiedzenia.

Benedykt Płocki złapał wreszcie dyndającą słuchawkę, odłożył i bezsilnie opadł na kozetkę.

Drżącymi rękami nalał sobie wody sodowej i wypił duszkiem.

- Kto dzwonił? - Dorota weszła z półmiskiem dymiących pierożków. Ben przepadał za pierożkami, ale tym razem nie zwrócił na nie uwagi. Patrzył na swoją żonę, uśmiechniętą,

przepasaną kolorowym fartuszkim, zarumienioną od pracy przy kuchni. Patrzył i nie wierzył własnym oczom. Miał wyraz twarzy człowieka, któremu przed chwilą żelazny młotek spadł na głowę.

- No, coś tak zaniemówił? Kto to był?

- Malwina Kalecka - odparł bez sensu Benedykt. Chciał zaraz poprawić swój błąd, ale ugryzł się w język, ponieważ to, co powiedział zupełnie przypadkiem, nabrało nagle kolosalnego znaczenia.

- Czego ona chciała? - spytała obojętnie Dora i żelazny młotek znów ugodził Benedykta w ciemię. Przedwczoraj Dorota, sprytnie go podszedłszy, wyciągnęła z niego całą historię o audycji, o próbach, rozmowach, o tym idiotycznym nagraniu, w którym nie było miejsca nie tylko na niego, ale nawet na samą Malwinę. Opowiedział wszystko od A do Z, szczerze, dokładnie, jak dał się nabrać na ten rzekomy „występ” przed kamerą, jak dobierał krawaciki, kamizelki, jak szorował buty do połysku i jak młody człowiek ustawivszy kamerę powiedział: a teraz proszę, żeby wszyscy wyszli... Dorota uśmiechała się ironicznie.

Spać poszli już pogodzeni. A dziś rano okazało się, że Malwina nie żyje...

- Czyżbyś się szykował do następnego występu? - Tym razem w głosie Dory brzmiały wyraźnie lodowate tony. - Wolalabym wiedzieć, czy zreperujesz piecyk w łazience, czy też czeka cię kariera telewizyjnego gwiazdora i do piecyka mam zawołać fachowca.

Jeśli udawała, to jej spokój był imponujący. Jeśli .nie... Oczywiście, że nie! Przecież ona nic nie wie! Skąd te idiotyczne myśli!

Ben z trudem uspokoił swoje rozdygotane ręce i siadł do pierożków, ale czuł, że nie jest w stanie przełknąć ani kęsa. Dora obserwowała go uważnie.

- To bzdura! - Rzucił widelec, aż śmietana rozprysła się na obrusie. - Przecież ja wcale nie powiedziałem, że Malwina Kalecka dzwoniła! - krzyknął. - Wcale nie powiedziałem! Ona nie żyje!

- Ciekawe... - powiedziała chłodno Dora. - I ciebie to tak bardzo obeszło...

* * *

Michał Bajorek zrobił dziś około pięciuset kilometrów i ledwo żywy wjechał na podwórze. Samochód był zapraskany błotem aż po dach. Podjechał pod garaż, żeby splukać przynajmniej z wierzchu zwały czarnej mazi, ale garaż zastał zamknięty i zabezpieczony. Znowu! Już raz tak było. Na interwencję baby z parteru. Wtedy Malwa, podjudzona przez Bajorków, zadzwoniła do ADM-u, narzeczyła coś o bezprawiu i pieczęcie natychmiast zdjęto. Ale wtedy Bajorkowie trzymali w tym garażu swój samochód, więc Magdzie zależało, żeby przyjaciółka zrobiła odpowiednim władzom awanturę. Teraz nie zależało jej na niczym, więc nie zdopingowała tej krowy. A w garażu leżą łyżwy, narty. Mróz chwyta, na święta może być ślizgawka, a tu pieczeń jak grzmot! Nie mówiąc już o wodzie i wężu. Kubelkiem żadna z nich wody nie będzie nosić. A swoją drogą, co za ofiara z tej Malwiny! Strzelił z irytacją drzwiczkami samochodu, wyciągnął z bagażnika gęś, którą wytargował od znajomego chłopca, i powędrował na górę. W oknie siedziała za firanką ta cholerna starucha, przyczyna wszystkiego. Michał Bajorek, człowiek spokojny, miał czasem osobliwe pomysły.

Wrócił do samochodu, wyjął z bagażnika teczkę z prezentami dla małoletnich bratanków. Była tam grzechotka dla młodszego i japoński plastikowy pistolet dla starszej latorośli brata. Michał był przekonany, że trafił w dziesiątkę i że pistolet wywoła entuzjazm bratanka.

Było już szaro. Michał szedł galeryjką trzymając pistolet w ręce. Naprzeciw okna baby przystanął. Natychmiast zgasło tam światło i poruszyła się firanka. Wiedział, że jest obserwowany. Powoli podniósł pistolet i wycelował prosto w okno prześladowczym.

Dzkie wycie na potwornie wysokim tonie dotarło do niego przez szybę zamkniętego Okna.

- Ratunku! Morderca! - wrzeszczała kobieta. - Ratunku!

Ratunku! Ra... - zakończyła przeraźliwym kiksem, a jej głos musiał dotrzeć wysoko i daleko, bo obok i na górze zaczęły trzaskać drzwi. Ktoś pytał, co się stało. Ktoś wołał: „Pani Dziopek, niech pani otworzy!”

Michał położył pistolet na gęsi i poszedł spokojnie galeryjką do swojej klatki schodowej. Za jego plecami wybiegali przed dom jacyś ludzie, baba znowu wyła dzikim, histerycznym głosem, ktoś krzychał: „Krew, ludzie, tu jest krew!”, ale to już go nie obchodziło. Dawno podejrzewał, że ta baba, która zatruwa im życie, nie jest normalna, i podejrzenie się potwierdziło. Poczul lekkie wyrzuty sumienia, że postraszył biedną wariatkę, której może się przez to pogorszyć, ale natychmiast rozgrzeszył siebie, ponieważ wreszcie stwierdził z absolutną pewnością, że jej stan umysłu i nerwów pozostawia wiele do życzenia. Miało to pewne znaczenie, ponieważ Michał zdawał sobie sprawę, że ów zapach benzyny, na który narzekała kobieta zawsze, ilekroć samochód Bajorków stał w garażu, jest urojeniem. Był tego pewien w 99%. Pozostawał jéden procent. I ten jeden, a nawet pół procentu wystarczyło, żeby wylecieć w powietrze, jeśli istotnie bak samochodu ma jakikolwiek przeciek paliwa.

Uspokojony, że baba jest naprawdę wariatką i że o żadnych przeciekach wobec tego nie ma mowy, wszedł na górę i przekręcił klucz w zamku. Magdy nie było. Na stole stała kartka oparta o cukiernicę. „Jestem u Benków, zadzwoń. Zupa na kuchni, mięso w środku, pies karmiony, wprowadzony”.

Michał zajrzał do garnka. W rzadkiej bryi pływał kawałek wołowego óchląpa. Normalnie zrobiłaby z tego klopsi-ki, siekaninę z sosem, fałszywe zraziki. Jeśli jednak w krupniku leżał kawał paskudny i ogromny, coś się musiało wydarzyć. Michał obejrzał mięso, stwierdził, że po oddzieleniu tego, co ludzkie, od tego, co psie, czyli od tłuszczu, żył i kości, zostanie mały kawałek. Oddarł go więc sumiennie, rzucił na patelnię i zaczął czytać gazetę. Bardzo szybko doszedł go dym i śwąd.

Otworzył okna i w tym momencie usłyszał nerwowy gwar z

dołu. Na galeryjce, tuż pod mieszkaniem dokuczliwej baby z parteru, kłębił się tłum. Ktoś oświetlał latarką podest, ktoś proponował wezwanie milicji, ktoś inny ostrzegał, żeby nie zacierać śladów. Mięso było czarne z wierzchu, ale pachniało niezłe. Przełożył je na talerz i zabrał się do skrobania spalenizny. Okno po wywietrzeniu zamknął i nie zwrócił uwagi, że tłum stał tak długo, aż na podwórze zajechał milicyjny samochód. Zdziwił się dopiero, kiedy zobaczył w drzwiach marsowego funkcjonariusza. Ale to było nieco później.

* * *

- Nie trzeba było dawać telefonu - powiedział z niezadowolaniem sierżant Fidybus - teraz będzie porucznik miał od cholery fałszywych alarmów. Ale czy to kiedy młody posłucha starszego?

Porucznik Karbolek był chlubnym wyjątkiem wśród młodzieży i chętnie słuchał rad starszych, doświadczonych osób, niemniej w tym właśnie wypadku wołał mieć dziesięć fałszywych alarmów, z których jeden mógł się okazać cenną informacją. Dlatego też zostawił obywatelce Dziopek telefon, pod którym można go było zastać po południu. Sierżant Fidybus kręcił nosem, ponieważ jego poczucie obowiązku było w zaniku. Porucznik nie dziwił się już, że ten skądinąd pożyteczny i doświadczony funkcjonariusz nie awansuje. Brak matury był tylko pretekstem. Maturę w naszym kraju nie tak trudno zdobyć, ale trzeba się starać, trzeba chcieć. A sierżant robił wrażenie, że nie chce nic poza odrobiną świętego spokoju. Był leniem absolutnym i nawet nie usiłował tego ukrywać. Jeśli cokolwiek mogło w związku z tą postacią dziwić porucznika, to fakt, że ten osobnik jeszcze ciągle pracował w milicji, i to w tak odpowiedzialnym wydziale, jak wydział zabójstw.

Inicjatywa porucznika dała bardzo szybko rezultaty. O godzinie 19.57 zadzwonił telefon i roztrzęsiony głos zawiadomił go, że ktoś usiłował zabić panią Dziopkową.

- Dziękuję - powiedział szybko porucznik. - Proszę niczego

nie ruszać. Za piętnaście minut tam będę.

Sięgnął po telefon, żeby zabrać z sobą Fidybusa, ale przypomniawszy sobie jego niechętną minę, ironiczne-spojrzenie spod krzaczastych brwi i jego niesympatyczny sposób bycia, postanowił pojechać sam. Trudno, jeśli nie mogli mu przydzielić jakiegoś normalnego, rozumnego funkcjonariusza do pomocy, tylko takie dziwadło, to trzeba po prostu ilość kontaktów zredukować do niezbędnych, a mając już pewną koncepcję śledztwa trzymać sierżanta krótko i skierować do prac dla jego kwalifikacji stosownych. Pokrzepiony tą myślą, wyszedł z biblioteki milicyjnej i przed gmachem zobaczył kierowcę Koziora. Kozior mieszkał niedaleko ulicy Prusa i nie zwykł był wstawiać swego wozu do garażu na noc.

- Podwieziecie mnie, kapralu - powiedział urzędowym tonem porucznik. Kozior łypnął spode łba, ale nie spytał o nic, a Karbolek nie zamierzał wyjaśniać, że jego podróż jest tylko na pół służbowa i że kontrolkę może sobie kierowca schować do torby. Tak czy inaczej, chodziło o to, żeby wjechać na podwórze w majestacie władzy, bo władza na piechotę majestatu nie ma. Tak przynajmniej sądził porucznik Karbolek, człowiek młody, pełen zapału, ale ciągle niezbyt pewien własnej urzędowej godności.

Na galeryjce opadły go kobiety.

- Chciał zastrzelić panią Dziopkową!

- Celował pistoletem! Żeby nie wybiegła na schody, toby zastrzelił!

- Tylko że się przestraszył. Ale by zastrzelił jak nic! - wołały jedna przez drugą zemocjonowane sąsiadki. - O, tu jest krew! Pan porucznik zobaczy!

- Ranił panią? - Porucznik jak bomba wpadł do mieszkania, gdzie bohaterka dramatu, pani Dziopkową, leżała na łóżku z okładem na głowie. Miała cierpiącą twarz, mówiła cichym głosem. Karbolcowi zrobiło się jej żal. Ona jedna nie szukała w tym wszystkim sensacji. Ona jedna musiała się przestraszyć naprawdę. Była przecież W końcu stara, samotna i bezbronna. Choć tłum sąsiadek, które wtargnęły tu wraz z

porucznikiem, mógłby ten mit samotności podważyć.

- Nie zdążył. Ja krzyczałam - poskarżyła się cichutko.
- Obywatelki znają tego człowieka z pistoletem?
- To ten z góry!
- Ten w okularach!
- Ten, co ma buldoka - posypały się odpowiedzi.
- Ten, co jego żona zamordowała tę w garażu!
- Po pierwsze, nie wiadomo jeszcze, kto zamordował, więc

proszę tu nie ferować wyroków. Milicja jest od tego, żeby sprawdzić i aresztować winnego. Na razie jeszcze nikomu winy nie udowodniono. Po drugie, proszę, żeby pani która pierwsza zobaczyła człowieka z pistoletem, żeby ta osoba powiedziała mi cały przebieg wydarzenia. Słucham.

- Ja wyleciałam pierwsza - zaczęła gruba w chustce - jego nie widziałam, tylko słyszałam, jak pani Dziopkową krzyczy. Znaczący widziałam jego, ale z tyłu i on już nie miał w rękach pistoletu, i nie widziałam, żeby strzelał.

- Kto został ranny? Do kogo strzelał ów osobnik? - zawołał porucznik.

- Chyba tylko do pani Dziopkowej - odparła najrezolutniejsza - ale widać nie trafił.

- I z tego jest ta krew? Tak? Pierwszy raz słyszę, że ofiara krwawi, gdy zabójca chybił - ironizował porucznik.

- Zrozumiałem więc, że w momencie, kiedy pani wybiegła z mieszkania, ów osobnik odchodził nie mając w ręku broni?

- Tak.

- W którym miejscu go pani zobaczyła?

- O tam, pod oknem tej, co jej matka umarła.

- Pod którym oknem?

- No tu, trzecie ode drzwi.

- Nie zatrzymał się, nie obejrzał? Czy pani się odezwała?

- Nie, ja tam nic nie miałam do odzywiania: A on czym prędzej uciekł.

- Szedł czy uciekał? Jak wiadomo, człowiek uciekający raczej biegnie niż idzie. - Karbolka ogarnęło zniechęcenie. Pędził tu zelektryzowany prawdopodobieństwem następnej tragedii, a znalazł farsę.

- No, uciekał tak, żeby nie zwracać uwagi. Oni tak ze wszystkim, panie poruczniku, niby nic, nikogo nie znają, nikomu dzień dobry nie powiedzą, a tylko patrzą, żeby komu co złego zrobić.

- Na czym opiera pani swoje twierdzenie?

- Na różnym. Ja mam świadków! No, ot choćby panią Dziopkową truli. Tyle miesięcy! Administrację przekupili! Milicję z dzielnicy! Wszystkich! Za granicę jeżdżą, dolary mają, to i nic dziwnego.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, że rzuca pani oszczerstwa na organa władzy? Na pracowników państwowych? Potrafi pani udowodnić, że milicja została przekupiona?

- Panie poruczniku - kobieta spuściła z tonu - może niekoniecznie milicja. Nikt nikomu na ręce nie patrzy, ale wszyscy wiedzą, co to za numery. Samochody zmieniają co roku. Dla niepoznaki ten sam z wierzchu, ale silnik w środku fałszowany. O, pan Słobódka mówił! Parę tygodni temu w niedzielę wracał do domu, też autem. Przelecieli koło niego swoją maszyną. Przelecieli chyba setką! A pan Słobódka ma przecież dobry samochód. Dwa razy droższy od tego ichniego.

Starszy, siwiejący mężczyzna stał z boku ze zniecierpliwionym foksterierem na smyczy.

- Owszem, mam skodę, ale wyszedłem już z wieku. Kiedy ciśnie się gaz do deski. Kiedy ci państwo wyprzedzili mnie trabantem z dużym zapasem szybkości, trochę docisnąłem, nie dlatego żebym miał ambicje rajdowe, ale po prostu chciałem zobaczyć, czy to istotnie moi sąsiedzi. Oni mają bardzo dużego żółtego psa i stąd łatwo ich poznać nawet w tłoku na szosie. Doszedłem ich dopiero na ograniczeniu szybkości, po czym natychmiast znów na szosie straciłem z oczu. Kiedy zjechałem na podwórze, ten pan już kończył myć samochód, z czego wywnioskowałem, że musiał przyjechać co najmniej dwadzieścia minut przede mną. Wyraziłem więc przypuszczenie wobec męża pani - wskazał głową grubą kobietę - że ów trabant ma zamontowany silnik jakiegoś innego szybszego samochodu, i zastanawialiśmy się wspólnie,

co można wstawić do tej plastikowej mydelniczki oraz ile by to kosztowało. Ale nigdy nie mówiłem, że ci młodzi ludzie fałszują silniki! Proszę mi tego nie imputować - zakończył tonem pełnym godności. - Czy mogę już odejść, panie poruczniku?

- Tak, tak, oczywiście... Który numer mieszkania? spytał zaaferowany Karbolek zastanawiając się nad tymi wszystkimi powiązaniem: uporczywy smród benzyny w garażu, w którym zginęła Malwina Kalecka, samochód z wymienionym silnikiem - czy rzeczywiście? - śmierć w spalinach, zmiana właścicieli garażu - czy to wszystko ma jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy? Jak wyłuskać to, co istotne?

- Ten Słobódko to też numer - powiedziała któraś z kobiet - najpierw kazał zabezpieczyć ślady, a potem sam podeptał. Najpierw dużo gada, a potem wodę w gębę bierze. Prywaciarz!

Zabrzmiało to jak obelga.

- O co paniom właściwie chodzi? - spytał ostro porucznik, bo już go zaczynały irytować te sąsiedzkie połajanki. Odpowiedziało mu milczenie. Panie wyglądały na obrażone. - No więc? Pytam raz jeszcze. Kto widział, jak wspomniany osobnik próbował zastrzelić obywatelkę Dziopkową? - Znów milczały. Nawet gruba spuściła głowę i patrzyła w ziemię. - Kto widział broń? Nikt? Więc może się dowiem, która z pań telefonowała informując milicję o próbie zabójstwa?

- Ja - powiedziała z ociąganiem gruba - bo pani Dziopkowa prosiła, żeby tak powiedzieć.

No tak, to było do przewidzenia! Nadeła się góra i urodziła mysz, jak mawiał tatuś nieboszczyk. Banda rozhisteryzowanych, żądnych sensacji bab! Oczywiście, że sprawę tego pistoletu czy rewolweru trzeba będzie wyjaśnić, bo to wszystko się tu zazębia, wszystko kręci się wokół tego nieszczęsnego garażu, ale przede wszystkim ostro, konkretnie i zdecydowanie trzeba będzie porozmawiać z panią Dziopkową. Kiedy jednak spojrzął na pobladłą twarz leżącej kobiety, jego stanowczość nieco stopniała. Staruszka wyglądała tak łagodnie i bezradnie. Cóż ona winna, że się boi i

że ten strach ma wielkie oczy?

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedziała cichym, delikatnym głosem. - Bardzo dziękuję... Jestem już u kresu sił. Muszę panu wszystko opowiedzieć.

* * *

Michał Bajorek siedział w wannie, kiedy usłyszał dzwonek u drzwi i powarkiwanie psa.

Znowu klucza nie wzięła, gapa cholerna - pomyślał brzydko o żonie, ale natychmiast przyszło mu na myśl, że nie sposób zamknąć drzwi na klucz zostawiony w domu. A były zamknięte. Więc to nie ona dzwoni, ale jakaś nie zapowiedziana osoba, którą można wpuścić, ale też można i nie. Sięgnął po kieliszek stojący na sedesie, łyknął koniaczku i znów zanurzył się po szyję w ciepłej wodzie. Dzwonek dzwonił. Z przerwami, ale uporczywie. Wreszcie za milikł. Michał wyciągnął się zadowolony i dopuścił wody. Wtedy dzwonienie odezwało się znowu. Zrozumiał, że został zdekonspirowany. Zrezygnowany wyszedł z wanny i otworzył drzwi. Zdumiał się nieco na widok milicyjnego munduru z oficerskimi dystynkcjami oraz należącej do niego zagniewanej twarzy.

- Dlaczego obywatel nie otwiera? - warknął milicjant. - Aa, przepraszam! - Spojrzał na mokre włosy gospodarza i całkiem prywatny uśmiech rozjaśnił jego twarz. Podejrzliwość i złość zniknęły. - Wyciągnąłem pana z wanny!

Michał Bajorek, acz mokry i dzwoniący zębami, okazał się o niebo uprzejmiejszy od swojej żony.

- Proszę - powiedział otwierając szeroko drzwi - niech pan wejdzie, a ja się trochę doprowadzę do porządku.

Porucznik Karbolek wszedł dziś po raz drugi do znanego już sobie mieszkania i stwierdził, że stan zagracenia jeszcze się zwiększył, choć mogłoby się wydawać, że nawet szpilka się już w tym pokoju nie zmieści. Zmieściła się jednak choinka, torba podróżna okazałych rozmiarów oraz piecyk elektryczny. Na tym piecyku leżał dziecienny pistolet na wodę. Duży, błyszczący, srebrzysty. Porucznik Karbolek bardzo się ucieszył, że nie udało mu się zadać pierwszego pytania, które

miało być zaskakujące i podchwytliwe: czy ma pan pozwolenie na broń? Zamiast tego spytał po prostu:

- Po co pan to zrobił? Po co państwo dokuczacie tej staruszce? Co chcecie przez to osiągnąć? O co wam chodzi?

Spokojny i jak dotąd nawet uprzejmy Bajorek zareagował teraz nie mniej ostro niż jego żona.

- Ach tak, to ona pana nasłała? No to szybko niech pan robi, co do pana należy, bo ja nie mam czasu ani ochoty na bzdury! Ja się nie dam zwariować!

Porucznik był coraz bardziej zdziwiony, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Nie będzie pan chyba zaprzeczał, że mniej więcej przed godziną groził pan tym pistoletem obywatelce Dziopkowej.

- Kto to jest Dzio... A, pewno to ta stara wariatka! Ta z parteru, tak? Więc nie groziłem, tylko niosłem pistolet w ręce. W jednej ręce gęś, a w drugiej pistolet. Ona jak zwykle zgasiła światło i wyjrzała przez okno...

- Jak zwykle?

- Tak, jeśli ktoś z nas, ja albo żona, podjeżdża pod garaż i potem musi do domu przejść pod jej oknem, to ona szybko gasi światło i wygląda zza firanki. Dziś też tak było. Wyjrzała i wrzasnęła „ratunku, morderca!” Czy „bandyta”

- nie zwróciłem uwagi. A potem reszta bab wyleciała z okolicznych mieszkań i zrobił się straszny jazgot, ale już na szczęście doszedłem do swojej klatki, więc nie wiem, co się tam działo dalej.

- Czy pana to nie dziwi, że ktoś na widok dziecinnego pistoleciku krzyczy „ratunku”? Czy pan by uwierzył w taką historię, gdyby ją opowiedziano panu?

- Nie wiem, czybym uwierzył - odparł szczerze Michał

- ale mnie to nie dziwi, bo już wielokrotnie przekonaliśmy się, że ta kobieta jest nienormalna. Więc co może mnie dziwić w postępowaniu wariatki. Cokolwiek ona robi, wszystko jest w porządku. Jakaś pomyłona logika musi być.

- Na czym pan opiera swoje twierdzenie, że to wariatka?

- Na wielomiesięcznym borykaniu się z fantazjami tej paniusi. To się zaczęło dwa lata temu. Mieliśmy stary

samochód, w którym różne cuda się zdarzały, więc jak pewnego dnia zaczęła nas jakaś babka i powiedziała, że z garażu, gdzie stoi ten nasz grat, Strasznie śmierdzi benzyna, to nawet byliśmy jej wdzięczni, że zwróciła na to uwagę. Garaże są szczelne, podłoga brudna, poplamiona - nie zauważy człowiek przecieku i może wylecieć w powietrze razem z połową kamienicy. Więc powiedzieliśmy jej, gdzie mieszkamy, daliśmy numer telefonu i umówiliśmy się, że jak tylko ona poczuje smród, to zawiadomi nas, my z nią zejdziemy i zobaczymy, co tam się z tym samochodem w garażu dzieje. Ona telefon zapisała, wszystko się odbyło grzecznie, uprzejmie i ucichło. Zrozumieliśmy więc, że jeśli był przeciek, to przypadkowy. Podłożyliśmy pod samochód czyste gazety, na wszelki wypadek, ale ani kropelka nie spadła. Zapomnieliśmy o sprawie. Aż pewnego razu przyjeżdżamy pod garaż, a tu urzędowe pieczęcie na drzwiach... Nie, chyba nawet przyszliśmy z domu i samochód stał wewnątrz. Tak, na pewno. Inaczej Magda by nie zrobiła takiej awantury. Wzięliśmy Malwinę, znaczy właścicielkę garażu, i biegiem do ADM-u. Działanie była bezprawne, więc natychmiast te pieczęcie zostały zdjęte, ale przy okazji dowiedzieliśmy się, że od tej pierwszej rozmowy z nami baba z parteru nie próżnowała. Chodziła do ADM-u, gdzie znalazła drugą idiotkę - kierowniczkę. Do milicji, gdzie nie znalazła chyba żadnego durnia, który by się dał jej nabrać. Do rady osiedlowej, do kolegium i cholera wie jeszcze do kogo. Wszędzie płakała, że ją trujemy naszym śmierdzącym samochodem. Tylko ani razu nie przyszła do nas, nie zatelefonowała. I teraz niech mi pan powie, czy tak robi normalny człowiek. Ale właściwie - zastanowił się Bajorek - to nawet nie powinien w ten sposób robić również wariat. Bo skoro ona ma obsesję, że jej śmierdzi...

- A jest pan pewny, że to obsesja?

- Panie poruczniku, myśmy przez ten czas zdążyli zmienić samochód, wyłożyć podłogę w garażu, ADM sprawdziła przewody wentylacyjne, żatynkowała jakieś tam dziury, a myśmy kiedyś dla wypróbowania jego szczelności wynieśli

wszystko, co mogłoby się zająć, i zostawiliśmy w zamkniętym zapaloną oponę. Calutką oponę gumową spaliliśmy. Gdyby ten garaż cokolwiek przepuszczał, do niej, to smród tej palącej się opony musiałby ją wyrzucić z domu jak amen w pacierzu. Siedziała w chałupie - widzieliśmy - i pojęcia nie miała, co się w garażu dzieje. Więc musi to być imaginacja, ale jak mówię, nie rozumiem sprawy. Bo jeśli ona jest wariatka, to wierzy, że ten smród rzeczywiście istnieje, prawda?

- No... tak. Do czego pan prowadzi?

- Po prostu do tego, że ona powinna dążyć do zlikwidowania tego wyimaginowanego smrodu, a więc jednak powinna do nas przyjść czy zatelefonować. Dlaczego tego nie zrobiła?

- Łatwo mogę zaspokoić pańską ciekawość - odparł porucznik. - Dlatego, że państwo jej groziliście. Ta stara kobieta boi się, zeznała, że wielokrotnie ubliżaliście jej, u nawet usiłowaliście pobić. Uratowała ją tylko interwencja sąsiadek.

- Co za bzdura!

- Nie wiem, czy taka bzdura. Ona ma na tę okoliczność świadków, jak również na to, że dziś straszył ją pan pistoletem. Jeśli nawet to były żarty - załóżmy - to mogą się źle skończyć. Uprzedzam pana. A teraz proszę mi pokazać samochód.

Po wyjściu milicjanta Michał zadzwonił do Płockich, ale telefon ciągle był zajęty. Wybrał się więc spacerkiem przez park. Otworzyła mu własna żona z wypiekami na twarzy.

- Fajnie, że jesteś! Zaraz ci wszystko opowiemy!

- Chcesz herbaty? Jeść? - Za jej plecami pojawiła się Dora. - Usmażyć ci jajka?

- Nie chcę jajek, mogę herbaty. Ja wam też coś mogę opowiedzieć. Miałem wizytę porucznika MO w sprawie garażu. Samego porucznika! Czy nie pora już tę babę udusić?

- Nie, dopiero jak przyjedzie osobiście generał milicji, to...

- Jak przyjedzie choćby pułkownik, to ja mu wręcę klucz i

powiem, że...

- Nie wręczysz, bo klucza nie mamy. Zabrała milicja.

- Co?! A dobrze! Niech to cholera! Wolę kubelkiem z trzeciego piętra wodę nosić do mycia niż cały ten cyrk. Przyłazi taki, samochód ogląda, silnik sprawdza, podwozie, zapuszczać każe, nauki moralne wygłasza, biednej staruszki żałuje, a ja nadal grata umyć nie mogę, cholera! Dlaczego ta Malwa jeszcze nie poszła do ADM-u? Na co ona czeka? Gdzie ma swój wóz? Na zewnątrz czy w środku? Czy ona nigdy nie zrobi nic pożytecznego, jak się jej nie kopnie we właściwym kierunku?

- Nie - dorwała się wreszcie do głosu Magda Bajorkowa. - Nigdy! Nigdy już nic nie zrobi i nie powie, ponieważ jest martwa.

- Jaka?

- Martwa. Sztywna, czyli nieżywa.

- Co to za metafora? Nic nie rozumiem.

- Nie trzeba rozumieć. Trzeba przyjąć do wiadomości. Ten gliniarz nic nie mówił? Malwinę ktoś wysłał do aniołków.

- Czy ty nie mówisz o tym w sposób zbyt frywolny - zauważyła łagodnie Płocka.

- A jak mam mówić, kiedy ten niewydarzony nic nie rozumie, jak się mówi poważnie!

- Bo znowu coś pleciesz bez sensu!

- Z sensem! Malwina nie jest już ani piękna, ani intelektualnie wybijająca, ani pełna inwencji, tylko zwyczajnie martwa jak ten stół. Zamknięta w garażu i uduszona spalinami.

- Czy wy nie możecie przestać? - krzyknął nagle Płocki, - Czy dziś wszyscy muszą mówić tylko o tym?

- O co ci chodzi, Ben? Przecież Misiek jeszcze nie jest wprowadzony. Czy ty uważasz, że to drobiazg? Coś, o czym w ogóle wspominać nie warto? Najwyżej mimochodem, ot, tak sobie, na marginesie? Często nieznani sprawcy mordują twoje przyjaciółki?

Benedykt podskoczył, jakby usiadł na jeżu.

- Ona nie była moją przyjaciółką! - krzyknął, choć na ogół

tego nie robił. - Skąd te insynuacje?!

- A jemu co? - zdumiał się Bajorek. - Rzeczywiście wygląda dziwnie. A może on jest mordercą?

Ben wstał i z rumorem odsunął krzesło. Wyszedł do kuchni i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

- Przestańmy o tym mówić - szepnęła Dora. - On rzeczywiście jest wrażliwy. Może się w niej trochę podkochiwał ostatnio? A może po prostu nie lubi żartów ze śmierci? I słusznie zresztą. Naprawdę nieładnie się zachowujemy. To nie jest temat do żartów. Powiedz lepiej, czego chciał od ciebie ten milicjant.

- Wiecie, że on mnie dość dziwnie podchodził. Teraz zaczynam rozumieć. Nie, właściwie dopiero teraz nic nie rozumiem. To znaczy rozumiem, chociaż nie to, co rozumiałem przedtem - zaplątał się na chwilę Bajorek, ale wrodzona trzeźwość umysłu zwyciężyła. - Rozumiem, dlaczego wypytywał, kiedy wróciłem, ile ten samochód ciągnie. No to mu pokazałem w książce trabantowskiej, że stu nie przekracza, bo co sobie będę gębę strzepił. A tu mam czarno na białym. Niech sobie poczyta. Ale on nie chciał czytać. Widocznie wbił sobie do głowy, że ja z Ornety, bo mówiłem, że nocowałem w Ornecie i mam stamtąd rachunek, gnałem tu po nocy, żeby zamknąć Malwinę w garażu. A później z powrotem po tej gołodzi, żeby zdążyć o siódmej zjeść śniadanie z kierownikiem PGRybu? A po co numery silnika sprawdzał? Że niby ją z jednego silnika trułem, a na drugim jechałem? Nie, bzdura! No więc co? I dlaczego mnie podejrzewa? .

- Pewno dlatego, że ty jeden masz alibi. Wiesz, jak jest w kryminałach? Ten, który ma najlepsze alibi, okazuje się zwykle mordercą - powiedziała Dorota. - Nigdy nie miałeś ochoty jej zamordować?

- Mnóstwo razy!

- Nic się nie martw - pocieszyła go żona. - Ja też jestem podejrzana. Byli u mnie rano i wypytywali, gdzie spędziłam noc i z kim. Właśnie usiłowałam namówić Benedykta, żeby zeznał, że cudzołożył ze mną patrząc stale na zegarek, od

godz. 20³⁰ do 1⁰⁰, albo i dłużej. Ale sam widzisz, jak on reaguje. Mimoza cholerna! Wyprowadziłeś psa?

- Przecież w kartce stało, że wyprowadzony i karmiony.

- Kartka była poranna. Nie wiedziałam, kiedy wrócisz.

Biedny pies! Niesikany i głodny!

Kiedy wyszli na ulicę, Magda powiedziała poważnie:

- Zdaje się, że to wszystko naprawdę nie jest wesołe. Powiedz mi, co ma do tego Benedykt. Czy ty możesz uwierzyć, że on popadł w histerię dlatego, że miał ochotę na Malwinę i ktoś mu ją w sposób zbyt dosłowny sprzątnął sprzed nosa? Albo dlatego, że ma wrażliwe serduszko? Zachodzę w głowę, o co chodzi. Przecież on się zachowuje jak wariat. Miałeś maleńką próbkę, ale ja miałam nieco większą, i powiem ci, że on robi wrażenie człowieka, który na przykład strzelił do kogoś z pistoletu zabawki i dowiaduje się nagle, że tego człowieka naprawdę zastrzelono. Ale on Malwiny przecież chyba nie udusił? Początkowo myślałam, że to ta baba z parteru, ale, po pierwsze, nie sędzę, żeby ona była aż taka wariatka, żeby się posunęła do morderstwa, a po drugie, zwątpiłam w nią od momentu spotkania z Benem. On musi być w to zamieszany.

- Zamieszani w to jesteśmy my - powiedział ponuro Michał - przede wszystkim my. Właśnie dzięki naszej miłej sąsiadce z parteru. Bez względu na to, czy ona jakoś maczała w tym palce, czy nie, zrobi wszystko, żeby w to wpakować nas. Ten gliniarz najpierw był u niej. Z tego, co mówił, wynika, że ona fabrykuje jakichś fałszywych

świadców na okoliczność, że myśmy jej grozili, straszili itede. I że te wszystkie kłępy z okolicznych mieszkań, które nie mają co robić, staną z rozkoszą w sądzie i zeznają wszystko, o co kochana sąsiadka poprosi, w to chyba nie wątpisz? Jeszcze na domiar złego ja dzisiaj niosłem pu- kawkę dla małego Leszka i wycelowałem nią w okno tej baby, gdy zobaczyłem, że ona ślipi zza firanki. Mógł ktoś zauważyć, cholera...

- Po co to robisz?

- Z psich figłów. A propos pies - czy on naprawdę nie był wyprowadzany?

- Był, był, tylko ja już nie mogłam dłużej wytrzymać w tej napiętej atmosferze u Płockich. Myślałam, że się rozerwę, że im opowiem sensacyjną historię, a tu Benek się rozhisteryzował jak głupi.

- Co zaś do baby, to byłyby pewne dane, żeby... To nawet do niej pasuje! Podejść cichcem, zamknąć i zacząć swoje lamentsy, że trują. No, dobrze, ale przecież Malwina nie dałaby się zamknąć jak baran. Ta baba musiała ją czymś walnąć, a to już...

- Nic nie było! Żadnego znaku! Malwina była całutka, czyściutka, doskonale umalowana i uczesana. Żadnego znaku po uderzeniu! Nic! Kluczyk siedział w stacyjce, a kłódka od garażu wisiała na tym gwoździu za półką. Nie sądzę, żeby ją tam powiesili milicjanci albo szofer, co znalazł Malwinę, tylko chyba ona sama.

- Z tego wynika, że nikt jej nie ogłuszył, nikt jej nie zamknął z zewnątrz na kłódkę, tylko ona sama przymknęła drzwi, usiadła i zaczęła Wdychać opary benzyny? Samobójstwo?

- Oni też o tym pomyśleli. Ale to chyba nie jest taka prosta i łatwa śmierć, jeśli nawet założymy, że Malwina była tragiczną postacią, co to w oczach łzy, na ustach uśmiech, dusza się rwie na szmaty! No więc gdyby nawet, to miała ogromne możliwości, żeby w ostatniej chwili, kiedy samobójcy rozum wraca, wstać, otworzyć drzwi i wyjść na świeże powietrze.

- Może już nie miała siły?

- Noto się wyczołgać. Nie, ktoś jakoś musiał jej pomóc!

- Albo zasłabła?

- Zdrowa była jak koń!

- Czy to wiadomo było na pewno?

- Też racja. Ale gdyby nawet ktoś jej zatrzasnął te drzwi, to przynajmniej zgasiłaby silnik.

- I to mi właśnie wygląda na tę babę. Na przypadek. Okazję! Malwina musiała zasłabnąć, zemdleć czy coś w tym guście. Przysiadła w samochodzie - to normalne. A baba zesłała wściekła, że ciągle słychać silnik. Zesłała, żeby zrobić awanturę, a zobaczyła, że Malwina leży czy siedzi nieprzytomna, więc jak na

wariatkę przystało, zamiast ratować, zatrzasnęła drzwi i uciekła. Może jej naprawdę -chodziło o ten garaż? Przecież to jakiś patologiczny przypadek. Może jej się na przykład ubzdurało, że w tym garażu są zakopane skarby pod podłogą?

- A może ona wie, że one naprawdę są?

- Druga wariatka! - westchnął Bajorek. Chciał jeszcze coś dodać, ale żona pociągnęła go za załom muru i położyła dłoń na ustach. Dochodzili już do swego domu i Michał nie widział wokoło nic, co wydawałoby się interesujące. Chciał się już odezwać głośno, kiedy w cieniu śmietnika, obok garaży, zobaczył dwa poruszające się cienie. Znieruchomiał. Pod garażem grasował człowiek z psem na smyczy.

- Szukaj, szukaj - szeptał gorączkowo pan, ale zwierzak nie bardzo wiedział, o co chodzi. Posłusznie zamiatał wokoło nosem, ale jak można sądzić, bezskutecznie. Dopiero po pewnej chwili, kiedy oczy oswoiły się z mrokiem, rozpoznał Michał znajomą postać i znajomego psa. Tym razem Benedykt Płocki nie miał na sobie białego kożuszka.

* * *

- Czy uważa pani, że córka mogła popełnić samobójstwo?

Rozmowa z matką zamordowanej nie była łatwa, ale porucznik Karbolek znany był w komendzie ze swego taktu i delikatności. Nie ponaglał, nie używał rozkazującego tonu. Oczywiście poza wyjątkami, kiedy było to niezbędne, choć i w tych przypadkach przychodziło mu to z pewną trudnością.

- Małwa i samobójstwo? - odpowiedziała pytaniem na pytanie starsza pani Kalecka. - Nigdy! To była dziewczyna tak pełna życia, pogodna, radosna! Poza tym nie miała najmniejszego powodu. Małżeństwo jej się nie udało, to prawda, ale zakończyła je w taki sposób, jak chciała. W jej życiu nie został żaden ślad po tym człowieku.

- Czy może mi pani podać jego adres i nazwisko?

- Stefan Janicz. Adresu obecnego nie znam. Gdzieś na Biskupinie kupił sobie willę, ale nawet w przybliżeniu nie wiem, gdzie.

- Czy byli jeszcze inni mężczyźni w życiu pani córki?

- W jej życiu ciągle byli mężczyźni - powiedziała pani

Kalecka z odrobiną melancholii - bo to była naprawdę niezwykle piękna, atrakcyjna dziewczyna. Pan jej nie widział żywej...

Karbolek zrozumiał, że pani Kalecka zaraz się rozplacze, jeśli nie zostanie zmuszona do intensywnego myślenia o czymś innym.

- Czy Stefan Janicz był człowiekiem zamożnym? Czym się zajmował?

- Pantofle, panie poruczniku. A sklep miał na Świdnic- kiej. W pawilonach. Cóż ja mogę panu więcej powiedzieć o jego zarobkach. Nie znam ich i Malwa chyba nie знаła, ale ten sklep mówi sam za siebie. Moja córka jednak nie była materialistką. Może to ją zgubiło... Nie zawahała się rzucić tego wygodnego życia, żeby pójść za głosem serca.

- I poszła? - Porucznik Karbolek lubił romantyczne opowiadki, a mama Karbolkowa wprost za nimi przepadała. Poprawił się na krześle.

- Poszła. On, Leopold Wiślicki, kochał ją jeszcze od dzieciennych lat. Swoją pierwszą wielką platoniczną miłością. A ona... no cóż, wie pan zapewne, jakie są piękne dziewczyny, świadome swojego uroku. Malwa nie była bez serca, ale muszę obiektywnie przyznać, że trochę się nim bawiła. Przybiegał do jej nóg na każde skinienie, jak wiemy pies. I nagle - to był chyba akt rozpaczny - ni z tego, ni z owego się ożenił. Zdawał sobie sprawę, że u Malwy nie ma żadnych szans. Kimże on był, panie poruczniku! Nieśmiałym dwudziestoparoletnim chłopaczkiem. A ona miała wokół siebie sławnych literatów, malarzy, ludzi z wielkiego świata. Wie pan, kto się nią interesował? - Pochyliła się do ucha porucznika i wymówiła niezbyt wyraźnie jakieś nazwisko, które brzmiało jak Psch albo Psych. Porucznik ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Tak - powiedział chcąc zrobić przyjemność matce - widać, że to musiała być kiedyś piękna dziewczyna.

- Kiedyś?!-Najwyraźniej osiągnął odwrotny skutek.- Co to znaczy „kiedyś”? Ona była do ostatniej chwili fascynującą kobietą. Nie było mężczyzny, który by na nią nie zwrócił

uwagi. Była już po trzydziestce - porucznik spojrzął kątem oka w papiery i stwierdził, że Malwina Kalecka była po trzydziestce już od dziesięciu lat - ale nikt jej nie dawał więcej niż dwadzieścia dwa, trzy. Najwyżej! Ona była typem dziewczyny, która może podobać się każdemu mężczyźnie. Od intelektualisty do taksówkarza czy robotnika.

- Wyobrażam to sobie bez trudu - powiedział łagodnie porucznik - niemniej byłbym wdzięczny, gdyby pani zechciała wrócić do tematu. Mówiliśmy o małżeństwie pani córki i o jej, jeśli dobrze zrozumiałem, rozwodzie. Wspomniała pani również o człowieku, który ją tak wytrwale adorował... Niech mi pani teraz pomoże wszystko upo-

rządkować... - poprosił porucznik tonem pilnego ucznia, który zwraca się z pełnym zaufaniem do swojej nauczycielki ze sprawą przekraczającą jego możliwości. Pani Kalecka postąpiła tak, jak powinna postąpić w tej sytuacji każda kobieta obdarzona choćby odrobiną opiekuńczych instynktów. Pani Kalecka uśmiechnęła się po raz pierwszy i powiedziała energicznie:

- Zaraz wszystko sobie uporządkujemy! Niech pan się nie martwi. Proszę tylko uważnie słuchać. A więc: małżeństwo Malwy ze Stefanem Janiczem zostało rozwiązane dwa lata temu. Przyczynił się do tego nie tylko paskudny charakter Stefana, jego brutalność, gruboskórność, maniackalna zazdrość, ale również fakt, że Leopold błagał ją na wszystko, żeby zerwała to nieodpowiednie małżeństwo.

- Leopold to...

- To właśnie ów zakochany w niej od tylu lat chłopczyk. W międzyczasie wyrósł na przystojnego mężczyznę, skończył handel zagraniczny, jak mówiłam, ożenił się, Malwa także wyszła za mąż - ich drogi na jakiś czas się rozeszły. Spotkali się niespodziewanie. On zobaczył swoją najukochańszą dziewczynę taką samą jak kiedyś, nie zmienioną mimo upływu lat, a może jeszcze piękniejszą. Ona, zamiast nieśmiałego chłopca, zobaczyła pewnego siebie, świadomego swojej wartości, wytwornego mężczyznę, bywałego w świecie Europejczyka, tak bardzo różnego od jej prymitywnego męża.

Czy można się dziwić, że spojrzała na niego innymi oczami? Że znów wybuchła miłość? Ale tym razem z wzajemnością...

- Mimo że córka pani nie wyszła za mąż za Leopolda...

- Leopolda Wiślickiego. Tak brzmi jego nazwisko. Prawdopodobnie chciałby pan zapisać również adres - domyśliła się pani Kalecka. - To jest na Starym Mieście. Budynek naprzeciwko tej uliczki, gdzie mieści się biuro handlowe RFN. Na czwartym piętrze, od podwórza okna.

- Zna pani takie szczegóły, ale adresu pani nie pamięta?

- Uśmiechnął się szczerym młodzieńczym uśmiechem. - Ja też takie szczegóły łatwiej zapamiętuję niż numery. Szczególnie jak często gdzieś bywam.

- Nie, proszę pana, ja nigdy nie byłam u państwa Wiślickich. On tam mieszkał z żoną. Ja to wiem tylko od Malwiny.

- A ona skąd?

- Och, tego to doprawdy nie wiem... - odparła pani Kalecka i zmieszana się ogromnie. Porucznik przyjrzał się jej uważnie, ale nie spytał o powód zmieszania. Wolał jej nie niepokoić. Odpowiadała tak swobodnie. - Nie wyszła za niego, ponieważ rozbijanie rodziny nie leżało w jej charakterze - powiedziała spieszenie matka. - Leopold zdążył w międzyczasie nie tylko się ożenić, ale również spłodzić dwoje dzieci - w jej głosie była wyraźna pretensja.

- Chwileczkę! - Porucznik spojrzał na panią Kalecką niewinnymi błękitnymi oczami. - Teraz znów nic nie rozumiem. Córka pani rozwiodła się na prośbę Wiślickiego, a więc brała chyba pod uwagę rozbicie rodziny, a przynajmniej jakieś bliższe z nim kontakty.

- Bliższe kontakty były - powiedziała Kalecka patrząc na porucznika zaczepnie. - W końcu przecież Malwa była dorosłą kobietą! Mogła żyć, jak chciała. Ale w pewnym momencie powiedziała sobie: dość! Zdawała sobie sprawę, że dla niej Leopold jest jednym z wielu zakochanych w niej mężczyzn, natomiast dla tamtej kobiety jest prawdopodobnie jedynym. Potrafiła być wielkoduszna, zapewniam pana. Zresztą... o ile wiem, już wtedy zjawiał się na horyzoncie ten rajdowiec... Ma

warsztat naprawy samochodów, nazywa się Rafał Palczyk. Zrobił na Malwie duże wrażenie swoją spontanicznością, żywiołowością. Był ta- kim mężczyzną, jakiego jej potrzebą. Rozumieli się doskonale. Poza tym łączyła ich pasja samochodowa. Malwa, niech pan sobie wyobrazi, wybierała się na rajd. Chciała startować. Rafał miał ją do tego przygotować. Wszystko się

tak pięknie między nimi rozwijało... - Głos pani Kaleckiej zadrżał niepokojąco. -Okropnie się o nią bałam. Ona jest... była zbyt odważna. Bałam się, ale widziałam, jaka jest szczęśliwa. Wybierali razem ten samochód i... i... -Nastąpiło to, czego się porucznik od początku obawiał. Pani Kalecka rozszłochała się niepowstrzymanie. -I niech pan pamięta, panie poruczniku! Powiem panu tylko jedną rzecz, ale ważną! To zrobiła kobieta. Zabiła ją kobieta! Ja wiem, że pan mi nie chciał tego powiedzieć, ale ja od początku domyślałam się, że ją zamordowano. Że to nie była naturalna śmierć! Ja... ja bardzo chciałabym panu pomóc, ale cóż ja mogę! Mogę panu powiedzieć wszystko, co o niej wiem.. To mało...

- To bardzo dużo. Jestem pani niezmiernie wdzięczny za pani dzielną postawę i pomoc w śledztwie. - Porucznik podniósł się z krzesła. - Nie będę pani dłużej męczyć. Poproszę panią jutro o podpisanie protokołu. A jeśli przypomni się pani coś, co uzna pani za ważne...

- Tylko to jedno: na nią nie podniósłby ręki żaden mężczyzna. To zrobiła kobieta. Niech pan sobie zapamięta!

* * *

Ben co prawda nie znalazł tego, czego szukał, ale nie był pewien, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy martwić.

I czy to w ogóle miałyby znaczenie, gdyby koło garażu Malwiny Kaleckiej znalazł mały futrzany pompon? Taki pompon, służący za guzik przy futerku, zgubiła wczoraj jego żona. Między godziną 20¹⁵, o której Benedykt Płocki wyruszył wczoraj na brydża, a godziną 9 rano, o której wstał i, biorąc z wieszaka kożuch, zauważył, że jednego pomponu przy futerku żony nie ma. Wieczorem wychodząc na brydża widział

wszystkie pompony na miejscu. W nocy, kiedy wrócił, nie zapalał światła, ale to nie miało znaczenia. Ważny był ten okres, te kilka godzin, podczas których

Bena nie było w domu. Dora rzekomo nigdzie nie wychodziła. Nigdzie. Ale pompon zginął. Ben przeszukał cały przedpokój, sprawdził, czy nie był zamiatany, czy pies nie powłókł tego pomponu gdzieś na swoje posłanie. Pod pozorem sprzątanía obejrzał wszystkie kąty w domu. Po czym z drżeniem serca wyruszył na poszukiwanie w pobliżu miejsca zbrodni.

Nie znalazł tam nic, ale to wcale nie znaczyło, że Dora ma być wolna od podejrzeń. Znaczyło to wyłącznie tyle, że podejrzenia się na razie nie potwierdziły.

* * *

- No, co jest - w głosie Filizana brzmiała wyraźna pretensja - dlaczego ona nie przysyła?

- Kto? Komu? Aha! - Magda zapomniała całkiem o wierszowej aferze. - Już ci nic nie będzie przysyłać.

- Nie? - zmartwił się Filizan. - Jak ja się przyzwyczałem, jak nie mogę zjeść spokojnie śniadania bez codziennej porcji poezji, to ona teraz przestaje. A ostatnio już jej się udało parę ciekawych figur. Taka z kamieniem. ..A z końmi było coś bardzo śmiesznego. Ale to chyba był erotyk... Można wiedzieć, dlaczego ona przestała mi przysyłać? To twoja robota!

- Milicja zdaje się też tak uważa.

- Milicja? Co tu ma do rzeczy milicja? Czyżby ona i tam rozsyłała swoje wiersze? A może rozrzuca w formie ulotek?

- Gorzej - ona umarła. Znaczy...

- Umarła? Co ty powiesz! Ot, tak sobie nagle wzięła i umarła, żeby mnie zrobić na złość! Wiesz co, takie dowcipy to się robi przez telefon, jak ktoś raz po raz dzwoni przez pomyłkę do ciebie i prosi kierownika Kaparka, to ty w końcu dla świętego spokoju odpowiadasz, że Kaparek umarł i właśnie wróciłaś z pogrzebu. To jest racjonalne, ale takie coś ni z tego, ni z owego...

- Chóć też przez telefon - zdołała wtrącić Magda, ale Filizan był

nieubłagany.

- Twoje dowcipy robią się coraz bardziej niewybredne. Kończę z tobą konwersację na zawsze! - I -odłożył słuchawkę.

- Mieliśmy mu wysłać te wiersze do skutku... - zauważył mimochodem Michał.

- Owszem, no i co z tego... O, Boże... - Magdzie łyżka wypadła z ręki.

- Jak dla mnie to skutek już mamy...

- Misiek, nie, daj spokój! Władek nie odróżnia świecy samochodowej od nagrobkowej i nic nie wie o spalinach i o tym, że ssanie trzeba wyciągnąć i takie tam różne! On jest analfabeta samochodowy.

- Ssanie ona sama mogła wyciągnąć, skoro miała zamiar gdzieś jechać.

- Nie, Misiek, przestań! To niemożliwe! Ja mam za dużo tych podejrzanych.

- Za to oni mają tylko jedną - ciebie. Ta baba z dołu trąbi na całą kamienicę, że cię widziała wychodzącą z garażu. Myślisz, że się tym odkryciem nie podzieliła z milicją?

- Nawet gdybym stamtąd wychodziła, toby też jeszcze nie było dowodem, bo kryminały aż się roją od takich sytuacji. W co drugim jest jakaś osoba, która weszła, zobaczyła trupa i żeby nie być podejrzaną, uciekła.

- Więc ty weszłaś, zobaczyłaś trupa i uciekłaś?

- Pocałuj mnie gdzieś! O, Filiżan dzwoni! Założysz się?

Istotnie był to Filiżan. Głos miał poważny.

- Wiecie co? To przekracza nie tylko granice dobrego smaku, bo dobry smak jest ostatnią rzeczą, o jaką mógłbym was posądzać, ale granice zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości. Dawać nekrolog, żeby uspić moją czujność, a potem... Nie wiem, co wymyśliliście na potem, ale jeśli wam się zdaje, że dzisiejsze „Słowo” mnie przekona, to się

mylicie. A ten dowcip uważam za niegodny, bo dowcipy ze śmierci to rodzaj nekrofilii, która mnie mierzi w ogóle, a szczególnie w waszym wykonaniu. Myślę, że dostatecznie jasno wyłożyłem, dlaczego jest to moja ostatnia z wami rozmowa. Proszę więc przyjąć do wiadomości, że ja państwa

nie znam, nigdy nie znałem i jeśli kiedyś przypadkiem pozwoliłem do siebie mówić „Władziu”, było to wyłącznie skutkiem nadużywania przeze mnie napojów wysokowych. Obecnie zrywam z tym zgubnym nałogiem i z wami. Gdybyśmy się kiedyś niechący spotkali, proszę do mnie mówić „obywatelu”. A swoją drogą, jakie szalone pole do nadużyć stwarza fakt, że nikt przy zamieszczaniu nekrologu nie żąda okazania nieboszczyka...

Magda Baj orkowa znalazła w skrzynce wezwanie do komendy. To było rano. A około południa została wezwana do naczelnego, który wzywał tylko w wyjątkowych wypadkach. Normalnie otwierał drzwi gabinetu i wyrzaskiwał swoje polecenia głosem miejskiego herolda. Dzisiejsza rozmowa odbywała się przy drzwiach szczelnie zamkniętych i nie nastrajała optymistycznie.

- Milicja o panią wypytywała - powiedział naczelny. - Co pani narozrabiała? Okradła pani kogo? A może, nie daj Boże, polityka?

- Nie, tylko morderstwo.

- Zwyczajne? Rabunkowe? - upewnił się nieco uspokojony zwierzchnik. - Beż ideologicznego podłoża?

- Absolutnie! - Opowiedziała sensacyjną historię trupa w garażu, naczelny delektował się szczegółikami, wypytywał o kolor samochodu, ubranie denatki, a z faktu, że była starannie umalowana, wysnuł całkiem logiczny wniosek:

- Wracała do domu albo wybierała się gdzieś. Na spotkanie. Bo nawet największa kokietka - zauważył słusznie - wychodząc około północy z domu, żeby tylko wprowadzić wóz do garażu, nie będzie poprawiać makijażu.

- To pan nie znał Malwiny - powiedziała Magda, ale bez przekonania. - Chyba tak było, jak pan mówi, albo Kalecka z jakichś powodów była jeszcze pod bronią, albo wcale nie było tak późno... Właściwie kto to powiedział, że zbrodni dokonano około północy? Chyba ta baba, co panu mówiłam. Ta od garażu. Za jej prawdomówność grosza złamanego bym nie dała, skoro ona usiłuje kogoś z nas obciążyć. Aha, panie

dyrektorze, w razie gdyby mnie wsadzili, to terminy konferencji i innych sympozjów mam wpisane do kalendarza na biurku razem z nazwiskami ludzi, którzy by to mogli za mnie obsłużyć. Zresztą myślę, że oni pozwolą mi zadzwonić z aresztu w sprawach służbowych, no nie?

Jednakże naczelny powiedział, że raczej nie, i zaklinał na wszystko, żeby Magda nie dała się zamknąć, bo personel jest zdziiesiątkowany przez wirusa oraz przedświąteczne porządki. Magda obiecała czujność, ale było jej coraz markotniej. Poczucie zagrożenia zwiększyło się, kiedy zobaczyła przy kiosku „Ruchu”, naprzeciwko swego domu, wąsatego milicjanta w obszarganym kozuszk. Był to ten sam głodny, łakomy i bezdenny, który odwiedził ją rano w dniu morderstwa Malwiny i zżarł śniadanie dla plus minus pięciu osób.

Magda postanowiła zacząć własne śledztwo, toteż spotkanie to było jej na rękę. Zdążyła poznać jedną z jego słabych stron i budowała na niej pewne nadzieje. Wąsaty stał zgięty wpół, z łbem wsadzonym w okienko kiosku. Usiłował zapewne uwieść kioskarkę i wydostać od niej mnóstwo cennych wiadomości. Magda postanowiła tedy wydostać je w następnej kolejności od niego. Nie bawiąc się we wstępy stanęła obok i zagaiła:

- Zrobiłabym na obiad babkę kartoflaną ze słoninką, gdyby mi kto kartofle chciał utrzcć.

- A pani to umie? - Wąsaty nie bez pewnego trudu wywlókł łeb z małego okienka. Odzyskał właściwą sobie długość i spojrział na nią prawdziwie zainteresowany.

- Panie - odparła wyniośle Magda Bajorek - moja rodzina pochodzi ze wsi, z kresów wschodnich. Tam nikt by się nie ośmielił pytać dorosłą kobietę, czy umie upiec babkę kartoflaną, nie wiem nawet, czy znalazłby się brutal, który spytałby o to nieletnią dziewczynkę, ponieważ takie umiejętności dziedziczy już w momencie urodzenia każde niemowlę płci żeńskiej.

- Znaczy - sierżant odsunął się od okienka - pani chce ze mnie za pomocą babki kartoflanej wyciągnąć parę tajemnic śledztwa?

- Nie da się ukryć - Magda z rezygnacją pokiwała głową - że mam taki zamiar, ale mimo to mógłby pan zaryzykować. Może by się to nawet w -sumie opłaciło? Przecież przy tarcie kartofli, w takiej intymnej atmosferze, pan też ma szansę dowiedzieć się ode mnie więcej niż podczas oficjalnego przesłuchania. Może nawet uda się panu wyciągnąć ze mnie przyznanie się do winy.

- Znaczący, pani przesłucha nieoficjalnie mnie, ja panią i korzyść będzie obustronna.

- Nie licząc babki, która pozostanie, nawet jeśli nam się przesłuchania nie uda.

Sierżant nie należał do ludzi, którzy zastanawiają się długo, kiedy mają szansę zrobić coś zupełnie innego, niż powinni. Toteż nie spojrział nawet na zegarek, który mógł mu zepsuć całą przyjemność. Wziął z rąk Magdy ciężką torbę i spytał rzeczowo:

- Kartofle są?

* * *

Sierżant Fidybus, zdrowo podpity, chwiejnym krokiem udał się w stronę domu, do dzielnicy, która dziewiętnastowiecznym mieszkańcom Wrocławia służyła za lotnisko. Fakt, że obecnie dojeżdżało się tam za pomocą miejskiej komunikacji, w niczym sierżantowi sytuacji nie ułatwiał.

Po pierwsze, o tej porze MPK miało już fajrant, a po drugie, spity, ale świadomy swego stanu funkcjonariusz postanowił unikać jak ognia wszelkich miejsc oświetlonych, gdzie jego rzucająca się w oczy gęba, zdobna w niezwyklej długości wąsy, mogła zwrócić uwagę jakiegoś kolegi po fachu. Sierżant Fidybus wiedział, że jego wygląd nie usposabia dobrze ani statecznych mieszczan, ani obrońców prawa i porządku. Dodawszy do wyglądu zygzakowaty chód i maślane oczka sierżant mógł być pewien, że zatrzyma go i wylegitymuje każdy, kto będzie miał po temu sposobność. A wtedy co? Tłumaczyć, że to wszystko dla dobra śledztwa? A czy skołowaciale język dałby sobie radę z takimi skomplikowanymi słowami?

- Dla dobra śledztwa - powiedział głośno i wyraźnie, a młoda para, wędrująca w czułym objęciu, przyspieszyła kroku niespokojnie.

Sierżanta Fidybusa zarzuciło pod mur, więc oparł się o niego, nabrał sił, odbił się i w swoim mniemaniu prosto jak strzała poszedł w ogród Nowowiejski. Brnął przez śnieżne zasy i usiłował sobie uporządkować wszystko, czego dowiedział się od Benedykta Płockiego pojonego systematycznie mieszaniną egri bikawer na przemian z angielską gorzką. Ben już po kilku kolejkach otworzył przed nim serce, ale nie zamierzał na tym poprzestać. Pili do oporu. Sierżant markował nieco, ale pilnowany przez Bena, musiał swoje kolejki wychylać. Najpierw opuszczał co drugą, potem co trzecią, a potem zrobiło mu się rzewnie i czule. Wiedział już wszystko, czego chciał się dowiedzieć, więc plunął na ostrożność i pili łąb w łąb aż do chwili, kiedy Benedykt Płocki runął głową w buraczki i zasnął, a sierżant zapomniał, jak się znalazł w tej dzielnicy, ale nie zapomniał po co.

Z trudem dobudził się towarzysza, ustawił pionowo naprzeciw drzwi wejściowych, popchnął i wyleciał razem z nim na ulicę. Po uprzednim uiszczeniu, rzecz jasna, rachunku, który był umiarkowanie wysoki, więc jak widać w „Mołdawiance” doliczono gościom wyłącznie ich własne daty urodzenia nie tykając rodziny i krewnych. Następnie uzgodniwszy, na jakiej ulicy Ben mieszka, chociaż podawał ich kilka, sierżant doprowadził go do skrzyżowania, po czym stanął na środku jezdni regulując ruch. Kiedy przekonał się naocznie, że Benedykt poszedł we właściwym kierunku, ruszył, zwolniony od służbowych obowiązków, w stronę swojej dzielnicy. Ale nie doszedł. Ponieważ stwierdził z przerażeniem, że cały wieczór pracy poszedł na marne. Siadł z wrażenia na kamiennej ławeczce, ale nawet dojmujący chłód, przenikający przez portki do wrażliwej części ciała, nie wpłynął na pracę głowy. Sierżant mc nie pamiętał. Wiedział, że Benedykt mówił mu, kto zabił Kalecką, że była to czyjaś żona, która robiła na obiad pierożki i zgubiła pompon od

futra albo futro z pomponem. Nie, bzdura. Futra tak łatwo się nie gubi. A więc pompon! Kto zgubił pompon? I kto miał na obiad pierożki w ciągu ostatnich czterech dni? Tego sierżant musiał się teraz dowiedzieć bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Gdyby udało mu się wstać z tej ławki, być może, zadanie okazałoby się Wykonalne. Na razie jednak ze wstaniem miał trudności. Prawdopodobnie przymarzył. Zastanawiał się, czy uda mu się doczekać wiosny. Zaczął liczyć miesiące. Ale ciągle wychodziło mu za dużo.

Kiedy wreszcie zdołał wstać, okazało się, że stanie, a także chodzenie, nie sprawia mu takiej satysfakcji, jakiej się spodziewał. Uznał, że w tym wieku ćwiczenia fizyczne przestały być jego mocną stroną i że najlepsze wyniki osiągał ostatnio przesiadując na miejscu zbrodni i oddając się tam medytacjom w samotności. Postanowił dostać się za wszelką cenę do garażu numer 2 w domu, którego numeru nie pamiętał, ale wiedział, że jest gdzieś blisko i że robią tam świetną babkę kartoflaną ze skwarkami.

Okazało się bliżej, niż przypuszczał. Na podwórze wychodziło się wprost z Nowowiejskiego parku. Co prawda w mózgu sierżanta kołatała uparta, acz odpychana na bok myśl, że do garażu nie będzie mógł wejść, jako że nie dalej jak przedwczoraj sam własną ręką nalepiał tam na drzwi pieczęcie, ale ponieważ bardzo chciał wejść, więc wytłumaczył wszystko tak, żeby pasowało.

- Jak nalepiłem, to i odlepię, no nie? - spytał sam siebie. - A potem znów nalepię, jak zechcę!

Sierżant najpierw zobaczył znajomy śmietnik z kolorowym daszkiem. Zobaczył go znienacka, więc chciał się głośno zdziwić, że to już i że tak blisko, kiedy przez dziury w ścianie śmietnika zobaczył przy garażu jakiś cień. Otrzeźwiał prawie dokładnie i kicnął za wielki pojemnik do śmieci. Koło garażu działy się dziwne rzeczy, choć sierżant wiele w życiu widział i zadziwić go nie było łatwo. Szczególnie kiedy był pijany. Tracił wówczas równowagę ciała, ale zyskiwał idealną równowagę ducha, z której niełatwo dawał się wyprowadzić. Tym razem omal szyi nie wykręcił, żeby zobaczyć, co się dzieje pod gara-

żem. Stała tam oparta o drzwi pokojowa drabina, na niej turystyczny kocher, palący się małym, dyskretnym płomyczkiem, zaś na kocherze pyrkotał czajnik z wodą. Sierżant objął wzrokiem scenerię dość niezwykłą dla pospolitej skądinąd czynności, jaką jest gotowanie wody, skojarzył sobie prawidłowo, że ktoś gotuje wodę w zimową noc na drabinie, na podwórzu, i że chyba raczej jemu, Fidybusowi, zwiduje się, że ktoś to robi. Po takim zwidzie można zwątpić już we wszystko. W świadectwo zmysłów przede wszystkim.

Ponieważ sierżant zdawał sobie sprawę z tego, co robił przez ostatnie parę godzin w restauracji „Mołdawianka”, więc zdumiał się boleśnie, że grzesznym trybem życia doprowadził własny organizm do delirium, choć zdawało mu się, że pił zawsze z umiarem i rozważnie, a takie bachanalie, jak dziś z Benedyktem, należały do rzadkości.

Ale widocznie mało był odporny albo też przepracowany, że taki seans gastronomiczny doprowadził go do ruiny moralnej i psychicznej. Spojrzał pod nogi, żeby nie rozdeptywać białych myszek, ale ich tam nie zobaczył. Trochę go to podtrzymało na duchu, więc nie wytrzymał i spojrzał raz jeszcze w stronę garażu. Niestety! Mały ogieniek palił się niebiesko, para z czajniczka kłębami unosiła się w górę. Po obu stronach drabiny dwie nieruchome ludzkie postacie, oparte swobodnie o drzwi garażu, paliły papierosy. Sierżant zakrył oczy rękami i z krzykiem przerażenia, nie bacząc na myszki, rzucił się do ucieczki.

Nie widział, jak runęła drabina, upadł w śnieg kocher i czajnik, a dwie postacie rzuciły się do niemniej panicznej ucieczki. Tylko że w przeciwnym kierunku.

* * *

- No i czegoście się dowiedzieli o tej Malwinie Kaleckiej? Nie było was pod telefonem jeszcze nawet o godzinie jedenastej wieczorem, nie mówiąc już o wcześniejszych porach dnia i nocy, więc sędzę, że nie zmarnowaliście czasu, sierżancie Fidybus.

- Ja tam - mruknął bez należytego szacunku skacowany

sierżant - mam godziny pracy od siódmej do piętnastej, a nie w nocy, proszę obywatela porucznika, ale harowałem jak wół, to prawda. Wie porucznik, o której do domu wróciłem? Szkoda mówić.

- No to wykładajcie karty na stół - zniecierpliwił się porucznik.

- Ja tam nie mam zwyczaju pchać się pierwszy. Proszę uprzejmie, po starszeństwie szarży! Niech porucznik zaczyna!

Karbolek spojrział podejrzliwie na podwładnego. Od tego, żeby go posądzać o uprzejmość, porucznik był naprawdę daleki.

- Nie tylko przesłuchałem dziś obywatelkę Kalecką, matkę zamordowanej - zaczął jednak, nie przedłużając targów o pierwszeństwo - co nie było, zaręczam wam, przyjemne. Nie tylko przejrzałem protokoły obdukcji zwłok, miejsca zbrodni i całą tę masę papierów, która nie tylko do mnie należy, ale również złożyłem wizytę w telewizji, chociaż tam to wy byście się lepiej nadawali ze swoimi wąsami z operetki. Tam pełno takich wąsów chodziło po korytarzach. Nie moglibyście tego przyciąć do jakiejś przyzwoitej długości? Albo w ogóle zgolić?

- Czy jest punkt w regulaminie, który nie zezwala funkcjonariuszowi nosić wąsów?

- Nie, oczywiście, że nie, ale...

- A może jest punkt określający precyzyjnie dozwoloną długość?

- Mieliliśmy pisać raport, a nie dyskutować o wąsach - uciał porucznik Karbolek dyskusję, która groziła długim monologiem sierżanta. A monologować Fidybus potrafił na każdy temat i bez końca. - No więc czego ja się dowiedziałem o obywatelce Kaleckiej... - Porucznik zajrzał do notatek. - Wszyscy mówili o niej pozytywnie. Bezpośredni zwierzchnik, kierownik tej małej komórki, w której pracowała, określił ją jako osobę miłą, koleżeńską, nie posiadającą żadnych wrogów, nie biorącą udziału w intrygach. Kolega z tego samego pokoju wyrażał się podobnie. Sekretarka mówiła o niej z prawdziwą sympatią. W sumie można powiedzieć, że

była to osoba przystojna, samodzielna, mająca duże powodzenie u mężczyzn i tu, sędzę, należy szukać klucza tej zagadki. Małżeństwo redaktor Kaleckiej było nieszczęśliwe. Odeszła od męża, zdobyła się na samodzielność, bez środków do życia, nie ucząc na kochanka obarczonego rodziną. Wszystko, co ma teraz, zdobyła własną pracą,- choć rozpieszczona przez bogactwo męża była typową luksusową kobietą, która o pracy nie miała pojęcia. Mimo tego, mimo szykan byłego męża, straszenia, nachodzenia, gróźb i...

- Czym on jej groził? - spytał sierżant, któremu coś tu się wydało nielogiczne.

- Tego moja rozmówczyni dokładnie nie umiała sprecyzować, ale z tego, co mówiła Kalecka, wynikało, że mąż, zdając sobie sprawę, że była żona zna wiele jego tajemnic finansowych i może ich użyć dla szantażowania go, wyciągania z niego pieniędzy, starał się uprzedzić fakty i zastraszyć ją do tego stopnia, żeby nie była zdolna do walki

o prawa do swojej części wspólnoty majątkowej. Moja rozmówczyni wyraziła jednak opinię, że Kalecka była zbyt dumna, żeby żądać czegokolwiek od takiego brutala.

Porucznik w tym momencie przypomniał sobie, z jakim ogniem w błękitnych oczach mówiła te słowa jasnowłosa sekretarka, panna Basia, i na chwilę zamilkł rozmarzony. - Jednym słowem - podjął znowu - została sama i czekała na rozwód kochanka. Snuli razem plany, zamierzali dwoje dzieci Wiślickiego podzielić po rozwodzie na dwa domy. Kalecka była bardzo przywiązana do jego córki Bogusi i nawzajem. Mała ją po prostu uwielbiała i koniecznie chciała się przeprowadzić do nowego domu i nowej mamy.

- Hm... - mruknął sceptycznie sierżant, który dość dobrze znał dzieci, bo nie miał własnych, przeto różne cudze obdarzały go nieograniczonym zaufaniem.

- Tak, tak, mnie się też wydaje ten entuzjizm nieco podejrzany, ale fakty sprawdzimy później. Jest tu jeszcze kilka niejasności. Na razie jednak opowiadam wam tylko, czego się dowiedziałem od przesłuchiwanym. Na komentarze będzie czas. Na czym stanęliśmy? Aha, że Wiślicki czekał na

rozwód, ale żona się nie godziła, utrudniała, buntowała dzieci przeciw ojcu. Sytuacja stawała się nie do zniesienia i Kalecka postanowiła nie dopuścić do dalszych dramatycznych scen. Zresztą w owym czasie chyba już ten, Palczyk się nawinął. Nie, dopiero jak rozbiła pożyczony jej na parę dni przez Wiślickiego samochód. Była podobno świetnym kierowcą. Biła w tej dziedzinie mężczyzn i to takich, którzy niejednym wóz mieli za sobą. Jeździła o wiele lepiej od męża i kochanka, którzy nie ukrywali swojej zawiści i podrażnionej ambicji. Wynikały na tym tle scysje, a także robili jej głupie sztubackie kawały w rodzaju dolewania wody do benzyny itd... Muszę się dowiedzieć - zaznaczył porucznik w notatniku - w jakich to było okolicznościach, kto, kiedy. Hm, widzę, że będę musiał spotkać się z panną Basią jeszcze raz...

- No tak - jęknął sierżant - znaczy głównym informatorem obywatela porucznika będzie przez najbliższe tygodnie panna Basia! Blondynka? Oczy niebieskie? Buzia jak jabłuszko? Rumiana?

- Skąd wy ją znacie? - spytał zdumiony porucznik.

- Ja nie znam jej, tylko znam gust obywatela porucznika. I zdaję sobie sprawę, czym to grozi.

- Wy zdajcie sobie sprawę, sierżancie, że moje doznania prywatne, nawet zakładając, że mi się istotnie panna Basia podoba, nie mają dla śledztwa żadnego...

- Nie, nie! Nie mają żadnego znaczenia ani wpływu, ani nic! Jednym słowem, dowiedział się porucznik, że zamordowano uroczą koleżankę, nadzwyczajną kobietę, przedmiot marzeń wielu mężczyzn, którzy jakkolwiek jej pragnęli, to jednak nie byli dla niej mili, prawda?

- No... tak. by to w relacji panny Basi wyglądało. Sprawdzimy, oczywiście...

- Nie wiem, czy warto cokolwiek sprawdzać. Wygląda na to, że my dwaj prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch zupełnie różnych osób. Bo moja Malwina to była podstarzała paniusia, której się wydawało, że ciągle ma dwadzieścia lat. Dobrze wywianowana przez męża, który natychmiast założył sobie

nową rodzinę, więc nie wiadomo, czy to nie on był motorem rozvodu. Aha, kochaś Wiślicki nie miał zamiaru się rozwodzić - na placówkach za granicą to jest źle widziane. Widział porucznik mieszkancko denatki? Jest wycenione na ponad pół miliona. Nie licząc złota, paru książeczek oszczędnościowych z okazałym wkładem, pewnie po mężu, tudzież konto dolarowe na nazwisko jej kuzynki, osoby zaufanej, opiewające na siedem tysięcy dolarów z małymi groszami. Sprawdziłem. Garaż z ciepłą wodą, kanałem itp. wart około 150 tysięcy. Jedne kolczyki, które wydawały mi się podejrzane ze względu na wielkość brylantów, dałem do rzeczoznawcy. To są brylanty, choć tandetnie opracione. Niemniej warte ponad 300 patoli. Co jeszcze? Aha, u mamy emerytki świetnie prosperująca hodowla miniaturowych pudelków białych i srebrnych. 10,12 tysięcy jeden taki gnojek.

- Nie! - jęknął porucznik. - Przecież to wszystko zmienia postać rzeczy! Przecież to mogło być morderstwo rabunkowe! Skąd wy takie rewelacje przynosicie?

- Każdy ma taką pannę Basię, na jaką zasłużył - odparł sierżant filozoficznie, acz nie bez złośliwości. - Aha, a co do tego, że była wspaiałym kierowcą, to moja Kalecka akurat odwrotnie - była postrachem szos. Jeździła nie przestrzegając przepisów, pewna, że jest taka czarująca, że zawsze jakoś to będzie, a milicjanci czepiają się jej, ponieważ wiedzą, że inaczej nie są w stanie zwrócić na siebie jej uwagi. Na przestrzeni ostatniego roku czepiali się jej dwanaście razy, co jak na tych leniwych baranów z drogówki jest chyba rekordem krajowym.

- Po cholere - wrzasnął wyprowadzony z równowagi potokiem mowy sierżant zwierzchnik - wy tracicie czas i sprawdzacie jakieś nieistotne szczegóły! Co nas to obchodzi, czy ona była, czy nie była dobrym kierowcą? Przecież sama siebie nie przejechała!

- A panna Basia nie mówiła porucznikowi, że Kalecka była również doskonałym mechanikiem i miała „wycucie do samochodów”?

- Nie, nie mówiła.

- Pewnie zapomniała. A to istotny szczegół. Jak ktoś sobie wyobrazi, że jest genialny pirotechnik na przykład. i zacznie grzebać w bombie zegarowej nie mając o tym pojęcia...

- Rozumiem - odparł szybko porucznik - nie zbadaliśmy dokładnie tego pojazdu. Błąd! Ciągłe jeszcze zdarzają mi się podstawowe błędy - poskarżył się szczerze, ponieważ był w gruncie rzeczy chłopcem uczciwym i skromnym. - Ale za to mam na koniec rodzynek do tego ciasta. Otóż Kalecką odwiedzał ostatnio w pracy przystojny, wysoki brunet w białym kożusku. Rzekomo odwiedzał ją w celach służbowych. Ale koledzy Kaleckiej twierdzą, że to bez sensu. Kalecka miała ten rodzaj pracy, że interesanci z zewnątrz raczej jej nie odwiedzali. Jej kontakty ograniczały się praktycznie do najbliższych kilku osób oraz dyżurnych danego dnia. Tak mi to tłumaczyli ci dwaj starsi uprzejmi panowie. Tymczasem na dwa mniej więcej tygodnie przed śmiercią Kalecką zaczął odwiedzać ów brunet o wyglądzie pierwszego amanta. Kalecka zamykała się z nim na długie godziny w pokoju dla interesantów, oprowadzała go również po gmachu TV, objaśniała, pokazywała urządzenia. Nagabywana, uśmiechała się tajemniczo, nie wyjaśniając, kim jest ów przystojny młodzieniec, i nawet panna Basia nie wiedziała... Hm, no więc oprócz zbadania pojazdu musimy znaleźć bruneta. Przychodził prawie co dzień, przestał przychodzić na dwa, trzy dni przed śmiercią Kaleckiej. Prawdopodobnie był to ktoś, z kim denatka nie mogła lub nie chciała z jakichś względów spotykać się w domu. Jego rysopis: wzrost ok. 185 cm, czarne wąsy i broda, a właściwie mała hiszpańska bródka, brwi zrosnięte, oczy...

- Niech porucznik się nie męczy-powiedział flegmatycznie sierżant Fidybus. - Ja już mam tego bruneta. Właśnie nad nim pracowałem dziś i wczoraj do późnego wieczora. Są wyniki. - Spojrzał na żalostną minę porucznika i odwrócił oczy. Wszystko mu się w głowie rozjaśniło. Może dlatego, że przestał się obawiać, iż wyda się jego nocne pijańs-

two, a na dodatek okaże się, że do niczego nie było przydatne. Wiedział już, czyja żona robiła pierożki i jakie to miało znaczenie dla śledztwa. Odzyskał także pamięć o tym, co działo się między wyjściem od Bajorków a spotkaniem Benedykta. Jednakże sprawę czajnika na drabinie postanowił przemilczeć.

* * *

Kamil i Jerzy, przesłuchani przez porucznika w oddzielnych pomieszczeniach, spotkali się dopiero na śniadaniu w bufecie.

- I co ty na to? - zagaił Kamil wachając podejrzliwie sałatkę śledziową.

- Że tego nie należy jeść w naszym wieku, choćby to było najlepsze i najświeższe, zrobione przez mamę albo żonę tradycyjnego chowu.

- Przecież wiesz, że nie o to pytam.

- Wiem, ale ciągle jeszcze nie mogę wyjść z podziwu.

- Że ktoś wreszcie zrobił to, co ty wiele razy...

- Ty też! Dajmy temu spokój. Kto grzeszy myślą, to tak jakby nie grzeszył wcale. Jak zeznawałeś?

- Wstrzemięźliwie.

- A ja zgodnie z prawdą.

- O, to ryzykowne.

- Skądże! Przecież naprawdę ją lubilem. A poza tym nie znałem jej bliżej. Nie bywałem u niej, jak na przykład ty...

- Och, raz tylko. Bardzo mnie prosiła. Wiesz, myślałem, że przynajmniej umie gotować, ale tp, co nam podała wtedy... Nie, nie mówi się nic brzydkiego o umarłych. To bardzo ładnie wyglądało na stole. Opinię oczywiście wystawiłeś jej pozytywną?

- Jak najbardziej. Żawsze to robię. W każdej okoliczności. Niechcący również wspomniałem o tym czarnobrodym młodzieńcu. Bardzo się ucieszył ten porucznik.

- Widocznie czegoś takiego oczekiwał.

- A ja skierowałem go do Basi. Jako najlepiej poinformowanej.

- Wyszła po godzinie. Miała czerwone oczy.
- Znaczący, że obaj zachowaliśmy się jak lojalni obywatele, le, gotowi zawsze pomóc władzy.
- A czyż tak nie jest?
- Gotów byłbym posunąć się dalej.
- W jakim kierunku?
- Lojalności.
- Ja z tobą.
- Na to liczę. Co powiesz na pomysł, żebyśmy sami, na własną rękę, poszukali tego bruneta?
- Sądzisz, że to on?
- Ja nie sądzę. Ja tylko podejrzewam. To był jedyny facet żywy, jakiego ja widziałem w podrygach koło niej. Tamci nigdy się nie ujawnili, choć było ich wielu. Stawiam na żywego. Szczególnie że ja go widziałem u niej w domu. Był dosyć zadomowiony...
- Wiedział, gdzie stoi kawa?
- Mało tego! Wiedział, że w oparciu fotela jest schowek na alkohole...

Stefan Janicz, jego dom, młoda żona i dwoje małych dzieci zrobili na poruczniku nadspodziewanie miłe wrażenie. Kilkuletni chłopczyk wdrapał mu się natychmiast na kolana, młodsza dziewczuszka, wczepiona w kudły dużego pudła, przysiadła obok na dywanie. Zanim weszła matka i zabrała całe towarzystwo, porucznik Karbolek czuł się jak na prywatnej wizycie, częstowany koniakiem, dobrymi papierosami. Janicz sprawiał wrażenie człowieka serdecznego, szczerego, który z całą pewnością nie ma nic na sumieniu. Od początku wiedział, z kim ma do czynienia, gdyż porucznik postanowił swoje aktorskie zdolności wyzyskać przy innej okazji. Od razu w drzwiach podsunął gosposi pod nos legitymację, a Janiczowi powiedział z miejsca, że przychodzi w sprawie jego byłej żony, co nie wzbudziło zachwytu Janicza ani też, co wydało się Karbol-kowi znamienne, wielkiego zdziwienia.

- Milicja? Co ona jeszcze wymyśli? - jęknął Janicz. - Ta kobieta chce mnie zniszczyć, ale nic nie osiągnie. Ja jestem w porządku. Wobec prawa i wobec niej. Nie wiem, z czym pan przyszedł, i nawet, jak pan widzi, nie próbuję się dowiedzieć. Wiem, że jestem w porządku i to mi wystarcza. Mogę tylko żałować, że nie postąpiłem tak, jak na to zasługiwała.

- To znaczy jak?

- Byłem dla niej za dobry. Po prostu byłem za dobry. Zostawiłem jej wszystko to, co przez lata małżeństwa kupowałem. Z myślą o niej. I nie tylko to. Złoto, biżuterię, futra, kiecki, całe urządzenie mieszkania, telewizor, radio, płyty z adapterem. Wszystko zagraniczne! Mieszkanie warte dziś ponad pół miliona. Sam się tułałem po rozwodzie byle gdzie, spałem w warsztacie, ale z nią postąpiłem po dżentelmeńsku. Zabrałem tylko samochód, bo to jest moje narzędzie pracy. Ale jak widać, za pieniądze, które jej po mnie zostały, szybko kupiła drugi. Więc o co może jeszcze mieć do mnie pretensję?

- A jak pan sądzi? O co mogłaby mieć pretensję?

- Ja nie jestem od sądenia, panie poruczniku. Pan do mnie przyszedł, pan ma do mnie sprawę, więc proszę bardzo, słucham. Nie mam nic do ukrywania, jestem skłonny z całą szczerością panu na wszystko odpowiedzieć. Ja, w przeciwieństwie do mojej byłej żony, nie mam skłonności do intryg, fantazji, do szczucia ludzi przeciw sobie. Ja pragnąłem tylko spokoju i osiągnąłem go. Zbudowałem swoje zwyczajne rodzinne życie i jestem z niego zadowolony. A ona, choć taka mądra i niezwykła, dotąd podobno jakoś sobie nie potrafi...

- Czy żona pana szantażowała?

- Nie. - Janicz wydawał się nieco zdziwiony tym pytaniem. - Nie miała czym, gdyby nawet chciała. Moje interesy są naprawdę w idealnym porządku. Może zbyt wiele nie zarabiam jak na „prywaciarza”, ale za to jestem czysty - powtarzał to do znudzenia i porucznik pomyślał, że Janicz musiał się doskonale przygotować na wszystkie ewentualności. Kiedy zaczął te przygotowania?

- Czy państwo się widywali po rozwodzie?

- Dawno temu. Na samym początku. Ale większość spraw załatwialiśmy telefonicznie.
- Kiedy widział ją pan ostatni raz?
- Zupełnym przypadkiem parę dni temu.
- O czym mówiliście?
- W ogóle żeśmy z sobą nie rozmawiali. Ukłoniłem się, ona się odwróciła tyłem. No i tyle.
- Gdzie to było?
- Nie pamiętam, ale chyba koło garażu. O, garaż też jej zostawiłem. Wie pan, poruczniku, ile teraz taki garaż jest wart?
- Koło jakiego garażu? - spytał z pozornym spokojem Karbolek, ale nie mógł opanować uczucia podniecenia. Tak jakby stał na polowaniu i jakby dorodny byk wychodził na polanę tuż przed nim. Fakt, że w owym miejscu zbiega się tyle różnych nici, wydawał się porucznikowi dość dziwny. Nawet Janicz! Dwa lata po rozwodzie, sprawa dawno przekreślona i garaż! Ciągle ten garaż!
- Na Prusa?
- Tak... - W oczach Janicza pojawiła się czujność. - Widzę, że milicja zrobiła na mój temat solidny wywiad. - Uśmiechnął się, ale był to uśmiech sztywny, nienaturalny.
- Na temat pana albo pańskiej byłej żony... Czy ma pan klucz od tego garażu?
- Proszę - Janicz zdjął z kółeczka maleńki płaski klucz - może pan życzy sobie go wziąć? Byłoby to dla mnie najlepsze rozwiązanie. Nic już tam nie mam, a niech coś zginie, to będzie na mnie. Zresztą prawdopodobnie taka sytuacja zaistniała, skoro pana tu widzę. Co się stało? - spytał nagle ostro. - Okradłem moją żonę? Przecież ja w ogóle nie wszedłem do tego garażu. Jak ją przy nim zobaczyłem, to zawróciłem i nie wszedłem. Chciałem sprawdzić, czy nie została tam moja łyżka do opon, ale mniejsza o to, już kupiłem drugą. Nie wchodziłem tam, naprawdę.
- Wierzę panu - odparł porucznik Karbolek obracając w palcach klucz - wierzę, ale dziwi mnie jedno, że pan nie czytuje „Słowa”...

- Jakoś nie. Raczej „Wieczór”. Ale co to ma do rzeczy?
- Nic. A kluczyczek może pan wyrzucić. W garażu na Prusa jest inny zamek. Czyżby pan o tym nie wiedział?

- Szeffie, gliniarz do pana. - Stary mechanik Zaporowski wsunął głowę do kantorka oznajmiając niemiłą nowinę. - Tajny on jest co prawda, ale...

- Ale tobie się przedstawił, tak? - warknął szef, który miał dzisiaj zły dzień.

- E tam, ja glinę na kilometr wyczuję.

Młody człowiek w brązowym garniturku stał przy oknie. Kimkolwiek był, to przede wszystkim mógł być klientem, więc Rafał Palczyk, choć zdehumorowany i skacowany, zwrócił się do gościa w miarę uprzejmie:

- Słucham pana. Czym mogę Służyć?

Młody człowiek zaczął się rozwodzić nad niedomogami swego fiata, kłąć na porządki i na tłok w państwowych stacjach. Palczyk słuchał w milczeniu i utwierdzał się w przekonaniu, że klient prawdopodobnie nigdy za kierownicą fiata nie siedział i w ogóle blade ma pojęcie o samochodach.

- U mnie też tłok - przerwał - mogę pana zapisać dopiero na wtorek. Tylko konkretnie: co mam panu zrobić? Bo wygląda, że cały samochód wymienić.

- Szczerze mówiąc, to ja się za bardzo nie znam na samochodach, ale przysłała mnie tu pani Malwina Kalecka.

- Aha... przysłała pana! Wylazło szydło z worka... - Rafał Palczyk oparł się wielkimi łapskami na stole, pochylił łeb i wpatrzył się w porucznika przekrwionymi oczyma. Jego spojrzenie nic dobrego nie wróżyło. - Ona pana przysłała... - powtórzył groźnie. - A w jakim to celu, można wiedzieć?

- Mówiła, że pan jest... to znaczy ma świetnych mechaników i...

- Nie gładź pan! Nie o to chodzi! Czego ona znów ode mnie chce, ta pinda podstarzała? No, gadaj, baranie! - Trzasnęła pięścią w stół.

- Ależ, obywatelu... - zaskoczony gwałtownością porucznik zgubił się i przeszedł na język urzędowy - obywatel się

zapomina...

- Ja nie jestem dla ciebie żaden obywatel, łachudro jedna! Gadaj, o co chodzi, i zjeżdżaj! O forse na skrobankę czy o miłość? Zaporowski! Wylegitymuj obywatela. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia!

Porucznik w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa, w postaci zwalistego mechanika z kluczem w ręce, odzyskał kontenans i przejął inicjatywę.

- Chwileczkę! Oto moja legitymacja. Jestem z milicji i proszę pana o kwadrans rozmowy. Oczywiście, możemy mówić przy świadku. Mnie to nie przeszkadza. To będą pana osobiste sprawy, nie moje.

Szef niecierpliwym gestem ręki odprawił mechanika.

- A mówiłem, że glina - burknął Zaporowski wychodząc.

- Przepraszam pana porucznika. - Rafał Palczyk był teraz uprzejmy jak kapitalistyczny kelner. - Ale kiedy usłyszałem nazwisko tej... to myślałem, że pana na mnie nasłała.

- Dlaczego, z jakiego powodu miałyby to robić?

- Dlatego - Palczyk błysnął w porozumiewawczym uśmiechu złotym zębem - że mnie się na ogół zawsze udawało nawiąć przez lakiernię, jak ona podjeżdżała od frontu. Ale o co chodzi? Chyba to jeszcze nie grzech, że jedno chce, a drugie nie. Przecież nie zdarzyło się nic, czym mogłaby się interesować milicja.

- Widocznie się zdarzyło, skoro tu jestem - odparł lodowato porucznik i z przyjemnością stwierdził, że to enigmatyczne stwierdzenie zrobiło wrażenie na właścicielu warsztatu. Pozwolił sobie jeszcze raz trochę pomilczeć, a kiedy zobaczył, że apoplektyczny kark Palczyka zaczyna nabiegać krwią, zapytał:

- Kiedy wasza znajomość przekształciła się w... hm... zażyłość?

- Od razu! W maju tego roku przyprowadziła pukniętego fiata do klepania. Ja tam nie lubię młodej cielęciny, a babka była na pierwszy rzut oka całkiem do rzeczy, więc zastartowałem. Jak się okazało, że rozwalila cudzy samochód i że jej zależy na czasie, bo właściciel wraca z zagranicy, to już

wiedziałem, że leżę u niej w łóżeczku bez nikakich. No i rzeczywiście! Tego samego wieczoru zainaugurowaliśmy, fajnie było. Nie od tego jestem przecież, żeby jeszcze parę razy seansik powtórzyć, ale co to, panie, ślub czy co? Dosyć! Ale takie „przejsiówki” to najgorsze. No, ale o co idzie, jak pragnę... Puść pan farbę, panie władza!

Porucznik patrzył z obrzydzeniem na tego łysego lowe- lasa wykorzystującego tak cynicznie sytuację i równie cynicznie mówiącego o niej.

- Kiedy ostatni raz widział pan Kalecką? - Porucznik przeszedł do porządku nad pytaniem Palczyka.

- Dawno. Może trzy tygodnie temu, może dłużej. Jeśli chodzi panu o dokładną datę, to zaraz - sięgnął po kalendarz - zaraz sprawdzę, bo miałem wtedy na kanale mercedes-a niemieckiego handlowca. O, jest, trzeciego to było.

- Pan zajmował się konserwacją jej samochodu?

- A co tam za konserwacja! Wóz na gwarancji, po mieście jeżdżony, co tam robić...

- Czy wiadomo panu coś o próbach uszkodzenia hamulców w tym wozie?

- Aha - ucieszył się Palczyk - to pan w tej sprawie? Owszem, kiedyś przyleciała tu z krzykiem, że jej Janicz hamulce uszkodził. Zaporowski sprawdzał, wszystko było w porządku. Zresztą mogę go zawołać... - Porucznik machnął ręką, że nie trzeba. - Ja tam głowy nie dam, nie patrzyłem, ale mam w książce podpisane, że sprawdził. To na ogół solidny pracownik.

- Czy pan zna Janicza?

- Może go kiedyś widziałem. - Rafał Palczyk udawał, że bardzo się stara przypomnieć to sobie. - Ale chyba nie. Robimy w innym sektorze i poza wspólną żoną, he, he, he - odzyskał już pewność siebie - to chyba nic więcej nas nie łączyło. Ale co się stało, u Boga Ojca? Pan tak ogródkami do mnie... Rozwaliała kogo? A jeśli nawet, to ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Malwina Kalecka nie żyje...

- Ale dlaczego z tym do mnie? Ja naprawdę nic w tym jej

cholernym samochodzie nie robiłem! Nie miałem czasu ani kanału - mówiłem już, że ten mercedes - i nie chciałem już się płać. Pan rozumie, panie poruczniku? Przepraszam, a może mam przyjemność z kapitanem? Teraz młodzi...

- Dobrze, dobrze, niech pan mówi dalej.

- No więc stację gwarancyjną ma, książeczkę też, oni są odpowiedzialni za przeglądy, za stan techniczny. Ja tylko przez grzeczność kazałem wtedy Zaporowskiemu sprawdzić, jak tylko to mercedes zejdzie. To było trzeciego. A ona kiedy?

- Parę dni później,

- Ja nic nie jestem temu winien. Ja jestem w porządku.

* * *

- Dobrze, wszystko po kolei - powiedziała spokojnie Magda - fakt, że jak mówisz, Dora za młodu sypała swemu bratu truciznę na szczury do jedzenia, jeszcze nie znaczy, że zamordowała Malwinę. Fantazja cię ponosi, bo masz na jutro wezwanie.

- Nie fantazja, tylko strach. - Klara ponuro patrzyła w ziemię. - Nie mam doświadczenia w kryminalnych sprawach. Co prawda wiem, że wykrywacza kłamstw oni nie stosują, ale boję się, że coś chlapnę, gdzieś się zagmatwam. Może to głupie, ale nic nie poradzę, że jestem od samego środka, głęboko, tak jakoś wewnątrznie przekonana, że tego nie mógł zrobić nikt inny, tylko Dora. Jedynie ona miała motyw. Jest pazerna na chłopaka jak rzadko. A Ben to, można przypuszczać, jej ostatni mężczyzna. Zważ, że ona ma 45 lat. Świetnie się trzyma, ale ma 45 lat. Zrobi wszystko, żeby go zatrzymać. Wszystko! Bez wyboru!

- No to o co ci chodzi? Jeśli jesteś taka pewna, to wypowiadaj się temu lalusiowatemu porucznikowi, dostaniesz medal, pochwałę i przyczynisz się do zwycięstwa sprawiedliwości...

- Jeszcze czego! - przerwała Klara. - Ani mi się śni! Dorota jaka jest, taka jest, ale jest mi bliska. A ta cała Malwina ze swoimi zachwykami nad własną doskonałością była nudna jak cholera. Ty nie miałaś nigdy ochoty je zamordować?

- Jeszcze jak!

- Ja też. I mam na biedną Dorę, jeśli ona to zrobiła, zwalić całą machinę tzw. sprawiedliwości? A jeśli nie zrobiła? A w ogóle to czy ty wierzysz w sprawiedliwość?

- Czy ja wyglądam na osobę niedorozwiniętą? - odpowiedziała pytaniem Bajorkowa.

- Więc zastanówmy się, co gadać, żeby nie wsypać Dory.

- Boję się, że jeśli nawet ty tego nie zrobisz, to z całą pewnością Benedykt. Teraz mi się rozjaśniło! On coś wie! Jest jak kłębek nerwów. Byłam u nich zaraz pierwszego dnia, no i wyobraź sobie... - tu Magda wtajemniczyła Klarę w całą sprawę. Opowiedziała o zachowaniu Bena w domu, o wycieczce pod garaż i o spokoju, z jakim Dorota przyjmowała dziwne wybryki męża. Klara spochmurniała.

- Wszystko by się zgadzało. Ten idiota może ją wpakować w kabałę. Chyba powinnam z nim porozmawiać... Ale jak?

- Nie wiem jak, ale chyba powinnaś. Tylko uprzedzam cię, że mnie wszystko wisi, dopóki sama nie jestem w niebezpieczeństwie. Ale jak ja będę, to sobie nie wyobrażaj, że zechcę kogokolwiek osłaniać. Wolę, żeby wsadzili Dorę niż mnie.

- I nawet gotowa jesteś skierować na nią niesłuszne podejrzenie?

- Słuszne czy nie - to zadanie dla milicji. Ja cię uprzedziłam - słowa nie powiem, dopóki nie będę zmuszona, ale ta baba próbuje mnie wmanewrować...

- Baba? - zainteresowała się Klara. - Ta z parteru? Czy ona coś widziała?

Tuż po wyjściu Klary zadzwonił telefon.

- Czy mogę do ciebie przyjść? - pytała Joasia, córka Doroty.
- Mam problemy. Poważne dosyć. I tak jakoś w ogóle...

- Jeśli w ogóle, to przyjdź. Szczególnie że tak jakoś. Przychodź zaraz, mam herbatę na gazie i resztkę szarlotki.

Joasia była typową nastolatką. Wyrośnięta, długonoga, jasnowłosa, w dżinsach i kosmatej kurteczce, jaką ludzie dorośli na okres trzaskających mrozów kładą głęboko w

naftalinę i nie wyjmują aż do wiosny.

- Czy ty masz ,pod tym szykownym odzieniem sweter przynajmniej? - spytała Magda i natychmiast ugryzła się w język. Joaśka miała dosyć zrządzenia w domu. Na szczęście dziewczyna potraktowała pytanie z rozkoszną beztroską.

- Jeszcze jaki sweter! Jak zobaczysz, to ci oko stanie! - Zdjęła kurtkę ukazując szarobure wełniane wdzianko w norweski wzorek.

- Ciuchy?

- Nie. Kolega ze Szwecji wyprał w ixi i na niego nie wchodzi.

- Chcesz papierosa?

Joanna z miną światowej osoby wzięła papierosa i zaciągnęła się nie bez pewnej wprawy, jak przystało na przyszłoroczną maturzystkę. - Mniejsza o to, ciuchy w tej chwili nie są ważne. Słuchaj, on mnie Wypytuje o różne rzeczy, o to, gdzie mama była, kiedy zamordowano tę panią, no, wiesz, tę waszą znajomą, robi różne uwagi, aluzje, szpieguje mamę i w ogóle, a sam mówi, że był na brydżu, tymczasem ja mam dowód, że wcale nie był.

- O, Boże! - jęknęła Magda. Tuż przed przybyciem Klary miała rozmowę z sąsiadem z przeciwka, który twierdził, że owej pamiętnej nocy widział Michała uciekającego spod garażu, i żądał za nieujawnienie tego faktu dziesięciu tysięcy złotych, potem Klara, która była przekonana, że morderstwo popełniła Dorota, teraz Joaśka, która miała dowody, że alibi Benedykta jest niepewne... Do tego baba, która w pojęciu Magdy najbardziej pasowała do tego morderstwa, wreszcie ona sama - Magda Bajorek - oskarżana przez babę i podejrzana przez milicję. Za dużo było tych podejrzanych i za dużo rewelacji. Jeśli jeszcze przyjdzie Dorota...

Zamiast Doroty zadzwonił Janicz.

- Czy jest Misiiek? Nie ma? A może ty możesz mi wytłumaczyć, coście robili w tym dawnym moim garażu, że aż milicja mnie nachodzi i wypytuje. Nie chcę dzwonić do Malwiny, bo sama rozumiesz, choć jesteś jej przyjaciółką...

- Rozumiem - przerwała Magda, bo pełen pretensji ton Janicza trochę ją irytował. - Rozumiem, że tam nie dzwonisz,

bo z nieboszczykami na ogół trudno się dogadać. Szczególnie przez telefon.

- Co ty powiedziałaś? - spytał po chwili milczenia Janicz.

- A co? Ten milicjant ci nie oznajmił?

- O czym?

- O tym, że Malwinę ktoś udusił spalinami w garażu. - W słuchawce dychać było tylko przyspieszony oddech Janicza, więc Magda czekała, pełna złośliwej emocji, jakie będą jego pierwsze słowa. - Nie mówił, w jakiej sprawie cię przesłuchuje?

- Nic konkretnego... Pytał, czy groziłem swojej byłej żonie i włamywałem się do jej mieszkania. Powiedziałem, że Malwa zawsze miała bujną wyobraźnię, i przyciąłem faceta ostro. Skończył i poszedł. - A jednak głos mu się lekko załamał i Magda pomyślała, że właśnie Janicz był tym jedynym człowiekiem, który traktował Malwinę poważnie. - Jednak ktoś czyhał na jej życie. I chyba domyślam się, kto. - Brzęknęła odkładana słuchawka i Magda po raz drugi jęknęła: „O, Boże!”

- Coś się stało? - zainteresowała się Joasia.

- Owszem, następny detektyw ma koncepcję. Snuj dalej. Dawaj te dowody. Niech to się wszystko wali na mnie. Niech mam przynajmniej rozeznanie w tym tłumie morderców.

- Ja nie wiem, czy Płocki jest mordercą, ale na brydzu go nie było. Bo ja - zaczęła mówić gorączkowo - zostałam wtedy dłużej i około dziesiątej dzwonię do domu, że już idę, a mamy nie ma, więc jeszcze chwilę posiedziałam i dzwonię znów, a telefon nadal nie odpowiada. No to dzwonię do klubu do Płockiego, bo ta koleżanka mieszka stamtąd dwa kroki i jakbym szła, tobym wzięła od Benedykta klucz do domu, bo myślałam, że mamus poszedł gdzieś na dłużej. A w klubie mi powiedzieli, że go nie ma. Przed chwilą wyszedł. No to ja je! Ale pojechałam do domu. I mamus był, a jego nie było. I to chyba powinna wiedzieć milicja. Czybyś im nie mogła powiedzieć, że jego nie było, że on nie ma alibi? Podobno jesteś w przyjaźni z tym jednym, co ma długie wasy, co przychodzi do ciebie na obiady.

- O, Boże! - powiedziała po raz trzeci Magda Bajorek. - Skąd ty masz takie wiadomości?

- Odnośnie czego?

- Odnośnie przedstawiciela milicji obywatelskiej, który skonsumował u mnie jeden posiłek południowy, i to nie z przyjaźni, ale z ciekawości. Obopólnej zresztą.

- Mówisz tak urzędowo, że ja cię nic nie rozumiem. Ale jeśli chodzi o milicjanta, co ma długie wąsy, to Kryś- ka z kiosku mówiła, że go zapraszałaś. A on poszedł. No to chyba teraz możesz mu powiedzieć o Płockim, no nie?

- Może bym i mogła. Jeśli cię dobrze rozumiem, to nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby Ben zniknął z waszego domu na zawsze, osadzony w dożywotniej celi za morderstwo. Tylko powiedz mi, dlaczego on miałby mordować Kalecką. Przecież prawie się nie znali...

- A właśnie, że nieprawda! - zawołała żywo Joaśka. - On myśli, że ja nic nie wiem, że ja jestem mała głupia koza i nie słyszałam, jak on się zamykał w łazience z telefonem, a potem zaraz wiązał krawacik, kładł świeżą koszulkę i wiesz, gdzie biegł? Prosto do tej twojej Kaleckiej. Ja go kiedyś wysłodziłam! Jak tylko mamuś wyszedł z domu, to on zaraz do lustra, wymuskał się, wysłicznił i poszedł. Adres się zgadza. Widziałam, jak wchodził na schody. Chciałam mamie powiedzieć, ale po co?

- Ale po co? - powtórzyła Magda bezmyślnie. W głowie miała lekki zamęt. Nie była pewna, czy może zadzwonić do zaprzyjaźnionego przedstawiciela organów śledczych i zaproponować następny obiad. Ponadto nie była pewna, czy przedstawiciele organów ścigania lubią knedle ze śliwkami. I czy w ogóle knedle mają dostateczną siłę przebicia. A przygotowała już do nich ingrediencje. Gdyby jeszcze dodać na pierwsze barszczyk litewski... na boczku wędzonym, z fasolką, kapustką, jarzynkami, śmietaną, kartofelkami z prywatnego kiosku na ulicy Jaworowej. Do tego jeden listek bobkowy, trzy, cztery angielskie ziela, odrobinę mięty dla smaku... Postanowiła zadzwonić.

Kończyło się senne, ponure grudniowe popołudnie. Zapadał wczesny zmierzch. Porucznik Karbolek siedział sam w swoim pokoju i pisał raport. Szło mu nietęgo. Rozpraszał go nieco gwar na korytarzu, znamionujący koniec dnia pracy. Dla innych. Dla niego był to sam środek. I środek sprawy, o której jeszcze tak mało wiedział. Z tłumu podejrzanych wyeliminował jedynie Leopolda Wiślickiego, który przebywał z całą rodziną za granicą i na pewno od roku nie pojawił się w kraju. Reszta stanowiła tłum zagadkowych postaci, które miały jakieś tam swoje małe motywy i spore możliwości. Wszystko to było mętne i nijakie. Porucznik miał wrażenie, że do sedna sprawy nawet się jeszcze nie zbliżył.

Dzwonek telefonu przerwał te ponure rozmyślania. Karbolek z pośpiechem podniósł słuchawkę. Miał nadzieję, że to może sierżant Fidybus, któremu trzy godziny temu zlecił sprawdzenie pewnego drobiazgu. Ów drobiazg normalnemu funkcjonariuszowi zająłby nie więcej niż dwadzieścia minut.

- Dzień dobry, panie poruczniku - dziewczęcy głosik w telefonie z całą pewnością nie należał do sierżanta Fidybusa - mówi Barbara Błońska z telewizji. Czy pan mnie sobie przypomina?

- Ależ jak pani może!... - Porucznik skoczył na równe nogi.

- Więc ja coś sobie przypomniałam, ale nie wiem, czy to ważne. Opowiadała mi koleżanka, że tego wieczoru, kiedy to się stało, dzwoniła do pani redaktor Kaleckiej. Dość późno dzwoniła. Koło jedenastej albo i po. I pani redaktor, rozmawiając z nią, zawołała w pewnej chwili: „Kuba, nie ruszaj tej popielniczki!” A potem wróciła znów do rozmowy z tą koleżanką. Czy to ważne?

- Bardzo ważne! Bardzo! Dziękuję, pani Basiu. Jak się nazywa ta kole... - Ale panna Basia już odłożyła słuchawkę. Porucznik uśmiechnął się. Teraz miał pretekst, żeby zobaczyć się z panną Basią osobiście.

* * *

Kulebiak dochodził w piecyku, rosół perkotał na małym ogniu. Michał miał wcześniej wrócić z pracy - jednym

słowem, czekało Magdę miłe sobotnie popołudnie. Wynałazła na półce dawno czytany kryminał i zanim wyciągnęła się na kanapie, wrzuciła jeszcze do szklanki kilka wiśni z likieru, kapnęła nieco koniaku, zaprawiła solidną porcją białego wina i popijała z wolna, zastanawiając się, dlaczego to takie niedobre, skoro każdy poszczególny składnik jest smaczny. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Pies wstał z wyraźnym merdając ogonem, więc otworzyła. Istotnie, można powiedzieć, że był to ktoś znajomy. W drzwiach sterczał jak słup telegraficzny wąsaty milicjant, który uczestniczył niedawno w babce kartoflanej, zjadł siedem kawałków, a puścił pary z gęby może za półtora albo jeszcze mniej. Stał z wniebowziętą miną i ciągnął nosem zapachy z kuchni.

- Za czym pan tu znowu węszy? - spytała niechętnie Bajorkowa przez wąską szparę w drzwiach. - Co prawda niedawno jeszcze zamierzałam pana zaprosić na obiad, bo mnie o to prosiła pewna młoda osoba, ale mam nadzieję, że tego nie zrobiłam. Osoba prośbę odwołała, więc niech pan wyjmie z drzwi tę nogę. Obiadu nie będzie.

- To wieloletnie przyzwyczajenie pochodzące z kontaktów z marginesem. - Nogi nie wyjął. - Pierogi z grzybami? I z kapustą? - Pociągnął nosem jeszcze raz. - Ciasto jest drożdżowe... Wielkie nieba! Pani to też umie robić?

- Ja umiem wszystko, drogi panie - przecięła Magda próby pochlebstwa - ale wcale nie znaczy, że zamierzam się tym wszystkim dzielić z byle kim.

- Przestanę być dla pani byle kim, jak panią mój piękny porucznik zamknie w kazamatach.

- A zamierza?

- A otworzy pani szerzej drzwi, żebym mógł i drugą nogę wsadzić? Oczywiście, że zamierza - sierżant Fidybus nie doczekał się pozytywnej odpowiedzi - skoro pani uciekała krytycznego dnia o północy w wielkim popłochu i brązowej kurtce spod garażu, a pani alibi jest funta kłaków niewarte.

- Bajki!

- Może to i bajki, ale w połączeniu z zeznaniami świadka...

- Jakiego znów świadka?

- Jest świadek jak należy. Naoczny. A jeśli będzie trzeba, to ten świadek przyprowadzi jeszcze tuzin innych świadków, bo już zapodał, że „ludzie widzieli”.

- Znaczący, że pan temu kulebiakowi nie przepuści. No to niech pan już wejdzie i nie psuje mi opinii na schodach.

- Bóg zapłać, ale jak wejdę, to zaraz przystąpię do czynności służbowych. - Sierżant bez wahania skierował się w stronę kuchni.

- Co? Ma pan nakaz rewizji? Ma pan kajdanki? Bo ja bez tego nie pójdę! I bez milicji w mundurach. Nigdy nie byłam aresztowana i pewno nieprędko znowu będę, więc muszę mieć aresztowanie jak się należy, w pełnej gali. kajdanki, mundury, „suka” przed domem! Zakratowana, a najlepiej pancerna. A tak byle jak nie pójdę!

- Nie mam żadnych podstaw do aresztowania. I chwała Bogu! Więcej byśmy mieli z panią kłopotu niż pożytku. Chyba żeby przetrzymywać na więziennym wikcie... - zadumał się na chwilę - bez tych pierożków, kulebiacz- ków... Wszystko by pani wyśpiewała! E tam - machnął ręką. - Nawet za dużo. Prawdę i nieprawdę. Wszystko, czego byśmy żądali.

- No to czego pan, do licha, ode mnie chce służbowo? Bo prywatnie to wiem, ale jeszcze nie doszedł. Za pięć minut wyjmę z pieca.

- Chciałem się, wyjąć zeszyt, poślinić ołówek i spytać panią, czy zna pani jakiegoś bliskiego znajomego Kaleckiej - była z nim na ty - który ma na imię Jakub.

- Jakub? Jakub... Ja... - zająknęła się i dodała szybko: - Nie znam.

- Na pewno?

- Jasne...

Kłamała. Widział, że kłamie.

- Niech pani sobie przypomni. Mogę się założyć o tysiąc złotych przeciw jednemu kulebiakowi, że pani go zna.

- To pan przegra. Ale o co chodzi z tym Jakubem? Jest pan pewny, że to imię mordercy?

- Niekoniecznie. Jedna ze znajomych Kaleckiej telefonowała do niej owego krytycznego wieczora. Kalecka

stwierdziła, że nie może długo mówić, bo ma gościa, po czym zawołała: „Kuba, nie ruszaj tej popielniczki”. Widzi pani, jak szastam tajemnicami śledztwa, walę szczerze, prosto z mostu, a pani łże jak najęta.

- Nie łżę, naprawdę. Może Kalecka chciała tamtej udowodnić, że ma chłopca w domu? To do niej podobne, żeby tamtą szlag trafił, bo może to któraś z kum, która aktualnie swojego nie ma. A może się ona po prostu przesłyszała?

Może to nie był „Kuba”, a na przykład „Luba”. W telefonie mogło brzmieć podobnie.

- Nie, Kuba.

- Oj, no to nie wiem! Może to jakiś świeży gach, którego nikt nie zhał.

- Pani znała.

- Jaki pan ma milicyjny charakter! Przecież możecie sprawdzić. Jeśli gó znałyśmy obie, to się znajduje w naszych notesachz telefonami. Człowiek nie istnieje w dużym mieście, w drugiej połowie XX wieku, bez telefonu. Do pracy albo do domu. Wylezie na wierzch, żeby nie wiem co!

- Ma pani rację - powiedział w zadumie sierżant - że też od razu o tym nie pomyślałem...

- O czym?

- Że ten Kuba może być zamiejscowy...

- Nie musi. Przyszedł mi jeden do głowy, ale jak pan zaraz do niego poleci z tymi kajdankami, to nic panu więcej nie powiem i kulebiak na węgiel spalę, a nie dam!

- Nie polecę. Choćbym bardzo chciał. Sierżant jestem, od poruczeń wyłącznie, a od koncepcji i kajdanków jest mój szef.

- Diabli wiedzą, od czego pan jest i pański porucznik, ale guzik mnie to obchodzi. Jedyne znany mi Jakub to redaktor Mondraczek, który ponoć dosłownie oszalał na punkcie wierszy Malwiny. Jednak jeśli się nie mylę, to ona go osobiście nie znała, a wiersze mu posyłała przez żonę... Cholera! - Skaleczyła się nożem w palec. Była zdenerwowana. Sierżant przyglądał się jej uważnie. Wsadziła zakrwawiony paluch do ust i wydawała się zadowolona, że w tej sytuacji może nic więcej nie powiedzieć. Wielkiej wprawy w

kłamstwach nie miała. Może nawet łągała sporo i często, ale prawdopodobnie nigdy w sytuacji podbramkowej. Raczej zabawa niż konieczność. Nigdy nie nauczyła się wkładać w tę czynność całej duszy. Kłamiąc nie przestawała myśleć o tym, co wiedziała naprawdę. Sierżant mógł więc postawić własną głowę przeciw trzem kapuścianym, że redaktor Mondraczek nie był tym Jakubem, którego miała na myśli Magda Bajorek.

* * *

Benedykt Płocki już trzecią noc spędzał poza domem. Pierwszą strawił na ordynarnym chlaniu z jakimś ohydny typem. Obudził się o świcie w korytarzu czyjegoś mieszkania. Leżał ubrany na kocu, portfel miał w kieszeni. Wstał więc chyłkiem i wyszedł. Z pokoju dochodziło chrapanie. Następnego wieczoru wsiadł w pociąg i pojechał 30 km za miasto, gdzie kolega prowadził całoroczny ośrodek wypoczynkowy. Znowu pili.

Na trzecią noc zabrakło mu konceptu. Rano miał się stawić na przesłuchanie w komendzie i ta noc była najgorsza. Wędrował ulicami, ścisnął w palcach ów nieszczęsny guzik od futerka żony, który znalazł w krzaku bzu pod oknami Kaleckiej, i próbował odgadnąć, o co go jutro będą pytali. Właściwie wiadomo o co. Czy nic nie zauważył, czy nie mógłby wskazać kogoś, komu zależało itp. Zawsze tak pytają. Niby nic, niby nie mają w stosunku do ciebie żadnych podejrzeń, a potem trzask! I kajdanki. Na własnych rękach albo... Nigdy nie wiadomo, kiedy się kogoś wsypie. Nie wiadomo, jak zeznawać. Czy „iść w zaparte”- czytał gdzieś takie określenie - nic nie wiedzieć, nic nie widzieć, nie słyszeć, czy udawać, że się gorąco pragnie współpracować z naszą kochaną milicją, czy przyjąć postawę spokojną, wyczekującą, pełną rezerwy? A może Ogłuszyć ich elokwencją? Zagadać? Pleść o nieistotnych szczegółach, żeby musieli ciągle przerywać, co odwróci ich uwagę... Diabła tam! Nic nie odwróci! Przecież to są fachowcy! A zresztą kto ich tam wie, co oni mogą wiedzieć! Kto wie? Ależ Klara! Klara Wolska!

Aż się zatrzymał i stuknął się w swój pusty łeb. Że też mu to wcześniej na myśl nie przyszło! Teraz już po jedenastej. Czy to wypada?

Wypada czy nie - Ben postanowił nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Wolska była wcześniej wzywana na przesłuchanie. Wczoraj czy przedwczoraj. Ona jedna wiedziała już, jak pytają, o co i któredy można od tych pytań uciec.

* * *

- Nie śpisz jeszcze? - Jerzy rozpoznał głos swego najbliższego współpracownika. - Znalazłem bruneta!

- Jakiego bruneta, co ty bredzisz?

Zbliżała się już północ i Jerzy co prawda nie spał, ale po pracowitym dniu wreszcie klapnął na posłaniu, włączył cichutko radio, wziął sobie tomik modernistycznych poezji, które go zawsze doskonale odprężyły, i pogrążył się w miłym nastroju całkowitego oderwania od spraw tego świata. Telefon, sam jego dźwięk, wtargnął w nirwanę przykrym zgrzytem, głos kolegi z pracy przypomniał o codziennych obowiązkach, a wiadomość o jakimś brunecie wywołała falę irytacji nieproporcjonalnej do treści.

- Jaki brunet, do cholery! - ryknął raz jeszcze w słuchawkę elegancki pan, którym zazwyczaj był redaktor Jerzy Bączyński.

- No ten - Kamil był wyraźnie zdetonowany - ten, któregośmy typowali na mordercę Kaleckiej. Ale wiesz, że to chyba nie on, tylko ewentualnie jego żona. Znalazł u tej żony guzik od futra Kaleckiej - musiały się chyba szarpać! Nasza Malwina dzielnie się broniła.

- Przyjeżdż - przerwał Jerzy - to ci opowiem jeszcze bardziej sensacyjną wersję. Podobno w całą tę kryminalną kabałę mocno jest zamieszany Władysław Filiżan.

Cała żmudna praca spadała na barki porucznika Kar- bolka, bowiem sierżant Fidybus nadal zajmował się szukaniem Jakuba. Robił to głównie w kawiarni uczęszczanej przez plastyków. W związku z tym, żeby wyglądem dopasować się

do miejsca, zapuścił jeszcze brodę, zrobił sobie wdzianko z dywanika w paski, które narzucał na swój stary ukochany sweter, kiedy szedł tam posiedzieć nad filiżanką nędznej lury. Powoli stał się tam postacią znaną. Nawiązał nieco znajomości, a nawet zaczął, ku przerażeniu porucznika, malować.

- Przecież muszę czasem coś pokazać kolegom, podyskutować.

- Ależ to szaleństwo! Nie pokazujcie tego, co tam paprzecie, nikomu! Przecież fachowiec natychmiast odkryje, że nie macie o niczym pojęcia. Natychmiast was rozszyfruje!

Karbolek złożył wizytę w kawalerce swego podwładnego, żeby nieoficjalnie zaproponować mu czynność niezgodną z przepisami. Tak już przesiąkł „fidybusczyzną”, że mała nielegalność, uświęcająca poważne środki, wydała mu się złem niemal koniecznym, ale wobec tego, co zastał w mieszkaniu kolegi, zapomniał o sprawie.

- Co to, to nie, obywatelu poruczniku! Żeby ja się na przykład wziął za coś chodliwego, jakieś kwiatki na porcelanie, to faktycznie mógłbym wpaść. Ale ja jestem sztalugowiec. Do tego twórca zaangażowany. Wie porucznik, jakie ja mam tytuły obrazów? Prima sort! - Wyciągnął płótno, na którym rozlewała się u góry błękitna plama, a u dołu czerwono-czarne ciapki pstrzyły żółtawą biel. - „Droga spod Lenino”. Widzi, porucznik? Albo to - olbrzymi krzyż przekreślony czerwoną farbą u dołu z lewej, u góry z prawej żółta kula o rozchodzących się promieniach. - „Zdobycie Berlina”. A to jest „Oratorium oświęcimskie”. - Chlapanina czerwonych plam na czarnym tle nie usiłowała niczego udawać.

- Jak wam nie wstyd! Przecież to są sprawy drogie sercu każdego Polaka, a wy z tego żarty jakieś... jakieś takie! - Porucznik aż się zachłysnął z irytacji. - I do czego wam to właściwie potrzebne?

- Do wejścia w środowisko. A żartów tu nijakich nie ma. Jako kto ja mam wchodzić? Jako zapoznany geniusz? Bo jako solidny fachowiec nie mogę. Odpada. Więc wchodzę jako

beztalencie śmierzące,, ale cwane.

- To znaczy?

- To znaczy to! - wskazał sierżant na walające się poplamione płótna. - Jak kto ma talent i umie, to se może i gołe dziewczyny malować, i kwiatki, i kwadraciki, ale jak nie, to musi mieć zaangażowanie, czyli temat. Tematów jest kilka na zaangażowanie - wykładał z uczoną miną. - Najlepsze z drugiej wojny światowej, choć i strajki w kapi- talizmach są dobre, i pochody różne albo walki z Trzeciego Świata. Tylko to trzeba dobrze wybrać, bo te Murzyny to często zmieniają orientację. Nie, z Trzecim Światem lepiej nie zaczynać. A w ogóle zaangażować się to właściwie można tylko w to, co już minęło. Bo na przykład jak ktoś sześć dni odśnieżał społecznie Warszawę, a siódmego siądzie sobie i kropnie obraz o tym odśnieżaniu, to nie jest on, wbrew pozorom, twórcą zaangażowanym, tylko uprawia tanią publicystykę w plastyce, rozumie porucznik?

- Późno już - rzekł surowo skołowany zwierzchnik - przystąpię więc do rzeczy. Jak się domyślam, wychodzicie gdzieś o tej porze i w tym stroju. A więc nie jest wykluczone, że jutro nie zamierzacie stawić się punktualnie do pracy. Co wymyśliliście na swoje usprawiedliwienie?

- Właśnie - rzekł sierżant spokojnie - udaję się do pracy, którą wykonywać będę dzisiejszej nocy w domu obywatelki Gnysiówny.

- No nie! To już jest szczyt wszystkiego! Dno dna waszej degrengolady! Żeby nazywać pracą...

- Przecież widzi porucznik, że mam na sobie strój służbowy, bo u Gnysiówny będzie dziś parapetówka, będą koledzy i koleżanki po fachu i po różnych innych okolicznościach, a sama Gnysiówna jest z tego samego roku Akademii, co Dorota Płocka, Klara Wolska i Magda Bajorek.

- Bajorek? Przecież ona...

- Magda Bajórek studiowała cały rok na Akademii, zanim przeniosła się na uniwersytet. Cały rok była z nimi razem! I to w dosyć bliskiej komitywie. I teraz niech obywatel porucznik przypomni sobie, kto miał głupią minę, kiedy został

przepytany na okoliczność Jakuba. Ja rozmawiałem o tym Kubie z kupą ludzi, ale tylko Płocka i Bajorkowa były zaskoczone. A porucznik?

Porucznik na prośbę sierżanta zadał pytanie o Kubę Klarze Wolskiej. Odpowiedziała po namyśle, że zna niejakiego Jakuba Burskiego, czasem nawet grywa z nim w brydża, ale nie sądzi, żeby on znał Kalecką. Poza tym sama Kalecka wspominała o jakimś Mądraczkuz czy Modraczkuz. Odpowiedź była rozsądna, spokojna, ale porucznik Karbolek dałby głowę, no, może tylko pół, że w oczach Klary, zanim zaczęła odpowiadać, również mignął strach.

- Wziąłem pod lupę te trzy panienki, przeleciałem się im po życiorysach aż do dzieciństwa i z powrotem, żeby zobaczyć, co je wszystkie trzy może łączyć. Nic! Tylko ten jeden wspólny rok studiów! Ale na tym roku byli również inni ludzie. Dlatego przystałem do plastyków.

- I myślicie, że oni wam pomogą znaleźć tego Jakuba?

- A jeśli nie oni, to kto? - zadał retoryczne pytanie sierżant.

Porucznik wiedział, że podwładny nie spocznie, dopóki nie wykopie Jakuba spod ziemi, i że wobec tego czyn niezgodny z prawem będzie musiał popełnić on sam. Wracając do domu pustymi ulicami porucznik usiłował znaleźć jakieś inne wyjście. Legalne! Bo myśl, że będzie musiał osobiście dokonać włamania do czyjegoś domu, żeby sprawdzić, Czy ten ktoś nosi buty z żabkami, wydała mu się wstrętna. A przypuszczenie, że ów ktoś może go przyłapać - przerażające. Ale był tak blisko celu, że nic już go nie mogło powstrzymać.

* * *

Gdzie ta Dorka miała oczy - pomyślała Klara - żeby się w czymś takim zakochać - a głośno zapytała: - Z cukrem czy bez?

- Tak, tak! Dwie łyżeczki! - Chwycił gwałtownie filiżankę i drżącymi rękami podniósł do ust. Część płynu ściekła po zmierzwionej brodzie na ubranie. Benedykt Płocki w tym stanie ducha i ciała, w jakim się znajdował, nie mógł być

uznany za popisowy okaz męskiej urody. Przypominał raczej nastroszoną zmokłą kure, która przysiadła na niewygodnej grzędzie, gotowa lada chwila odfrunąć z głośnym gdakaniem. Siedział w głębokim fotelu Klary, kolana miał pod brodą, w jednej ręce miętosił nerwowo futrzany pomponik, a drugą usiłował utrzymać w jakiejś takiej równowadze filiżankę z kawą. Jednakże to pospolite skądinąd przedsięwzięcie przekraczało dziś chyba jego możliwości. Klara przypatrywała mu się pobłaźliwie.

- Niech pan położy ten pompon na stole - poradziła życzliwie. - Nikt go panu nie ukradnie. '

- Ach nie... - zawstydził się Płocki, ale pompon schował do kieszeni - tylko tak się z tym noszę. Znalazłem go przed domem Kaleckiej. I myślę, czy to możliwe... No, przecież ona jest taka łagodna! A jednak wszystko wskazuje... I ten staruszek z przeciwka, z którym rozmawiałem. Takie, mówi, chichoty były, że wyjrzał przez judasza na korytarz. I mówi, że dwie kobiety. Na pewno dwie kobiety. I ta druga miała na sobie coś brązowego. Rozumie pani? - Znów wyszarpnął z kieszeni futrzany pompon kasztanowego koloru. - Coś brązowego! A przecież Kalecka nosiła zielony kozuszek. Coś brązowego! Pytałem, czy futerko, ale on nie widział.

- Niech się pan uspokoi. Tysiące kobiet nosi na sobie „coś brązowego”. Szczególnie zimą. To niemal kolor ochronny naszej ulicy. A w ogóle to... przepraszam, ale skoro już pan do mnie przyszedł, to grajmy w otwarte karty: czy pan naprawdę miał romans z tą Kalecką?

- Ja? - Benedykt zakręcił się na fotelu jakby użądłony.

- To po jakie лихо ciągle pan do niej latał?

- Przecież pani wie! W sprawie tej niby audycji, ale od czasu jak to nakręcili, to już jej ani razu nie widziałem.

- Niech pan będzie ze mną szczerzy albo skończmy tę rozmowę.

- Ale dlaczego? Dlaczego pani myśli, że ja kłamię?

- Dlatego że pan to chyba robi dość często. Ot, choćby tego wieczoru, kiedy zamordowano Kalecką. Powiedział pan, że

idzie do klubu na brydża, ale pan tam nie był...

Benedykt Płocki wyglądał, jakby resztki grzędy usunięto mu gwałtownie spod nóg. Przez chwilę wpatrywał się w Klarę jak w upiora, po czym spytał złamanym głosem:

- Skąd pani to wie?

- Jeśli wiem ja, to również może to wiedzieć milicja. I prawdopodobnie pytają, gdzie pan spędził ten czas. I kto może to poświadczyć. A co pan odpowie?

- Nie wiem! Biedna dziewczyna! Przecież ja się z nią nie ożenię! A jeszcze milicja! I sąd!

- Niech pan będzie mężczyzną! - powiedziała Klara ostro. - Przynajmniej raz w życiu. I niech pan przestanie bredzić. Co za dziewczyna?

- Taka jedna! Z Brna. Poznałem ją w zeszłym roku. No i właśnie przyjechała, i zadzwoniła, i...

- No tak! Przed milicją będzie się pan tłumaczył. Mnie to na nic. Pana życie intymne. Krótko mówiąc, nie było pana całą noc.

- Prawie. Wróciłem koło czwartej. Ja czasem tak z brydża wracam.

- Pana nie było, Joaśka pewno spała w swoim pokoju... No tak... - zamyśliła się Klara. - To wszystko tylko głupie zbiegi okoliczności, ale niech pan ten pompon i tego staruszka lepiej wykreśli ze swojej pamięci. I niech pan pomyśli raczej o swoim alibi. Te zbiegi okoliczności są również niepomysłne dla pana. Czy ma pan przynajmniej adres tej dziewczyny?

Minął jeden dzień, drugi i trzeci, a białe myszki i drabina nie dawały sierżantowi spokoju. Nie było innego wyjścia, tylko pojechać jeszcze raz na Prusa do garażu i spojrzeć prosto w oczy czajnikowi. I to, nie wieczorową porą, jak wtedy, nie po pijaku, kiedy to patrzenie w oczy komukolwiek jest niezwykle utrudnione, tylko w dzień, na trzeźwo, urzędowo, przykładowie. Ogolił się na tę okoliczność, przyczesał, pojechał. Oczywiście, na trzeźwo czajnika nie było. Sierżant poczuł niemiły zamęt w głowie.

- Delirium tremens! - mruknął. - Ładna nazwa, ale

niesympatyczna.

Kiedy wszedł do garażu, uspokoił się natychmiast. Ktoś tu w międzyczasie wchodził i coś zabrał. Sierżant nawet wiedział co, choć nie sądził, żeby to miał być przedmiot do życia niezbędny. Tak niezbędny, że jego właściciele zaryzykowali włamanie... Domyślił się, w jaki sposób weszli nie zrywając pieczęci. Za młodych swoich lat odlepiał przecież znaczki za pomocą pary wydobywającej się z czajnika... Wszystko się zgadzało. Białe myszki zniknęły raz na zawsze. Ale fakt włamania pozostawał. Sierżant niby znał powód i prawdopodobnie sprawców, ale ich działanie w obecnej sytuacji byłoby tak obłudnie nieostrożne, że sprawa musiała być bardziej skomplikowana. Zabrali jedno, a szukali czegoś zupełnie innego? Czego?

Sierżant wypalił do połowy papierosa i zabrał się do metodycznego przetrząsania garażu.

Nie znalazł żadnych śladów cudzego gospodarowania, choć pamięć miał jak komputer, a natychmiastowe dokładne oględziny miejsca zbrodni uważał zawsze za swój podstawowy obowiązek. Na półkach pod sufitem kurz leżał grubą warstwą, zlął więc sierżant do parteru, strącił przy tym z niższej półki pudełko z nasionami i woreczek z ziemią. Podniósł go ostrożnie, przyjrzał mu się w zadumie i odłożył na półkę obok dwu innych. Poszperał jeszcze tu i ówdzie, na ślepo, ale wszędzie był kurz i zaczynały pracować pająki. Na oko nie zniknęło nic więcej poza dwiema parami nart i to wydawało się Fidybusowi tak zagadkowe, że nijak nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Przy okazji zrozumiał, jak to się stało, że Malwina Kalecka dała się zamknąć w garażu. Tym samym upadała jedna z koncepcji porucznika, mówiąca, że śmierć mogła być jednak dziełem przypadku, a nie zamierzonym działaniem. Jutro prawdopodobnie laboratorium jeszcze raz potwierdzi, że było to z całą pewnością morderstwo, ale sierżanta ten fakt obchodził o tyle, o ile powinien. On chciał wiedzieć, czy to możliwe, że ludzie przy zdrowych zmysłach odwiedzali miejsce zbrodni tylko po to, żeby zabrać narty. I to ludzie, którzy znajdują się w tej chwili na czele listy

podejrzanych. A w każdym razie przed głównym peletonem potencjalnych morderców. Czyżby ci ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy?

* * *

Dwa samochody stały na pustej szosie. Mżył deszcz. Rafał Palczyk założył linę i przesiadł się do Janicza.

- No? - warknął.

- Nie zamierzam ci udowadniać, że to ty zrobiłeś, bo to nie dla mnie robota, ale dla milicji. Chcę ci tylko powiedzieć, że wiem o paru sprawach i mogę się tymi wiadomościami podzielić z kim trzeba. Albo nie.

- Co ty wiesz, kutasie? Co ty wiesz?

- Te sto tysięcy, które Malwina w ciebie wpakowała, a których jej nie oddałeś, pożyczyła ode mnie...

- I tobie się zdaje, że ja ją zabiłem, bo mnie nie stać było na oddanie stu patoli? - roześmiał się Palczyk. - Paradny jesteś, słowo daję!

- Jeśli cię stać, to wobec tego oddasz je mnie. Tylko że ja znam stan twoich finansów. Mam człowieka w wydziale. Niestety, nie wiem, ile forsy jeszcze od Malwy wyłudziłeś i skąd ją brała...

- Ja nic nie wyłudzałem - przerwał żywo Palczyk - chciała ze mną koniecznie jechać na jakieś tam Wyspy Kanaryjskie, więc mówię na odczepnego, że nie mam forsy, a ona za parę dni przychodzi i bach! Sto patyków kładzie na stole! No i co ja mogłem?

- Skoro masz się żenić w karnawale, to nic nie mogłeś, tylko się pozbyć Malwiny. Żeby bez przeszkód zyskać za teścia dyrektora Polmozbytu.

- Czyś ty zgłupiał? Po co bym się miał jej pozbywać? Co mi ona mogła zrobić?

- Nie wiem. Na dzień przed swoją śmiercią moja była żona widziała się z twoją przyszłą. Porozmawiały sobie w kawiarni. Pewnie o tobie.

- Co?! Ja tej kurwie...

- Której? Co jej zrobisz?

- Gównu! Nic mi nie udowodnisz!
 - Nie jestem od tego. Ja ci tylko mówię, czym się mogę podzielić z milicją. Albo nie. Resztę oni. robią. Szczególnie że w czasie morderstwa byłeś sam. W ba- rze.
 - Szatniarz mnie sobie przypomni. Znam go jeszcze ze „Stylowej”.
 - Nie przypomni. Dostał zaniku pamięci. W „zielonych”.
 - Ty skurwysynu! Czego chcesz?
 - W moim garażu na Prusa są przy lewej ścianie rury od c.o. czy od ichta wie czego. Jedna jest ślepa. Zimna między dwiema ciepłymi. W tej rurze w kolanku znajdziesz szarą kopertę w plastikowej torebce. Tam są dokumenty mające wartość tylko dla mnie. Więc możesz nie rozwijać.
 - Chcesz mnie zrobić? Tak żebym z pierdla nie wyjrzał! Mogłeś sto razy zabrać tę kopertę. Dlaczego tego nie zrobiłeś?
 - Bo Malwa natychmiast zmieniła zamki. I chyba wynajęła jakąś babę do pilnowania tego garażu. Jak już dorobiłem klucz do tej nowej kłody, to - mówię szczerze - podjechałem pod ten garaż, a baba stała za firanką. Na parterze. Miałem ryzykować, że Malwa zawiadomiona przyleci i narobi gwałtu na całą ulicę, że złapała włamywacza? Przed prawem nie miałbym żadnych szans. Jesteśmy sobie obcy. A przecież znasz Malwinę! - Obaj mężczyźni roześmieli się jak współnicy. Po chwili Palczyk spoważniał.
 - Nie, stary, może mówisz prawdę, może nie, ale na to mnie nie nabierzesz. Możesz wynająć człowieka, który ci to przyniesie.
 - Po co mi, kiedy mam ciebie.
 - Nie! - ryknął Palczyk.
- Wysiadł, odczepił linę holowniczą i wsiadł do swego samochodu.
- Możesz się zastanowić. Do jutra, do dwunastej! - krzyknął Janicz. Szosa była pusta. Pierwszy wystartował fiat, za nim BMW, które po chwili minęło fiata, następnie milicjanta na motocyklu, który trochę się zdziwił. Przejeżdżał przed chwilą obok dwóch stojących na poboczu wozów i nie widział w tym nic osobliwego, że ten z napisem „Stacja obsługi terenowej

samochodów osobowych” przygotowuje się do holowania innego wozu. Ale że wóz, który miał być holowany, teraz leci 150 km na godzinę, to mu się wydało nieco zaskakujące.

Widać go naprawili - pomyślał. Zauważył, że kiedy ich mijal, to w „beemce” siedziały dwie osoby. Z nawyku zawodowego zwolnił i rzucił okiem do środka. Byli to dwaj mężczyźni. I chyba nie byli zgodni co do metody naprawiania samochodu. Alę widocznie w końcu uzgodnili.

* * *

Drugie włamanie wstrząsnęło sierżantem do głębi. Czyżby to znaczyło, że coś przegapił? Że tamto pierwsze było tylko rozpoznaniem? Przygotowaniem do tego zasadniczego? Ale po co te narty? Tym razem zabrano rurę z kolankiem. Ktoś po prostu odłamał kawałek rury. Tym razem nie bawiono się w odlepianie pieczęci. Była rozdarta. Narty i rura... To długie, cienkie i tamto też... Jakie jeszcze podobieństwa mogą być, u licha, między tymi przedmiotami? Żadne! Narty dla odwrócenia uwagi! Po to się po raz pierwszy włamywali? Dał się wpuścić w maliny tymi nartami. Głupia rzecz niby, a skuteczna.

Cichy i spokojniały zjawił się o przepisowej porze w komendzie.

- Jak tam party u Gnysiówny? - spytał zjadliwie porucznik.

Sierżant machnął ręką i milczał. Kłeska wypisana na gębie Fidybusa wprawiła widać zwierzchnika w dobry humor, bo zadał łaskawie następne pytanie:

- Jakie jest wasze zdanie na temat włamania do rzeczonoego garażu.

- To już drugie...-bąknął półgębkiem sierżant.

- Drugie? I wy mi dopiero teraz mówicie! Nie! - Karbolek z trzaskiem rozpiął kołnierz munduru. - Ja współpracę z wami przypłacę zawałem! W młodym wieku, zauważcie, w młodym wieku! No - rozluźnił krawat - karty na stół!

Wszystko! Od początku do końca! Dlaczegoście mi o tym pierwszym nie powiedzieli?

- Bo to Bajorki ukradły narty; żeby pojechać na święta do Karpacza. A w ogóle to myślałem przez długi czas, że mi się zwiduje... - Tu nastąpiła długa, zawila i kompletnie idiotyczna opowieść o czajniku, pomponie, czyli, jednym słowem, cały slalom gigant, jaki zrobił sierżant od osoby do osoby przez cały ten czas, kiedy porucznik...

- Kiedy ja odwałam za was czarną robotę. Prowadziłem metodyczne badania materiału dowodowego, w których to badaniach powinniście mi służyć pomocą i waszym doświadczeniem, a tymczasem wyście trwonili drogocenny czas.

- Tak jest, obywatelu poruczniku - odparł pokornie sierżant.

- Od dziś będziecie działali wyłącznie na moje polecenie. Będziecie robili to i tylko to, co wam zlecę.

- Tak jest, obywatelu poruczniku.

Karbolek przyjrzał się podwładnemu podejrzliwie.

- No to na początek zlecę wam następujące pilne zadanie: przyjrzyjcie się temu śladowi. Niewyraźny? - Karbolek podał sierżantowi fotografię, na której widniał odcisk buta.

- Tak jest, obywatelu poruczniku.

- Można tu określić rozmiar, rodzaj obuwia?

- Tylko w przybliżeniu, obywatelu poruczniku.

- Słusznie. - Karbolek pomyślał, że sierżant, zrugany solidnie, natychmiast zaczyna odpowiadać rozumnie. Wygląda, że nawet mógłby bez wielkiego trudu maturę zrobić. - Słusznie, ale jedna rzecz wydaje się nie ulegać wątpliwości, że to jest co? - wskazał palcem ślad obcasa.

- Żabka, obywatelu poruczniku.

- Właśnie! Kto dziś nosi buty z żabkami? Tego już dawno nie ma u szewców. A jednak taki ślad znajdował się na progu garażu i tego dnia, kiedy go zdjęto, był całkiem świeży. Czy to wam coś mówi, sierżancie?

- Tak jest, obywatelu poruczniku. Mówi mi, że tam łąziło mnóstwo ludzi. Między jej śmiercią a naszym przyjściem każdy, kto przechodził tamtędy, mógł zajrzeć, zobaczyć, że coś nie tak, i dać dyla. Jak coś jest nie tak, to ludzie najczęściej dają dyla i potem siedzą cicho.

- Macie rację, ale tylko teoretycznie, a praktycznie to rzecz w tym, że ślad znajdował się po stronie lewej, wewnętrznej. Ślad powstał, kiedy obie połowy drzwi otwarto do wyjazdu wozu. No, a teraz macie dwadzieścia cztery godziny na znalezienie właściciela tych butów z żabkami. Włamaniami możecie się nie martwić - dodał łaskawie - zostawcie to mnie.

* * *

- Czy on cię pytał o Kubę? - Dora zadzwoniła do Magdy późnym wieczorem.

- Hm... - W słuchawce zapanowało dyplomatyczne milczenie, - Kuba to teraz bardzo popularne imię - powiedziała po chwili Bajorkowa.

- Ale czy miałaś wrażenie, że chodzi o mordercę?

- Tak! - Odpowiedź Magdy była stanowcza.

- Dlaczego? Mnie powiedział, że chodzi tylko o świadka, ale...

- Mnie nic takiego nie mówił, a nawet... Nie, nie pamiętam, ale tak jakoś pytał, jakby podejrzewał...

- Jakuba?

- Tak... Już wiem. Mnie mówił, że Jakub był u niej ostatni.

- I pomyślałaś -.

- Początkowo nie! Wcale! Nawet starałam się przypomnieć sobie...

- Czy jakiegoś nie znasz?

- Tak. I nagle! Jak w mordę!

- Ja też! Tak samo. Nagle sobie skojarzyłam...

- I co?

- Nic, oczywiście. Farby nie puściłam, ale jestem pod wrażeniem.

- Myślisz, że naprawdę? - Głos Magdy był pełen wahania.

- A dlaczego by nie?

- Ale po co?

- Motywy mogą być różne...

- Widzisz choć jeden zasrany motyw? - Magda odzyskała już zwykłą swoją rubaszność. - To nie ma sensu. Za grosz!

- Sensu może nie ma - powiedziała powoli Dora - ale coś w

tym jest, że obydwie pomyślałyśmy o tej samej osobie...

* * *

Janusz Jakub Walczak był wściekły. Dostał nauczkę, nie po raz pierwszy, żeby nigdy nie mieszać się w cudze sprawy. Jeśli następnym razem zobaczy trupa w garażu, to ani spojrzy! Niestety, wiedział, że nigdy nie potrafi przejść obojętnie obok niecodziennych wydarzeń. I znów będzie go jakiś oficerek przesłuchiwał jak przestępcę. Będzie się czepiał nieistotnych szczegółów, szukał dziury w całym, zadawał podchwytliwe pytania. Oczywiście, nocna eskapada Walczaka do Botanicznego musiała wzbudzić nieufność władzy. Szczególnie że młody kierowca w żaden sposób nie potrafił jej umotywowować.

- Przecież wódki tam nie sprzedają - wyzłośliwił się porucznik - więc po coście tam włązili?

Walczak nie wiedział, po co. W dodatku milicjant z uporem podkreślał, że przesłuchiwany nazywa się Janusz Jakub, a nie po prostu Janusz Walczak.

- Dlaczego nie podaliście do protokołu obu imion w pełnym brzmieniu? - spytał wreszcie.

- Bo ja wiem - wzruszył ramionami Walczak. - Ja tego drugiego imienia nie używam. Janusz jest ładniejsze.

Porucznik Karbolek był tego samego zdania, ale nie uważał za stosowne dzielić się swoją opinią z podejrzanym.

- A w jakich okolicznościach go używaliście? - spytał nieustępliwie. - Kto was nazywał Jakubem?

- Kto? - Walczak patrzył na porucznika baranym wzrokiem. - Chyba nikt.

- Przypomnijcie sobie!

Ale Walczak nikogo takiego nie mógł sobie przypomnieć i wyglądało, że porucznik bardzo był z tego niezadowolony. W ogóle dziwne to było przesłuchanie. Kierowca spodziewał się, że go będą pytać, co zauważył, kiedy wszedł do garażu, że każą drobiazgowo opisywać każdy przedmiot. Starał się nawet zapamiętać różne szczegóły, a tymczasem porucznik prześlizgnął się nad tymi sprawami, upewnił się tylko, że

Walczak niczego nie ruszał, i zaczął mu wmawiać bliższą znajomość z nieboszczką. Zaprzeczenia na nic się nie zdały. Porucznik miał świadków na okoliczność, że kierowca „rozmawiał z nią przyjaźnie obok garażu”. I do garażu do niej wchodził też.

- Raz jeden, obywatelu poruczniku. Sam już nie wiem, o co chodziło. Pewnie, żeby coś pomóc przy samochodzie. Jak to zwykle kobieta. A tak to tylko „dzień dobry” i nic więcej. To była jakaś ważna redaktorka z telewizji. Co ja do niej mogłem mieć?

- Skąd to wiecie?

- Chyba ona sama... -zmieszał się Walczak - ona chyba coś kiedyś wspomniała na ten temat. Nie pamiętam.

- Podczas tej jednej rozmowy, kiedyście jej pomagali przy samochodzie? No, no! Długa to musiała być rozmowa...

Walczak zrozumiał, że się wkopał. I to szkaradnie.

- Obywatelu poruczniku, przecież to nie grzech! Babka była sobie niczego, więc człowiek chętnie i parę słów zamienił, i tę śrubę odkręcił jak trzeba. Ale znów nie taka nadzwyczajna, żeby każde słowo pamiętać. Zresztą czy ja mogłem wiedzieć, że to będzie potrzebne - zakończył z pretensją. Milicjant patrzył na niego, jakby nie wierzył w ani jedno słowo.

- Oddajecie buty do reperacji? Gdzie? Do jakiego szewca? - spytał ni z tego, ni z owego. Walczak spojrział na niego kompletnie zbaraniały.

- Oddaję, no, jak każdy - zająknął się. - Przeważnie do takiego jednego... tam gdzie mieszkam. Malinowski się nazywa.

- I on wam nabija żabki?

- Żabki? Nie!

- Nie kręćcie! Macie buty z żabkami na obcasach? - strzelił porucznik i trafił.

- A! Te! To po ojcu. Na niego ciasne. Na mnie jak raz. Porządne buty, to czasem biorę do roboty.

- Wtedy także?

* * *

Kolejna wizyta Fidybusa zaskoczyła nieco Magdę Bajorek.

- Przestałam gotować w domu. Chodzę do stołówki - oznajmiła lodowato, otwierając na tyle drzwi, żeby wsunąć w nie własną nogę i storpedować zamierzenia sierżanta.

- Ja nie o to. Niech mnie pani wpuści, na kuchnię ani spojrzę, nawet o szklankę herbaty się delikatnie nie upomnę. Sprawa jest gardłowa. Bez wódki nie razbieriesz. Oczywiście - mówił domknawszy drzwi za sobą nader starannie - otrzyma pani zapewne oficjalne wezwanie z komendy w tej sprawie, ale ja muszę z panią porozmawiać wcześniej, muszę sam usłyszeć, jaką wersję pani

przygotowała na temat swoich dwóch włamań do garażu Kaleckiej.

- Dwóch?

- A było jedno? Co zostało zabrane?

- Nie wiem. Żadnego nie było. To znaczy, z naszej strony. To znaczy, głupio mówię, bo pewno możecie sprawdzić.

- Że narty, które stały przedtem w lewym kącie w głębi garażu, leżą teraz w waszym mieszkaniu pod wanną albo pod tapczanem? Możemy.

- Pod wanną. No to już pan wie.

- Tak przypuszczałem. Że taka będzie pani wersja. A o drugim włamaniu oczywiście nic pani nie wie?

- A było drugie?

- Tak przypuszczałem. To samo pani powie porucznikowi?

- Oczywiście.

- No to będę musiał poszukać osobiście tego kolanka.

- Kolanka? - Magda spojrzała z osłupieniem na własne kolana, na sierżanta, ale Fidybus zwięźć się nie dał.

- Niech pani nie robi min, bo efekty mizerne. Pracy w to udawanie pani wkłada co niemiara, a ja i tak nie uwierzę. - Był przekonany, że wie dość o tych włamaniach, żeby znalazłszy kolanko przycisnąć za jego pomocą Bajorków do muru. Nie przypuszczał tylko, że tak szybko je znajdzie. Szukając zresztą zupełnie czego innego.

* * *

Władysław Filiżan nie sądził, że jest aż tak popularny. Tymczasem jego pojawienie się w telewizji, w dziale redaktora Bączyńskiego, wywołało niemal sensację. Jakaś pyzata blondyneczka dwa razy zamykała drzwi i przyglądała mu się przez szparę z wyraźnym zaciekawieniem. Najbliższy współpracownik Bączyńskiego, Kamil, rozmawiając przez telefon z żoną lub inną domową osobą o poledwicy i pieczonych kurczętach z mizerią, rzucał co chwila ukradkowe spojrzenia, a później chwycił za kłapy jakiegoś krwistego młodzieńca i szepnął mu w ucho coś sensacyjnego, wskazując Filiżana. Teraz już obaj nie odrywali od niego zachłannych spojrzeń. Filiżan wyprostował się, poprawił krawat i chciał przyglądzić włos, ale w tym momencie pyzata otworzyła drzwi na całą szerokość i powiedziała drżącym ze wzruszenia - zapewne - głosem:

- Pan redaktor prosi...

Bączyński też był jakby onieśmielony. Przekładał z ręki do ręki długopis, parę razy się zająknął, oczy spuszczał jak pensjonarka, kłaniał się, płaszczył, a przecież chodziło o głupstwo. O rzecz, która zarówno jemu samemu, jak i Filiżanowi przynosiła profit. Więc skąd te niezwykle maniery? Chyba tylko z porażenia wielkością.

Władysław Filiżan był osobistością cenioną, nieraz zbierał hołdy, ale, bądźmy szczerzy, zdarzało się to raczej na wieczorach autorskich, w dalekich klubach, świetlicach, na spotkaniach z młodzieżą szkolną czy emerytami, ale nigdy w centralnym punkcie telewizyjnego imperium i nie od zblazowanych dziennikarzy. Filiżan nie był durniem i nie chorował na nadmiar wody sodowej.

- Znaczy to - powiedział w domu do żony - że mi się szykuje jakaś duża nagroda. I te dranie już o tym wiedzą, a ja jeszcze nie.

Natomiast Jerzy Bączyński po wyjściu poety padł na fotel i otarł zroszone potem czoło.

- Głupia sprawa! Nie umiem rozmawiać z mordercami!

- Mimoza jesteś - zlekceważył Kamil.

- Nie mimoza, tylko człowiek odpowiedzialny! Ja przecież

tę adaptację jego poematu wymyśliłem przedtem, zanim on się wplątał w tę Kalecką... No, jednym słowem, teraz wolałbym, żeby on się nie zgodził, żeby się poczuł ważny, zażądał więcej. A on nic! Na wszystko się godzi, ja

teraz muszę to ciągnąć i będę miał kłopot, jak go wsadzą.

- Może zdążysz przed wsadzeniem?

- Ja nie mam z tym zdążyć, bo to nie szlagier. Ja mam to mieć w zapasie.

- A czy to pewne? Wiesz, to co mi o Władku mówiłeś?

- Fotografą przy tym nie było, ale była taka jedna ostroucha jejmość, która podsłuchiwała rozmowę Filizano- wej z szantażystą. Niedwuznaczna sprawa, szkoda łez.

- Cholera! A ja potrzebuję paru dobrych wierszy okwiatkach, drzewkach i motylkach.

- Będziesz się musiał zadowolić mniej dobrymi.

* * *

Porucznik Karbolek po rozmowie z dzielnicowym Surmą nie miał już wątpliwości, że morderczynią musi być obywatelka Dziopkową. Miała czas, motyw, sposobność, a ponadto uknuła całkiem konsekwentną intrygę, żeby obciążyć kogo innego. A to właśnie najbardziej obciążyło ją. Sam się sobie dziwił, że ta sprawa mu się tak łatwo

i sprawnie zamykała. Początkowo był wobec tej łatwości nieufny. Jak każdy dobry dochodzeniowiec, którego obowiązkiem jest nie wierzyć pozorom. Ale dodajmy dla usprawiedliwienia, że w tym wypadku początkowo pozory raczej były przeciw.

- Właśnie gdybym pozorom zawierzył, gdybym się okazał łatwowierny, to powinienem był aresztować Magdę Bajorek - opowiadał wieczorem mamusi. - Albo Janusza Jakuba Walczaka, gdybym potraktował poważnie sierżanta razem z jego szukaniem Jakuba. .

Mamusia westchnęła i podsunęła synowi galaretkę z nóżek. Zawsze bolała nad wszelkimi nieporozumieniami między panem Mikołajem a Januszkiem. Nie wątpiła jednak, że z wiekiem jej syn zdobędzie autorytet niezbędny do

poskromienia i podporządkowania sobie niesfornego sierżanta. A wtedy może Częściej będzie zapraszał podwładnego do domu na robocze narady, które pani Karbolkowa zawsze gotowa była okrasić swojską ziółoweczką i stosowną zakąską.

- Niemniej właśnie od Bajorkowej się zaczęło - podjął dalej porucznik, nie rozwijając szerzej wątku sierżanta, gdyż jako człowiek obdarzony intuicją wyczuł, że wdzięcznej słuchaczki mieć nie będzie. - Właśnie ona była najbardziej obciążona. Widziano ją krytycznego dnia o wiadomej godzinie uciekającą spod garażu. I to widziały ją aż trzy osoby. Trzy osoby siedziały do północy przy oknach! I poznały ją mimo panujących na podwórzu ciemności. Normalnie ten dom zamiera po dziesiątej, a tym razem one siedziały i czekały. Rozumiesz, mamó?

Pani Karbolkowa skinęła głową nie przerywając synowi pasjonującej opowieści i poląła mu galaretkę jabłecznym octem własnej roboty.

- Oczywiście, wezwałem te panie jeszcze raz. W krzyżowym ogniu pytań ich poprzednie zeznania rozsypały się w proch. Zaczęły się plątać, a w końcu jedna przyznała się, że do takich zeznań namówiła ją sąsiadka - pani Dziopkowa.

- Ta z parteru! - zawołała zemocjonowana mamusia.

- Z parteru. Ją też wezwałem. Potraktowałem ostro. Postraszyłem. I co się okazało? Że to była jakaś osoba w spodniach i brązowej kurtce, podobna z figury i wzrostu do Bajorkowej. I nic więcej! Rozumiesz, mamó? Ta Dziopkowa nawet nie była pewna, czy to kobieta, czy mężczyzna. Jej chodziło tylko o to, żeby obciążać Bajorkową. Przypuszczalnie dlatego, że uważa ją za pretendentkę do garażu, który Dziopkową ma zamiar odziedziczyć po Kaleckiej. Właśnie wczoraj zawiadomiono mnie, że złożyła podanie. Oczywiście, nie mając samochodu. Wóz ma syn, ale mieszka gdzie indziej, prowadzi samodzielne gospodarstwo z żoną i dzieckiem, w innej dzielnicy miasta i rzekomo o tej aferze z garażem pojęcia nie miał. Możliwe, bo przecież każdy zdrowo myślący człowiek wie, że szans nie ma.

Przynajmniej w tej sytuacji.

- Więc przypuszczasz, że to tylko przez złośliwość? Żeby nie dać Bajorkowej? - Mama zawsze bardzo szybko zżywała się z postaciami występującymi w śledztwie, zaczynała poufale mówić o nich po nazwisku, a nawet po imieniu. To, co syn mógł jej zdradzić, wystarczyło pani Karbolkowej na stworzenie sobie fascynującej opowieści, ciekawszej niż te, które dają w telewizji, bo autentycznej. Ponadto udział w rozwiązywaniu zagadki pozwalał utrzymać kontakt z jedynakiem i uczestniczyć w jego życiu pozadomowym. Pani Karbolkowa szczyła się tym, że ów kontakt nigdy nie wygasł, umiejętnie a dyskretnie przez nią samą podsycany. - Myślisz, że to zemsta za rzekome trucie spalinami?

- Nie mam pojęcia - zastanowił się porucznik - przypuszczam zresztą, że nie o garaż tu idzie. A przynajmniej nie tylko. Raczej o coś, co się w nim znajduje. Dokonano tam dwóch włamań. Zginęły narty Bajorków i kawałek rury ogrzewczej z kolankiem. Takie kolanko sierżant zauważył u Dziopkowej. Świeżo zamontowane, jeszcze nie pomalowane, z takimi samymi płacami łuszczącej się zielonej farby. Syn Dziopkowej jest z zawodu hydraulikiem, choć pracuje w biurze. Zważywszy na ten fakt oraz na tę żabkę przy obcasie...

- Przecież to żabka Walczaka - mama nie przepuściła żadnego szczegółu.

- Nie jestem tego pewien. Walczak nosi obuwie nr 41, a to było wyraźnie mniejsze. Natomiast Dziopkową charakteryzuje się dużą stopą jak na kobietę i często nosi buty męskie mniejszych rozmiarów. Sierżant znalazł u niej pod łóżkiem dwie pary męskich pantofli z żabkami.

— Dostaliście nakaz rewizji?

- Ach, nie! To sierżanta inicjatywa prywatna. Myślałem, że sam będę musiał to zrobić, ale...

- Niech cię Pan Bóg broni, Januszku, żebyś miał, nawet w dobrej wierze, popełniać czyny niezgodne z prawem,

- Czasem, mamo, ktoś musi.

- Jeśli ktoś... - tu pani Karbolkową się zawahała, jako że obaj mężczyźni byli jej bliscy, ale miłość macierzyńska

zwyciężyła - to na pewno nie ty. Jesteś oficerem i honor munduru nie pozwala ci włączyć pod cudze łóżka. Od tego są ci, którzy się szlif oficerskich jeszcze nie dosłużyli.

- Oj, mamó, gdyby sierżant zdał maturę, to dziś byłby majorem.

- Ale nie zdał! - powiedziała mściwie pani Karbolkowa, bo strasznie miała mu to za złe.

* * *

Odjazd obywatelki Dziopkowej spod domu w asyście milicji wywołał w kamienicy zrozumiałe podniecenie. Spieszne kroki dudniły po schodach, a woń spalonych mięs, zup i mleka unosiła się dokoła.

- To ona powinna siedzieć w areszcie - grzmiała gruba z pierwszego piętra, wskazując na okna Bajorków. - Ona! Ta Putyfara, co tego milicjanta na obiadek zapraszała. Jak tylko mąż w delegację wyjechał! Niewinną kobietę, wsadziła, a sama chodzi!

- Nie ma sprawiedliwości, kochana! - wtórowały sąsiadki wpatrzone w swego zapiewajkę. A grubą zaczynała nową solówkę.

- Do premiera napisać trzeba! Do ministra! Do telewizji! W gazetach opisać!

- E tam! - wyrażał powątpiewanie chór. - Nie wydrukują.

- Ja w zeszłym tygodniu pisałam, żeby te koty potruli, co tu się włóczą - przedarła się jakaś solistka - nawet podpisałam, że w imieniu społeczeństwa. I co? Nie wydrukowali!

- A koty nadal się włóczą! - poparła ją druga i dyskusję chwilowo zboczyła na sprawy marginalne, by szybko znów powrócić do właściwego wątku.

Bajorkowie usiłowali z godnością znosić swoją opinię rogowca i morderczyny, ale w końcu okazało się to ponad ich siły.

Zadzwoń do tego swego wążatego, z którym spożywasz kulebiaki i bigosy myśliwskie pod moją nieobecność, i spróbuj wyzłobaczyć, żeby oni nas stąd puścili. Na urlop, na

narty, na pielgrzymkę do Częstochowy, na cokolwiek! Żeby już tu nie siedzieć i nie słuchać - załamał się pewnego dnia Bajorek. - Bo do porucznika to ja już się oficjalnie zwracałem. Bez skutku, oczywiście. Teraz ty spróbuj po kumotersku.

Ale kumoterstwo też nie pomogło.

- Podobno aresztowaliście tę wiedźmę od garażu? No to przecież już teraz nie będziemy wam potrzebni. Dajcie odetchnąć. Zostawimy adres. Wrócimy, jak tylko zażądacie.

Ale sierżant wiał się, sumitował, że to przecież nie od nego zależy, i twardy był jak skała.

- Jeśli ja kiedykolwiek umierającemu z głodu milicjantowi podam kawałek chleba, to niech mi ręka uschnie! - powiedziała mściwie Magda na zakończenie rozmowy. - No i popatrz, my jesteśmy lepsi od milicji. Od razu mówiliśmy, że to ta Stara ropucha. Chociaż ty, zdaje się, raczej stawiałaś na Filiżana.

- Owszem, nawet zadzwoniłem kiedyś do Filiżanowej, jako „życzliwy” oczywiście, i opowiedziałem, jak to Filiżan szedł do nas i niósł szynkę z kością w torbie. Tu mnie zaczęła podejrzewać, bo Włodek gospodarny nie jest, ale raz od święta szynkę mógł kupić. No więc szedł sobie wieczorem, spokojnie, obmyślał jakieś świństwo, które miał nam zrobić - tu Filiżanowa powiedziała: „To ty, Bajorek?” - ale ja okazałem godną podziwu przytomność umysłu i zapodałem: „Tak, łaskawa pani, oni się nazywają Bajorek”. Po czym kontynuowałem, jak to on szedł, a tu mu zastąpiła drogę nasza droga nieobecna i zaczęła deklamować swój kolejny poemat płasając przy tym wdzięcznie i stosownie, bo poemat było elfach i boginkach leśnych. No i tych elfów mąż łaskawej pani nie wytrzymał, puścił w ruch szynkę - dlatego nie było śladów uderzenia, no i ciąg dalszy jasny. Przestraszył się, ale zmacał puls, zobaczył, że denatka żyje, więc zawlókł do garażu, usadził w samochodzie i zamknął drzwi, żeby nie zmarzła. Sam uciekł nie wstępując do nas.

- A szynka?

- Narzędzie zbrodni porzucił uciekając w popłochu. Znalazł

ją ów rzeczony Bajorek, zabrał i pekuje.

- Bujasz.

- Można sprawdzić. - Michał wyjął z szafki duży kamienny garnek. - Proszę, tu jest dowód.

Magda pochyliła się gorączkowo, pociągnęła nosem.

- Piękna! Więc on ją tym?

- Tym.

- Około czterech kilo.

- Samego mięsa, nie Ucząc kości.

- Duża rzecz. I on ją tym... Zgadzam się. Dobrze opowiadałeś. Filiżanowa zemdlą!

- Niestety, nie. Powiedziała tylko, żeby jej szynkę oddać.

- Wykluczone!

- Oni tu przyjdą. Z obstawą kilku młodych gniewnych poetów. Jak oni sami z siebie są gniewni, to strach pomyśleć, co będzie, jak im się da pretekst!

Zajęci szynką Bajorkowie nie patrzyli w okno. A szkoda. Bo mieliby co oglądać. Otóż w tym czasie kiedy żartowali sobie na tematy kryminalne, przez podwórze kroczyła godnie, z miną boleściwą, obywatelka Dziopkową. Widać

było z daleka, że cierpiała za niewinność. Sąsiadkom, które ją natychmiast otoczyły, odpowiadała skąpo, wzdychała często, kroku nie przyspieszała. A kiedy już była pewna, że całe podwórko widziało jej triumfalny powrót, podniosła pięść i pogroziła oknom na trzecim piętrze, gdzie czaiła się morderczyni i jej współnik. Następnie weszła do swego mieszkania i szybko zamknęła drzwi przed nosem ciekawskich.

Tajemnica jej pośpiechu tkwiła w szarej kopercie, którą wyjęła w tej chwili ze skrzynki pocztowej. Koperta nosiła pieczętkę ADM-u. Stara kobieta rozerwała ją drżącymi rękami.

Niestety, wiadomości nie były pomyślne. Kierownik ADM-u z przykrością zawiadamiał, że obywatelka Dziopka Janina, jako nie posiadająca żadnego pojazdu mechanicznego, nie może otrzymać przydziału garażu, w związku z czym jej podanie o w/W zostaje załatwione odmownie. Kobieta zmięła

z irytacją urzędowy papierek i wrzuciła do kubła.

- Wszędzie mają swoich ludzi - mruzczała krzątając się przy kuchni. - Wszędzie! Ale ja im pokażę!

* * *

Sierżant Fidybus polubił „Mołdawiankę”. Był tam na boku barek z piwkiem, do którego starzy bywalcy dolewali nieco bezbarwnej, acz niezwykle wonnej cieczy z własnych butelek i sączyli ten koktajl z zachwytem na krostowatych gębach. Sierżant też miał z sobą piersiówkę z odrobiną kranowej wody na dzień. Akurat tyle, żeby przechylić nad kuflem, pochłapać, a nikogo nie poczęstować. Jako że rodak, choćby najbardziej pijany, wodę od samogonu odróżni. Paskudził więc sierżant piwo, dostatecznie ohydne w pierwotnej swojej postaci, z taką miną, jakby mu z butelki leciał napój zawierający co najmniej 75 gradu- sów, i sączył bohatersko nie krzywiąc gęby. Jak zwykle nie

bardzo wiedział, po co to robi, na co liczy, ale atmosfera mu odpowiadała, więc siedział. Pierwszego wieczoru nie wysiedział nic, drugiego także i poważnie zaczął już rozważać ewentualność wzmocnienia piwa czymś autentycznym. Trzeciego, kiedy prawie się zdecydował, wszedł gość, którego widok zelektryzował sierżanta. Gość był tutejszy. Znała go barmanka i niektórzy obwiesie. Facet wziął swój kufel, przeszedł przez całą salę i usiadł na stołku o trzy miejsca od Fidybusa. Na nogach miał buty, od których sierżant nie mógł oderwać oczu. Były to czarne, solidne półbuty prywatnego wyrobu, z lakierowanej skóry, mało zniszczone, ale już dawno niemodne. Sierżant je znał osobiście. Kiedy w dniu morderstwa myszkował swoim zwyczajem po okolicznych śmietnikach, widział te pantofle na wierzchu kupy śmieci sąsiedniej posesji. Niedbale rzucone, tuż przy murze, jeden podeszwą do góry. Na obcasie lśniła żabka... Zwrócił na nie uwagę, bo jak na ten dom i na te śmieci but wydawał się za dobry. Ale ludzie coraz bogatsi, coraz więcej wyrzucają. Zostawił. Nie było, powodu ruszać. Teraz zobaczył je na cudzych nogach. Odczyszczone, odświeżone, ale na pewno te

same. Dwa stolki między sierżantem a właścicielem butów były zajęte, jeden wolny. Fidybus zamamrotał, zrobił zamaszysty ruch ręką, potracił kufel i rozlał piwo. Zaklął siarczyście i przesiadł się na wolne miejsce. Od właściciela butów dzielił go już tylko jeden stółek.

* * *

Pani Karbolkowa nie była z siebie zadowolona. Januszek poniósł klęskę, a ona nie zrobiła nic, by temu zapobiec. Chociaż mogła. Mogła, nie zauważona przez nikogo, wmieszać się w kolejkę przed sklepem w tamtej dzielnicy, posłuchać, co mówią ludzie - przecież o morderstwie mówić muszą - sprytnymi pytaniami wyciągnąć sporo, interesujących wiadomości, a nawet mogła spróbować zbliżyć się do tej Dziopkowej. Mogła dowiedzieć się tego, do czego nie jest w stanie dotrzeć żaden najgenialniejszy milicjant. Ale ona, zamiast się tym zająć, przewijała włóczkę na sweterek dla syna i słuchała tego, co zechciał, a właściwie, co mógł jej opowiedzieć. Tymczasem, choć Januszek miał nieoficjalną akceptację władz na zatrzymanie Dziopkowej przez ustawowy okres w areszcie, teraz będą mu tym wszyscy wykluwali oczy. Kobieta do niczego się nie przyznała. Ani do zbrodni, ani do włamania, ani do wprowadzenia w błąd MO i lania benzyny pod własne łóżko. Kolanko, stwierdziła, znalazła na podwórzu i wydało jej się pasujące do rury, gdzie właśnie taki kawałek trzeba było wymienić. Konfrontacja z koronnym świadkiem, wykopany przez pana Mikołaja spod ziemi, też nic nie dała. Ów drobny pijaczek spędził upamiętniony zbrodnią wieczór w załomie śmietnika przylegającego do posesji, gdzie zamordowano Kalecką. I poza faktem, że ktoś zza tamtego muru rzucił w jego schronienie butami, nie zapamiętał nic. Niczego nie słyszał, nie zauważył. Spać mu się chciało, zimno było, żona drzwi otworzyć nie chciała, więc się zdrzemnął po drodze w zacisznym załomku. Już, już zapadał w słodką drzemkę, kiedy mu nad głowę coś lupnęło. Podskoczył, ocknął się, ale to tylko ktoś rzucił buty do śmietnika. Trochę go zdziwiło, że zza

mur, ale nie bardzo zdziwiło, bo nie miał głowy do dziwienia się. Nie patrzył również, kto to był i jak wyglądał, bo go to nie interesowało. Może to była ta pani, a może nie ta. Bardziej już zainteresowały go same buty. Były mało noszone - to z daleka widać - i wyglądały na jego rozmiar. Postanowił, że jak trochę odpocznie, to wstanie i zmierzy. Ale znów go rozebrało. Przymknął oczy, zdrzemnął się. Tym razem dłużej drzemka trwała, bo nikt butami nie rzucał i nie budził. Kiedy się wreszcie ocknął, trzeźwiutki jak upiórek, skostniały z zimna, nie w głowie mu już było cokolwiek poza własnym ciepłym wyrem. Zdecydowany zrobić sądny dzień na całą kamienicę, jeśli żona nadal zechce drzwi przed nim zamykać, powlókł się do domu. Na szczęście żonka zmiękła, pod pierzynę przyjęła, więc wstał późno. Żonca tymczasem nakazał, żeby poszła na śmietnik przy Prusa i poszukała butów. Może jeszcze leżą. No i leżały. Na nieszczęście chyba! Bo ten tajniak - to o sierzancie - zobaczył, no i teraz milicja, sąd, licho wie co. Wszystkie nieszczęścia, których te buty nie są warte, bo piją w palcach i w ogóle chyba są za małe.

- Cały czas lamentował, że go Bóg skarał za chciwość - opowiadał mamie Karbolek. -I tyle miałem z niego pożytku. A zapowiadało się wszystko sensacyjnie. Na śladzie akurat żabka była wyraźna. I pasowała jak ulał. But zresztą też. Nie za duży, nie za mały. Choć kontury zatarte, ale ogólny zarys trafiony. Niestety, nic ponad to, co ci powiedziałem. Nic nie udało mi się z niego wydusić!

Niemniej sprawa z butami świadczyła wymownie, że szczęście, czyli tzw. fart, jest wyłącznie domeną sierżanta. Januszek na swoje wyniki pracował w pocie czoła, na Fidybusa pracowały przypadki. Tu pani Karbolkowa stwierdziła zamęt w swoich uczuciach. Pragnęła olśniewających sukcesów dla syna, ale i los pana Mikołaja nie był jej obojętny. W końcu gdyby jego zasługi przerosły możliwości ich nagradzania, to chyba przełożeni musieliby go wreszcie uhonorować awansem mimo braku matury. No i gdyby pan Mikołaj zechciał się wreszcie ustatkować, pojąć za żonę jakąś

miłą, gospodarną kobietę, która by o niego zadbała, to tej kobiecie byłoby przyjemniej zostać panią podporucznikową Fidybusową niż panią sierżantową zaledwie.

Niestety, nic nie wskazywało na poprawę obyczajów sierżanta Fidybusa. Karbolek zakończył swoją kolejną „opowieść przy goleniu” - mama obiecywała, że kiedyś wszystkie je spisze i wyda - cmoknął mamę w policzek i pobiegł do komendy. Usiadł w swoim pokoju i czekał na podwładnego. Kiedy sobie uprzytomnił, co robi, krew go zalała. Popatrzył na zegarek i postanowił czekanie potraktować jako ćwiczenie woli. Kiedy spóźniony sierżant wpadnie tu bez tchu, Karbolek nawet nie podniesie głosu. Spyta tylko... Sierżant nie wpadł bez tchu. Wszedł tyłem, wlokąc za sobą szalik. W ręku miał świeże, mokre jeszcze, zdjęcia.

- Lekki był - powiedział zamiast przywitania.

- Kto? - Porucznik skonstatował, że jego wola nie jest jeszcze dostatecznie wyćwiczona.

- Kuba. No, ten, co buty z żabkami nosił. Niby chłop niczego, dziewiątka, a taki leciutki.

- Przecież to nie chłop, tylko Dziopkową - odparł ze znużeniem porucznik. - Co wam jest, sierżancie? Zdaje się, że to są podstawowe ustalenia. Nie ulegają dla nikogo Wątpliwości. Poza wami.

- Dziopkową też nie waży dziesięć kilo.

- Ile?

- Góra piętnaście. Niech porucznik spojrzy. - Sierżant rozłożył zdjęcia. - Tu jest ślad tego pijaka w jego butach. Tu, na świeżym śniegu. Około 70 kg. Tu stanęła w nich panna Jola z sekretariatu - około 60 kg, jak Dziopkową, tu syn Maćkowiaka - 27 kg, a tu ja przycisnąłem te buty ręką. No i co widać?

To był właśnie ów moment klęski. Porucznik zrozumiał, że ten ślad nie jest żadnym śladem, bo ktoś go zrobił specjalnie dla niego, że Dziopkową trzeba z honorami wypuścić, a pijaka zatrzymać, żeby sobie jeszcze raz wszystko przypomniał. A może nie raz, tylko pięć razy? Tak czy owak, wszystko trzeba będzie zacząć od początku. Tylko z innej

strony.

* * *

- Wiesz - Magda spotkała Płocką w autobusie - zabawa się skończyła. Zamiast Kuby aresztowali babę z parteru.

- A ty miałaś nadzieję, że naszego Kubę aresztują? - zaśmiała się Dorota swoim cichym, seksapilicznym śmieszkiem.

- Oczywiście, że miałam! Wyobrażasz sobie, co by to była za frajda? Nie tylko dla mnie. Dla nas wszystkich. Nieraz bywaliśmy sam na sam z Kubą Rozpruwaczem nic o tym nie wiedząc. Nie czujesz dreszczu emocji?

- Skoro mówisz, że baba, to nie czuję. Ale po co ten wąsaty nas przepytował o Kubę? Tobie mówił ćb innego, mnie co innego...

- Przez urzędową perfidię. Żeby się samemu dowiedzieć, a nam zagmatwać. Wiesz, nie chcę przesadzać, ale ja z nim parę razy prywatnie rozmawiałam. Tak przy talerzu i kielichu. Wydawało mi się, że to nawet człowiek inteligentny. Ale czy to możliwe?...

- Nie sądzę. U nas był raz i zrobił na mnie wrażenie drobnego pijaczka po prostu. Właśnie wtedy, kiedy mnie odpytywał z Jakuba. Czy jesteś pewna, że tę babę aresztowano?

-Oczywiście.

Dora nic więcej nie powiedziała. Zdawało jej się, że dziś rano, wychodząc do miasta, widziała tę kobietę na przystanku. Ale oczywiście mogła się mylić, podobnych babi- szonów jest mnóstwo. Tylko że jeśli się nie myliła, to po co Magda opowiadała jej nieprawdę?

- A swoją drogą, szkoda trochę. To było emocjonujące, takie czekanie, kogo w końcu wsadzą, no nie?

- Nie - odparła Dorota.-Dla mnie nie Ben odszedł. Bez podania przyczyny.

- Och, kretyn nieziemski! Dotrzyj dp niego jakoś i zawiadom, że już wsadzili morderczynię. Wróci natychmiast na czworakach i w pięty cię będzie całował.

- To ja zadzwonię do Kuby i wszystko opowiem. O tym wąsatym, jak nas podpytywał i jak obie zgłupiałyśmy, ale

milczałyśmy godnie. Teraz już chyba można, nie sądzisz?

* * *

Laboratorium grzebało się skandalicznie. Dopiero dziś przyszły wyniki. Potwierdziły się przypuszczenia: Malwinę Kalecką ogłuszono woreczkiem z ziemią do kwiatów. Znalazły się na jego powierzchni drobiny włosów denatki i biały puszek prawdopodobnie z wełnianych rękawic. Wytrzymałość tych woreczków była zdumiewająca.

- Nic dziwnego - pocieszał się porucznik Karbolek - że sierżant zwrócił na to uwagę. Żeby to na mnie spadł z wysokości taki worek i nie pękł, to ja też bym zwrócił. Ale jak zwykle dowody leżą pod nogi nie mnie, tylko sierżantowi. A on ich nie umie wykorzystać.

Irytacja porucznika była usprawiedliwiona. Sierżant oznajmił dziś, że wie, kto zabił, ale nie ma ani dowodów, ani motywu. Bagatela! Drobiazg! Porucznik szalu dostał od takiego gadania. Ale kiedy wszystkiego, co miał mu sierżant do powiedzenia, po porządku wysłuchał, musiał przyznać podwładnemu rację.

- Nie ma o co zęba zaczepić! No, nie ma! - miotał się Fidybus. - Kto morduje bez powodu? Bez żadnego powodu! Bierze worek, wali w łeb, potem zamyka garaż i daje nogę! Czas dokończy dzieła. Bardzo elegancka robota! Tylko po cholere?

- Ciiicho! - mitygował porucznik. - Wasze krzyki dychać aż u szefa. I brzydkie wyrazy. A potem się mówi, że milicja nie umie się zachować wobec obywatela. Uspokójcie się i przejrzyjmy wszystko jeszcze raz. Może coś przeoczyliśmy?

- My? Ja pier...

- Przestańcie! Siadamy i jazda od początku. Na pewno znajdziemy jakiś błąd.

Ale błędu nie było. Sytuacja wyglądała następująco: około godziny 23⁰⁰ w mieszkaniu Malwiny Kaleckiej jest jakiś Kuba. Po dwudziestej trzeciej - sąsiad nie zna dokładnego czasu, ale wie, że było zaraz po ostatnim dzienniku - Malwina wychodzi z kimś z domu. A może nawet nie tak! Z mieszkania

Malwiny wychodzą dwie osoby. Jedna jest na pewno kobietą, bo sąsiad z przeciwka słyszy jeden damski głos, śmiech dość głośny jak na tę porę. Wygląda przez judasza i widzi dwie postacie. Jedna ma na sobie coś brązowego, druga zielonego i dużą czapę. Tak była ubrana Kalecka.

Około 23³⁰ pijak przybija na swój posterunek w śmietniku. Niestety, nie zwrócił uwagi na nic poza tym, że gdzieś niedaleko słychać było jakiś damski głos, ale nic w tym dziwnego, jako że w parku Nowowiejskim urzędują czasem damy pracujące wyłącznie na nocnej zmianie.

Około 24⁰⁰ budzi się Dziopkową. Chwilę nasłuchuje, potem podchodzi do okna. Wraca do łóżka i patrzy na zegarek. Jest 24¹⁵. Silnik i głosy jakby umilkły, ale żaden samochód nie wyjechał. Znowu podchodzi do okna. Widzi odchodzącą postać. Tę, którą uważała czy też chciała Uważać za Bajorkową.

Przepytano kierowców autobusów z pobliskich linii i taksówkarzy. Żaden nie przypomniał sobie osoby samotnej, trzeźwej, w brązowej kurtce i białych włóczkowych rękawiczkach. Po północy taksiarze wozili tylko gości z pobliskiej knajpy.

Instytucja otwierającego w nocy bramę dozorca przestała już dawno istnieć. Nie udało się więc sprawdzić, o której „Kuba” wrócił do domu.

- Ale dlaczego „Kuba” - ocknął się nagle porucznik - przecież cały czas mówimy o...

- Dlaczego „Kuba”, to ja porucznikowi opowiem we właściwym czasie. Na razie przede wszystkim musimy dowiedzieć się, po co.

- Nie! Nie! - otrząsał się porucznik. Wyście mnie zasugerowali. Tu się zbyt dużo rzeczy z sobą nie zgadza. A te afery z garażem? A włamania? A zeznania tego, jak mu tam, Płockiego? Przecież on całkiem niedwuznacznie krył, a tym samym obciążał swoją żonę. Czy nad tym wszystkim nie należałoby się raz jeszcze zastanowić?

- Zastanawiać się będzie porucznik. Praca koncepcyjna to przywilej osób wysoko postawionych w hierarchii służbowej.

I z wyższym wykształceniem. A ja, jako nieuczony, pójdę myśleć, jak zastawić pułapkę na Kubusia.

* * *

Do drzwi Klary Wolskiej zapukał przysadzisty jegomość o pospolitej twarzy. Dzierzył w rękę duży skoroszyt w twardych okładkach i okazały długopis.

- Za światło! - oznajmił lakonicznie nie patrząc w odsłoniętą klapkę judasza. Istotnie wyglądał jak ktoś, kto zbiera opłaty za światło. Nie budził podejrzeń. Klara otworzyła bez wahania.

- Tamtego pana już nie ma? - spytała. - Byłam mu winna dwa złote.

- Nie ma i nie będzie - odparł przedstawiciel elektrowni. - Ale mała szkoda, bo to ja mam z panią do pomówienia, a nie on.

- Do pomówienia? - spytała ostro Klara. - O czym?

- Znalazłoby się... to i owo...

- Wątpię. Nie mam panu nic do powiedzenia ani nie jestem ciekawa, co pan ma do mnie. Przyszedł pan wziąć za Światło czy nie?

- Za światło albo nie za światło...

- Jak nie, to proszę się wynosić - przerwała energicznie. Sięgnęła po laskę, ale nie wyglądało, że chce się na niej wesprzeć. Rzekomy inkasent na wszelki wypadek cofnął się o krok. Miał głupią minę. Może sądził, że z samotną kobietą pójdzie mu łatwo? Tymczasem Klara ciągle jeszcze nie wydawała się przestraszona. Była tylko wściekła.

- Powoli, panienko, bez nerwów. Pogadamy sobie o morderstwie, dobrze?

- Proszę wyjść!

- O zamordowaniu Malwiny Kaleckiej.

- A co mnie ono obchodzi?

- O tym, kto ją zabił.

To mnie nie interesuje. Proszę natychmiast wyjść, bo zadzwonię po milicję! - To mówiąc wsunęła się za ciężki dębowy stół, laskę położyła obok i sięgnęła po telefon. Gniazdko miała tuż obok i dotknęła go odruchowo, jakby

chciała sprawdzić, czy dziwny gość nie wyłączył telefonu.

- O, ja bym na miejscu pani tego nie robił.

- Na razie to ja jestem na swoim miejscu! - odparowała Klara i zaczęła wykręcać numer.

- Siedziałem w śmietniku i wszystko widziałem...

- Wyjdiesz stąd, draniu, natychmiast albo cię zaraz radiowóz zabierze! - Nie przerwała swojego zajęcia.

- Widziałem, jak pani ją zaprawiła woreczkiem z ziemią...

- Ty draniu! Ja ci pokażę woreczek z ziemią! - Kręciła zapamiętałe tarczą telefonu. Odpowiadał jej sygnał „zajęte”. Szantażysta miał coraz głupszą minę, ale brnął dalej.

- I jak pani robiła fałszywe ślady na śniegu, też widziałem...

Nadal nie było odpowiedzi. Klara z zaciętym wyrazem twarzy, z ceglastymi wypiekami na policzkach usiłowała się połączyć ze znanym trzycyfrowym numerem, który teoretycznie powinien być zawsze dostępny. Ale nie był. Kiedy wreszcie usłyszała normalny sygnał, odezwało się pogotowie.

- Jakie pogotowie? Cholera! - wrzasnęła Klara. - Od pół godziny dzwonię przecież do milicji!

- Nie - powiedział spokojnie szantażysta, który tymczasem zgubił gdzieś swoją głupią minę. Wydawał się czujny i skupiony. - Nie. Pani przez cały czas wykręcała numer pogotowia. Jeśli nieświadomie, to mogę pani podpowiedzieć numer...

- Dziękuję! Myśli pan, że nie skorzystam? - Była już bardzo zdenerwowana. Kilka razy pod rząd naciskała niepotrzebnie widełki.

- Widziałem również, jak pani wyrzucała te buty.

- Czego pan chce, do diabła! - Znów zadzwięczał sygnał „zajęte”.

- Wziąłem je z sobą... - Wyciągnął z teczki owinięty w bibułkę czarny męski pantofel. - Można sprawdzić...

Klara odłożyła słuchawkę.

- Niech pan szybko mówi, ile pan chce - powiedziała zmęczonym głosem. - I niech pan natychmiast zniknie z moich oczu.

Podporucznik Kowalewski wyszedł z windy i otarł chustką zroszone potem czoło. Głupia sprawa! Jeszcze trochę, a znalazłby się w prawdziwych opałach. Ta kobieta miała mocne nerwy. Gdyby się załamała, narobiłaby prawdopodobnie krzyku, zaalarmowała sąsiadów. Co tu gadać, gdyby był prawdziwym szantażystą, pewno by z nią nie wygrał. A i tak nie był w najlepszej sytuacji. Ona liczyła prawdopodobnie, że numery każdego pogotowia - milicyjnego również - będą stale zajęte. A gdyby przypadkiem od razu trafiła na wolny? Dla obojga byłby to pech. Oboje musieliby brnąć dalej. Gdyby przyjechano, żeby go zwinąć, musiałyby nadal udawać szantażystę. A potem gęsto się tłumaczyć, komu należy, że uczynił to na prośbę kolegi ze szkoły, który „robi w morderstwach”. Podporucznik „robił w aferach” i ze zdziwieniem stwierdził, że ten mały Karbolek, który, wydawałoby się, do trzech nie umiał zliczyć bez mamusi, wykonuje teraz pracę o wiele bardziej odpowiedzialną niż on. Mało tego! Dosłużył się porucznika i robi takie wodzowskie miny! Niby prosił o koleżeńską przysługę, a instruował jak szef podwładnego. Ciekawe!

Podporucznik pokręcił głową, schował do kieszeni magnetofon w długopisie i skręcił za róg. W bocznej ulicy czekał samochód. Łatwo go było rozpoznać. Jadowita zieleń, pokrywająca szlachetne kształty starego citroena, widoczna była z daleka. Przy kierownicy siedział jakiś ponury typ z obwisłym wąsem. Podporucznik pomyślał, że to musi być zapewne ten pijak, który naprawdę spał w śmietniku podczas morderstwa i którego rolę przed chwilą odegrał on sam. Karbolek podskakiwał z niecierpliwości na tylnym siedzeniu.

- No? Udało się? Gadaj! - Pociągnął Kowalewskiego za rękaw. - Szybko! Aha, poznajcie się. Mój kolega ze szkoły, mój najbliższy współpracownik sierżant Fidybus.

Sierżant wyciągnął sękatę łapsko i zgniótł w nim na miazgę rękę podporucznika. Kowalewski pomyślał, że byłoby najlepiej, gdyby właśnie ten osobnik okazał się mordercą. Niestety, był on przedstawicielem prawa.

Następnego dnia spotkali się wszyscy trzej u porucznika Karbolka. Moment był uroczysty. Pani Karbolkowa przypomniała sobie z rozrzewnieniem Miecia Kowalewskiego i nawet skropiła paroma łzami radości jego lekko łysiejącą głowę.

Zatoki ma i brzuszek mu się zaczyna! - rozrzewniła się.

- Patrzcie, chłopcy, jak te lata lecą.

- Ale pani nic się nie zmieniła - zachował się szarmancko podporucznik Kowalewski.

- Och, ja! Ja już jestem stara baba! Tylko patrzę, kiedy babcią zostanę. Ale Januszek jakoś się nie kwapi. A pan, Mieciu? Czy pan żonaty?

Koralewski był żonaty, miał dwoje dzieci, których zdjęcia oczywiście nosił przy sobie, więc oboje z panią Karbolkową utonęli w sprawach rodzinnych. Tymczasem porucznik z Fidybusem przewinęli taśmę z przesłuchania Klary Wolskiej, uporządkowali zdjęcia, których oczywiście nie powinni byli wносить z komendy, ale wpływ sierżanta robił swoje i Karbolek coraz częściej zachowywał się w sposób niezupełnie stosowny. Pozostał mu na szczęście nieskazitelny wygląd i nikt, kto spojrzałby na niego, nie pomyślałby na pewno, że ten oto młody, obiecujący oficer mógłby popełnić jakikolwiek grzech, a nawet grzeszek przeciw regulaminowi. Natomiast sierżant wdział na tę uroczystość swój niepoważny serdaczek z dywanika, wąsy zakręcił do góry niczym jakiś muszkieter zawadiacki i wyglądał skandalicznie. Karbolek parę razy przyłapał zdumione spojrzenie Kowalewskiego, prześlizgujące się ukradkiem po kompromitującej postaci sierżanta. Niestety, nie potrafił wymyślić nic, co by ten stan rzeczy przed kolegą usprawiedliwiło. Miał takiego podwładnego, na jakiego zasłużył.

- No to pracujcie, chłopcy - mama Karbólkowa widząc wyczekujące spojrzenie syna przerwała pasjonujący rodzinny temat - a ja pójde przygotować małą przekąskę.

- Nie gniewaj się, mammo! - krzyknął za nią porucznik Karbolek, ale mamie nie w głowie były jakiegokolwiek dąsy. Pan Mikołaj przyniósł trzy róże, zjawił się Miecio, taki poważny,

ustatkowany, co powinno pozytywnie wpłynąć na Januszkę, i w ogóle życie było piękne. Nawet stłuczony talerzyk od kompletu nie popsuł pani Karbolkowej humoru.

Tymczasem w pokoju na honorowym miejscu pojawił się magnetofon.

- Przyznała się? - spytał Kowalewski. Porucznik I triumfem skinął głową.

- Nie miała innego wyjścia. Chcesz posłuchać?-Nacisnęła klawisz. - Nie, tu jeszcze nieważne. O, chyba odtąd.

„Ona obiecała mnie odwieźć. Więc stałam w tym garażu, a ona gadała! Ja w ogóle nie mogę stać. Miałam wypadek niedawno. Jechałam skuterem, potrącił mnie samochód i skuter przygniótł mi nogę i kręgosłup uszkodził. Nie mogę stać. A ona mówiła i mówiła. Próbowалаm przerwać, ale ona jak zatokowany głośnik. Nic nie dociera do niej! A ja myślałam, że zwariuję. Tak bolało. Wreszcie krzyknęłam głośno, aż mi było głupio, że już jedziemy wreszcie. A ona, że owszem, naturalnie, jedziemy. Siadła za kierownicą, wychyliła się i znowu zaczęła! Mogła tak gadać całą noc. A ja stałam. Bo tam drzwi drugich otworzyć nie można, żeby wsiąść. Ten garaż jest ciasny. Więc stałam. I znów mówię: »Jedźmy«, a ona znów zgodnie, że tak, że już jedziemy, i dalej tokuje o jakimś facecie, który chciał ją dogonić samochodem i nie mógł. Zaczęła szukać kluczyków, znalazła, zapaliła silnik, więc już miałam nadzieję, a ona, jakby zapomniała o tym, dalej snuje. O poezji chyba. Jak ją chcieli drukować, ale ona byle komu nie dała. Koszmar! Zaczęłam się rozglądać, liczyć plamy na suficie. Żeby przetrzymać. Nie rozbeczeć się, nie zacząć histerycznie wrzeszczeć. I wtedy ta ziemia! Zobaczyłam woreczki. Byłam już półprzytomna... Nie byłoby znaku. A ona by zamilkła. Tylko to jedno! Zamilkłaby!... Nie wiem, kiedy uderzyłam. Nie chcę się usprawiedliwiać, że zrobiłam to nieświadomie. Nie. Ale tak naprawdę dokładnie pamiętam dopiero ten moment, kiedy zrobiło się cicho. Ona naprawdę zamilkła... Osunęła się tak jakoś po kierownicy, a ja zdrętwiała, czekałam, kiedy znów się poruszy. Ale ona nie... Złapałam za rękę! Puls! Nie czułam! Zaczęłam szarpać ją,

trząść! Nic! Pomyślałam wtedy, że zabiłam! Zabiłam człowieka... Wybiegłam! Uciekać! Wróciłam! Może oprzytomniała? Nie! Chwyciłam te buty spod półki. To idiotyczne, ale człowiek nie myśli, tylko instynkt samoobrony działa. Więc ja te buty! Chyba jej męża? Że niby on, bo miał powody. Że tak pomyśl! Zrobiłam ślad, a potem za mur, na śmietnik! I uciekłam! Szłam pieszo przez park. I sto razy się zatrzymywałam. Chciałam wrócić, sprawdzić jeszcze raz. Ale po co? Jeśli nie żyje, a byłam pewna, że nie, bo uderzyłam z boku, w skroń chyba, to nic nie pomogę.

A ktoś zobaczy może. Chciałam się ratować. Przecież to chyba jasne, że chciałam. A jeśli żyje, to przecież nic jej nie grozi. Żaden upływ krwi. Przyjdzie do siebie. Więc ja tylko, żeby uciec, żeby jej już nigdy nie widzieć, nie spotkać, uciec, wyjechać! To jedno miałam w mózgu: uciekać! A drzwi? Nie mam pojęcia... nie wiem... naprawdę nie wiem, czy to ja je zamknęłam...”

Karbolek wyłączył magnetofon, sięgnął po papierosa. Kowalewski spojrzał po obecnych z powątpiewaniem, - Czy wam się to wydaje wiarygodne?

- Nie - odparli, chyba po raz pierwszy w życiu, zgodnym chórem sierżant z porucznikiem.

- To znaczy może niecałkowicie - poprawił się Karbolek.

-No więc co dalej?

- Nic - westchnął porucznik. - Proces. Nie ugryziemy lego. Możemy jeszcze popracować nad podważeniem poszczególnych momentów tej wersji. Ale to wszystko. Brat Wolskiej wziął dobrego adwokata, który udowodni, że nie było żadnej zbrodni, tylko nieumyślne spowodowanie zejścia. Dojdą urazy powypadkowe, czyli okoliczności łagodzące. Mnóstwo zaświadczeń lekarskich. Może nawet więcej niż potrzeba - jej brat jest dyrektorem administracyjnym w szpitalu. Więc może jeszcze jakiś uraz psychiczny się znajdzie i kto wie - może prosto z aresztu do domu...

- Do licha - mruknął Kowalewski - cała wasza praca pójdzie jakby na marne! - Zapadło przykre milczenie. - E, chyba trochę przesadziłeś, Januszk...

- Może. Ale niewiele. Sami wiecie, że przy dobrym adwokacie mogą jej nawet zawiesić.

- A porucznik wolałby powiesić? A przedtem jeszcze, żeby ją wbili na pal i końmi rwali? Oj, chyba porucznik w dzieciństwie skrzydła muszkom obrywał, co? - ozwał się niespodziewanie milczący dotychczas Fidybus. Kowalewski spojrział ze zdziwieniem i Karbolek zrozumiał, że sierżant znów za wiele sobie pozwolił. Przynajmniej jak na sierżanta.

- Czy uważacie, że jak zakończyliśmy sprawę, to już możecie się nie golić - zrykoszetował ostro, nie odpowiadając na retoryczne pytanie. - Jak zbój Madej wyglądacie.

- Może wyglądam - odparł beztrosko sierżant - ale za to serce mam złote, odwrotnie niż obywatel porucznik. A po drugie, to ja się nie nie gołę, tylko zapuszczam kamuflaż. Sam porucznik mówił kiedyś, że mnie te plastyki zdemaskują. No więc żeby mi się nie rzucali na szyję jacyś goście od Gnysiówny albo ci z „Mołdawianki”...

- Dobrze już, dobrze - przerwał porucznik przerażony, że kolega za chwilę dowie się, jakimi metodami prowadzi się dochodzenie w zespole kierowanym przez Karboleka - opowiedzcie lepiej podporucznikowi, w jaki sposób doszliśmy do tego, że Wolska i Kuba to ta sama osoba.

- Dziecinada! - odparł lekceważąco sierżant. - Te trzy siksy na studiach założyły klub Jakubów. To znaczy Klara - „Kuba wielki założyciel”, Magda - „Kubek pełnomocny, tłusty” i Dorota - „Kubek do specjalnych poruczeń”. Wzięły sobie za cel obrzydanie życia ludziom niemiłym, którym inaczej zaszkodzić nie mogły. Na przykład rektorowi swojej uczelni. Dzwoniły do takiego delikwenta wiele razy we dnie i w nocy i prosiły Kubę. Czasem parę dni, czasem tydzień i dłużej. A jak już gość zaczynał się jękać i zapluwać, dzwoniła Wolska i mówiła grubym głosem: „Dzień dobry, tu Kuba. Czy nie było do mnie telefonu?” Przedsięwzięcie było w założeniu tajne, ale właściwie to na roku prawie wszyscy wiedzieli. Potem poszło w zapomnienie. Czasem się jeszcze tytułowały Kubusiami dla zgrywy, już bez konspiracji. Musiała to kiedyś

Kalecka usłyszeć i któraś z nich jej opowiedziała. Więc jak wszedł na arenę ten Kuba, za co pannie Basi proszę również ode mnie rączki ucałować, to najpierw mi oczywiście najlepiej pasowało do Płockiej. Wszystko, łącznie z metodą i tym jej oszalałym z przerażenia mężem. Tylko był jeden szkopuł: do Płockiej Malwina nigdy by nie powiedziała „Kuba”. One były w stosunkach takich więcej dyplomatycznych. Co do Magdy, to w ogóle nie brałem jej pod uwagę. Ona lubi za dobrze zjeść.

- Co to ma do rzeczy? Czy smakosze nie popełniali zbrodni?

- No to niech mi porucznik wymieni choć jednego.

- Zaraz, zaraz, poczekajcie no... - Porucznik Karbolek spociał się zaczerwienił od intensywnego myślenia. Podporucznik Kowalewski wodził okrągłym ze zdziwienia okiem od podwładnego do zwierzchnika, jakby nie był pewny, który tu jest który.

- Przecież ja nie jestem encyklopedia, żeby tak na poczekaniu... Cóż wy sobie myślicie!

- Ja sobie myślę, że z poczekaniem czy bez żadnego porucznik nie znajdzie. Jak człowiek lubi sobie godnie pojeść, to przesiadki na więzienny wikt nie zaryzykuje. Wszystko może stracić: -wolność, równość i braterstwo nawet, ale te zapiekanecki, kulebiaczki, potrawki, przy- prawki - tego on z sobą do mamra nie weźmie. A braku nie przeżyje. Ja to porucznikowi mówię!

Podporucznik Kowalewski milczał od dłuższego czasu, przysłuchiwał się, przyglądał i ogarniało go coraz większe zdumienie. Nie do wiary, co za cudaczne stosunki panują w tych zabójstwach! Chyba to właśnie rodzaj pracy je warunkuje. Stały kontakt ze śmiercią musi jakoś paczyć człowieka. Bo jaki normalny oficer dałby sobie tak jeździć po głowie jakiemuś sierżancinie, pozwoliliby wygłaszać podobnie bzdurne teorie i poważnie je traktować! Kto tu właściwie prowadził to śledztwo? Janusz czy ten z Wąsami? A może oni robią ten cyrk na pokaz? Dla niego? Żeby mu niby powiedzieć coś niecoś, bo przecież pomagał im, udawał tego szantażystę - zresztą chyba całkiem niezłe - a jednocześnie nie wtajemniczać za bardzo w swoje spra-

wy. Ale po co? On się nie prosił! Mogą nic nie mówić. Przecież on też jest człowiekiem z branży i rozumie. Już chciał wstać, powiedzieć, że się śpieszy, umówić się z Januszem, że jak tylko będą mieli czas, to do siebie zatelefonują, i odejść. Odejść godnie i nie dać z siebie robić balona! Ale nie odszedł. W drzwiach ukazała się bowiem pani Karbołkowa z półmiskiem w rękach. Na półmisku coś brązowało i pachniało smakowicie. Była to pieczona gęś o lśniącej skórce, ugarniowana małutkimi kartofelkami, ułożonymi na przemian z zielonymi główkami brukselki. Podporucznik pociągnął nosem i zrozumiał, że wywody sierżanta nie są tak zupełnie pozbawione słuszności. Po drugiej porcji gęsiny doszedł do wniosku, że nikt tu nie robi z niego balona, nikt się nad nim nie znęca, nikt przed nim niczego nie ukrywa. Zobaczył świat i kolegów w łagodnym, jasnym świetle. Niemniej po wyjściu sierżanta nie wytrzymał i zapytał:

Kto to jest ten osobnik? Mówiłeś, że masz jakiegoś podoficera do pomocy, a ten się zachowuje, jakby...

- Daj spokój - machnął ręką zdesperowany Karbołek. - To właśnie on! Dziwię się, że go nie znasz, bo jego znają we wszystkich miastach chyba i wszystkich wydziałach. On wszędzie musi swój nos wsadzić! I wsadza. Pracuje w za-bójstwach mnóstwo lat i podobno jest genialny, ale nie mogą go awansować, bo nie ma matury. I wcale się nie kwapi, żeby ją zrobić. Z tą jego genialnością też nie wiem, jak jest, bo mnie to on tylko przeszkadza i wstyd przynosi. Powiem ci, jak staremu kumplowi, że dawno bym tę sprawę zamknął, gdyby nie jego dziwaczne pomysły.

- Nie martw się. Przy następnej może ci go już nie przydzielą.

- To nie pierwsza nasza wspólna robota - westchnął porucznik. - Zaczynałem w Łopatowie. Tam była moja pierwsza sprawa. Jego mi przydzielili jako doświadczonego pracownika. Doświadczony to on może był, ale co wyrabiał! Dajmy temu spokój. Więc jak go po tej sprawie przenieśli, to wreszcie odetchnąłem. A po roku znalazłem się tutaj, na drugim końcu Polski, i pierwszą osobą, jaką

spotkałem w komendzie, był on.

- Jak mi jeszcze powiesz, że natychmiast dali ci go do pomocy, to...

- Żebyś wiedział! Natychmiast!

- A może on sam się o to starał? Może on po prostu lubi z tobą pracować?

- O, Boże! - przeraził się porucznik. - To by było straszne. To ja się już nigdy od niego nie odcepnię!

* * *

- Cholera! - powiedziała Magda Bajorek otwierając drzwi. - My się już w życiu nie odcepimy od tego milicjanta. Jak tylko coś dobrego zrobię, to on jest.

- A co pani dziś zrobiła? Pytam tak sobie ot, beznamiętnie, bo mnie to interesuje wyłącznie z filozoficznego punktu widzenia. Jadłem przed chwilą gęś pieczoną takiej jakości, że po niej wszystko smakuje jak siano. - Sierżant Fidybus z pogodną miną przekroczył próg domu, w którym tak niegościnnie go przyjmowano, ale potrawy miały tu nie tylko smak, ale również wygląd i zapach. A na dodatek nikt nie dybał na jego kawalerski żywot. I nie usiłował trafiać do serca przez żołądek.

- A ja dziś zrobiłam kaczkę, łaskawy panie, która na pewno smakuje jak siano - odparła dotknięta do żywego Bajorkowa, - Dowodem na to niech będzie fakt, że dopiero co wyjęłam z pieca, a już jej prawie nie ma. Został tylko kawałek.

- To mogę ten kawałek spróbować - zgodliwie odrzekł Fidybus i wszedł do pokoju. Na kanapie, przy stole pełnym talerzy, talerzyków, przekąseczek, przyprawek, siedzieli Płoccy. Czule objęci, przeżywali prawdopodobnie kolejny miodowy miesiąc po powrocie marnotrawnego męża.

- To: ty jesteś gliniarz! Już mi Magda powiedziała - witał sierżanta wylewnie Benedykt. - A ja ci tak ładowałem wszystko o tym pomponie. Sypałem Dorotę jak głupi, nic nie wiedząc, kim jesteś... Siadaj, strzelimy sobie po kielichu! Z babami to żadne picie. A wódka stoi.

Bardzo było sierżantowi na rękę takie serdeczne przyjęcie. Choć nie ze strony gospodarzy. Miał zamiar początkowo

załatwić swoją sprawę i żegnać,, ale, jak zwykle, jego sprawa była tego rodzaju, że nie nadawała się do konkretnego, rzeczowego załatwienia.

- Może pan gra w brydża? - spytała Dorota. - Tak sobie właśnie siedzimy i czekamy. Może jakiś czwarty przyjdzie? Zwykle to Klara... Bo Bajor nie gra... - Zapanowało kłopotliwe milczenie.

Sierżant grał. Nic tak ludzi nie zbliża, jak wódka i karty. Kiedy więc strzelili już sobie po dwa kieliszeczki, a Magda zaczęła szukać kartki i ołówka, żeby wykonać pierwszy zapis, sierżant uznał, że nadszedł właśnie czas na zadanie mimochodem paru pytań.

- Jak już jest po wszystkim i nie pani nie ryzykuje, to niech mi pani powie uczciwie, po coście się włamywali do garażu.

Magda, która właśnie nurkowała pod komodę w poszukiwaniu papieru, zastygła w tej niewygodnej pozycji i spojrzała na sierżanta z bezmiernym zdumieniem.

- No, przecież sama panu mówiłam! Poszliśmy po narty, których byście nam przecież po dobroci nie dali, a mieliśmy jechać na urlop.

- To pani mówiła jako podejrzana. A co było drugi raz? Ma pani jedną z niewielu okazji w życiu, żeby powiedzieć prawdę.

- To wy rzeczywiście nie wiecie, kto zrobił drugie włamanie?

- Poszło na wasz rachunek.

- Przysięgam na łeb Bajorka, że to nie my. Chyba że Bajor sam, bez mego współudziału, ale to się nam nie zdarza. A może to ty, Benek, jak szukałeś tego pompona? - Płocki wzruszył ramionami i popukał się w czoło. - A może baba z parteru? Bajorek ma teorię, że ona zwariowała na temat skarbu, który rzekomo w tym garażu jest zamurowany. Dlatego tak się napałała właśnie na ten, a nie inny.

- To jedyny prywatny po tej stronie kamienicy - powiedział z roztargnieniem sierżant, bo już go zaczęły nurtować głupie myśli. - Innego by nie ugryzła. A w ogóle to chyba nie o nią chodzi... Zbrodnia bez motywu? A może motyw poczeka? Aż Wolska wyjdzie z pudła... - Magda rozdała już karty, nikt nie

zwracał na sierżanta uwagi. - Powiedzcie mi, ludzie! - zawołał rozpaczliwie. - Przecież znaleźcie je obie! Przecież to zupełna brednia! Bzdura! Żeby ktoś kogoś zamordował tylko za gadanie!

Przez chwilę trwała cisza przerywana szelestem kart.

- Myśmy jej tak dobrze nie znali, tej Kaleckiej - powiedziała w końcu Dorota. - A Klara? Ona ostatnio była dziwna...

- To jest możliwe! - Magda z determinacją odłożyła karty. - Nie wypada źle mówić o zmarłych, więc człowiek tak wstrzemięźliwie ją określał. I chyba wszyscy. to robili. Ale niech diabli porwą wstrzemięźliwość! Ona była okropna! Panie, żeby pan słyszał to wieczne „ja”, to i pan by też miał ochotę ją kropnąć! Bajor się w sraczu zamykał, jak ona przychodziła. Był dla niej czasami tak niegrzeczny, bo już nie wytrzymał, że nawet mnie było za niego wstyd. A ja za dużo wstydu nie mam. Ale ona i tak była przekonana, że on to robi z wrażenia na jej widok, bo się w niej podkochuje, a nie może dostać. Tak było z wieloma innymi, nie tylko z nim, ale do niej wszystko docierało na opak. To był chyba najszczęśliwszy człowiek na świecie! I upiorna baba! Szczególnie jak się zaczęła starzeć. Panie, że ja jej nie zabiłam już kilka razy, to czysty przypadek. Brak okazji. Ale ile razy ręka mnie swędziała, to nie zliczę. Co pan jeszcze chce wiedzieć?

Sierżant właściwie już nic nie chciał. Przypomniawszy sobie zeznanie Rafała Palczyka, który uciekał przez lakiernię, a tym samym potwierdzał to, co mówiła Bajorkowa. Przypomniawszy sobie wstrzemięźliwe - Magda doskonale to określiła - zeznania telewizyjnych kolegów Kaleckiej i właściwie poczuł się przekonany. Zajrzał w karty i zalicytował dwa bez atu. Siedząca naprzeciw Dorota zatrzepotała rzęsami i z przerażeniem rozejrzała się po obecnych. Sierżant zagrał trzy i wygrał.

- A jak pan doszedł, że to Klara? - spytała w przerwie Magda.

- Pani mi powiedziała.

- Ja?!

- Kiedy spytałem o Kubę, pani początkowo nie myślała o

niczym. O nikim konkretnym. Patrzyła pani przed siebie, trochę w bok, spojrziała pani na tę grafikę... - pokazał wiszącą na szafie „Drogę w głąb lasu” - i w tym momencie pani skojarzyła. Tak było?

Magda pokiwała głową.

- Licho wie, mógł się pani przypomnieć na przykład leśniczy z tego lasu, który jest tu narysowany, albo jakaś podobna droga, na której spotkała pani jakiegoś Jakuba, ale ja na wszelki wypadek zobaczyłem, jak ta grafika jest sygnowana. Było na niej WOL. Sprawdziłem na pracach znajdujących się w posiadaniu związku. Tak sygnowała Klara Wolska. Od tego momentu mogłem przypuszczać tylko, że ona ma coś wspólnego z Kubą. Ale to starczyło na zaczęcie.

Sierżant dolicytował się szlemika w kiery i cudem wygrał.

- Nic dziwnego, że pan dobrze gra w brydża. Pana praca to też matematyka plus intuicja - powiedziała Dorota.

Porucznik Karbolek kupił pięć czerwonych róż i czekał przed gmachem telewizji. Kiedy zobaczył pannę Basię w tureckim kożuszku i lisiej papaszce, zabiło mu serce.

- Chciałem pani wyrazić najgłębsze podziękowania w imieniu służby i własnym i w ogóle...

- A te piękne róże to też w imieniu służby?

- Nie, to we własnym. Niezależnie od tego, że nam pani tak bardzo pomogła. Nie ma pani pojęcia, ten telefon, wtedy, o tym Jakubie... — Nie to chciał powiedzieć. Ale przecież nie mógł zacząć od tego, że jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie, że ją kocha i że nie wyobraża sobie życia bez niej. Na szczęście czy nieszczęście, panna Basia nie przeżywała podobnych uczuć. Swobodnie wzięła go pod rękę i powiedziała:

- Proszę mnie odprowadzić do domu, a po drodze wszystko mi pan opowie.

* * *

Władysław Filizan nie otrzymał nagrody, której się spodziewał. A kiedy przyszedł do telewizji, do pana Bączyńskiego, przyjęto go jak dawniej. Bez czołobitności, z pośpiechem i roztargnieniem.

- To wszystko przez Bajorków powiedział w domu do żony. - Myśmy już przepili i przejedli połowę tej nagrody, drugą połowę wpłaciłem na wiosenną wycieczkę do Jugosławii i teraz pytam cię, z czego będziemy żyli. Sądząc po tym, jak oni mnie potraktowali, żadna nagroda w najbliższym czasie mi się nie szykuje. Tyle że Jerzy wziął, jeszcze ode mnie kilkanaście wierszy na te swoje zapchajdziury. Dobrze i to. Ale Bajorkom to ja dam do wiwatu! Wszystko przez nich!

* * *

Jerzy i Kamil byli zawiedzeni. Ani brunet, ani Filizan nie okazali się mordercami. Jakaś nieznana baba. I nie wiadomo o co.

- Ona zawsze mówiła, że kobiety jej robią na złość, pamiętasz? - zauważył melancholijnie Kamil.

- I że jej nie lubią - dodał Jerzy.

- Ta musiała jej bardzo nie lubić.

- Bardzo.

Weszła nowa pracownica, przyjęta na miejsce Malwiny Kaleckiej. Była młoda, brzydka, rzeczowa. Hormony jeszcze nie dzwoniły jej na ostatni alarm. I chyba nie zadzwonią wcale. Rozłożyła przed Kamilem listy, teksty dwóch piosenek, komentarze. Jerzemu podała przepisany i sczytany tekst wiersza.

- Zaparzyć kawę? - spytała.

- Jeśli pani tak łaskawa! Będziemy niezmiernie zobowiązani.

- Drobiazg. Mogę to robić zawsze. - I wyszła cicho zamykając drzwi za sobą.

- Co my tu będziemy robili? - zastanowił się Kamil. - Przy tej nowej pani pracy teraz mamy na pół osoby. Chyba jeden z nas pójdzie na emeryturę czy co?

* * *

Sierżant Fidybus poprosił o tydzień urlopu i klucz od garażu Malwiny Kaleckiej. Porucznik Karbolek wiedział doskonale, że ma prawo dać mu tylko to pierwsze, ale jeśli nie da drugiego, to sierżant weźmie sobie sam i znów

nądwąłli mu autorytet. Sięgnął więc z ponurą miną do szafy i wręczył podwładnemu klucz, o nic, taktownie, nie pytając. Postąpił właściwie, bo sierżant miałby trudności z wyjaśnieniem powodu, dla którego przywłókł do owego garażu dwa wiadra cementu; narzędzia murarskie, tudzież kilof i łom. Zamknął się wewnątrz i rozpoczął katorżniczą pracę.

Nie mógł uwierzyć w tę zbrodnię bez motywu. Szukał racjonalnego wytłumaczenia. I tu spodziewał się je znaleźć. W tym pomieszczeniu, o które walczono, do którego się włamano, które stało się kością niezgody i miejscem ostatecznych porachunków z jego właścicielką. Przecież, u licha, jeśli coś w tym wszystkim tkwi, to chyba tylko tutaj!

Rozbierał ściany, cegielka po cegielce, i zamuroвывwał z powrotem. Nie miał pojęcia, czego szuka, i nic, oczywiście, nie znalazł. Po ścianach wziął się za podłogę, podejrzliwie obmacał dwie rury z ciepłą wodą i trzecią pustą, ułamaną, dokładnie obejrzaną zaraz po włamaniu. Pamiętał, że była pusta, ale postanowił pracować metodycznie. Wziął się za demontaż. Zmarnował sześć dni urlopu. Zmarnuje jeszcze siódmy na doprowadzenie tego wszystkiego do porządku. Co za cholerna sprawa! Gdyby Kowalewski mniej przekonywająco odegrał swoją rolę, gdyby nie udało się tym samym doprowadzić Wolskiej do przyznania się, to dziś wikłaliby się w morzu szczegółów, które obsiadły tę sprawę jak pchły kundla kudłatego. Każdy, kogo tu zahaczono, miał sto powodów, żeby zostać, podejrzanym o zamordowanie Kaleckiej. Tylko nie Wolska. Tylko nie ona!

Zamknął swego Citroena w garażu i przed następnym etapem pracy wyszedł na spacer do parku. Nie zdążył minąć podwórza, kiedy otworzyło się okno na parterze, wyjrzała Dziopkowa i zawołała do tej z pierwszego.

- Widziała pani?

- A co? - Sąsiadka złożyła na parapecie półcie swego obfitego biustu i przygotowywała się do pogawędki.

- Zamordowała kobietę i nie tylko że nie siedzi, to jeszcze garaż jej dali. Mnie nie dali, a jej dali. Widziała pani? Jej

kochanek samochód sobie wstawił i poszedł.

- Który kochanek?
- Ten milicjant, co na obiady do niej lata.
- Zawsze kto z milicją trzyma, pani Dziopek, to wszystko ma.
- O, żeby mój mąż nieboszczyk żył, to taka by nic do gadania nie miała. On każdego mógł do więzienia wsadzić. Starczyło, żeby tylko słowo powiedział gdzie trzeba.
- Tak to jest, pani Dziopek. Kobiecie samej źle na świecie,
- Bo sprawiedliwości nie ma.

Sierżant słuchał dialogu i czuł, jak mu się pięści same zaciskają. Gdyby jutro ktoś panią Dziopkową znalazł martwą, czy podejrzewano by sierżanta Fidybusa? Człowieka, który nie ma przecież żadnego motywu.

Więc może i tamta zbrodnia nie była tak zupełnie irracjonalna?...

zł 60,-

lesiojot

ISBN 83-07-00585-X